

# Angel Wagenstein **PIĘCIOKSIĄG IZAAKA**



*Opowieść o życiu  
Izaaka Jakuba Blumenfelda, który przeżył  
dwie wojny światowe, trzy obozy koncentracyjne  
i był obywatelem pięciu ojczyzn*

Angel Wagenstein

# PIĘCIOKSIĄG IZAAKA

Opowieść o żywocie Izaaka Jakuba Blumenfelda,  
który przeżył dwie wojny światowe,  
trzy obozy koncentracyjne  
i był obywatelem pięciu ojczyzn

Tłumaczyła  
Kamelia Mincheva-Gospodarek



---

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

---

*Gdyby Bóg miał u siebie okna, to już dawno by w nich szyby potłuczono.*

## ZAMIAST PRZEDMOWY

Oprócz tytułu tego, za przeproszeniem, dzieła – ponieważ nie jest ono niczym więcej aniżeli rzetelnym zapisem cudzych wspomnień i osądów – nie dodałem nic od siebie, dlatego, że jakakolwiek moja ingerencja w narrację byłaby jak wlanie litra octu do beczki dobrego wina, a każde dodatkowe upiększenie jak szczypta zakwasu i soli, które jedynie mogą zbeczczyć świętość paschalnego chleba. Wszystko, co przeczytasz dalej, mój drogi i nieznany czytelniku, także najbardziej nieprawdopodobne zakręty i kaprioły w losie Izaaka Blumenfelda, opowiadał mi on sam, początkowo w Klubie Rosyjskim, znanym i prestiżowym lokalu w Sofii, a później w swoim domu wiedeńskim, przy Margarethenstraße 15. Pan Blumenfeld dostarczał pewnemu bułgarskiemu przedsiębiorstwu maszyny do szycia i inne urządzenia do wytwarzania konfekcji, a osobiście mnie odszukał po tym, jak zobaczył w telewizji gdzieś na Zachodzie film o losach Żydów według mojego scenariusza. Dziękuję losowi za to opowiadanie, jako że obdarzył mnie jeszcze jedną przyjaźnią, bo czymże innym można obdarzyć człowieka, jeśli nie przyjaźnią, miłością lub mądrością?

Dziękuję także i samemu Izaakowi Blumenfeldowi, który nie przestał dziwić się wykazanemu przeze mnie zainteresowaniu jego życiem z powodu powierzonych mi ocalałych listów, skąpych pozostałości czegoś przypominającego dzienniki, dokumentów i zdjęć, będących świadectwem znikczemnienia epoki, ale także świadectwem, że na tej planecie nigdy nie brakowało dobrych, wesołych ludzi o mądrych i smutnych oczach. Takie jest na przykład małe zdjęcie Sary Blumenfeld, która wyjechała z dziećmi do źródeł mineralnych, a dojechała nie tam, lecz do komór gazowych Auschwitz. Takimi oczyma patrzy ze zdjęcia odklejonego z jakiegoś dokumentu dobry rabin Szmul Bendawid, takie były prawdopodobnie oczy także wielu innych mieszkańców miasteczka Kołodziec koło Drohobycza – Żydów, Polaków i Ukraińców, którzy pod postacią dymu wywędrowali z krematoryjnych kominów i obecnie pasą białe stada na obłokach, pośród nieskończonych boskich pól niebiańskich. Jest zaświadczenie w języku angielskim z pieczęcią VIII Korpusu 9. Armii Amerykańskiej, wydane Izaakowi Jakubowi Blumenfeldowi dla zapewnienia, że został zwolniony z obozu Flossenbürg (w regionie Górny Palatynat) w Niemczech, i zezwala mu się na wyjazd do Wiednia z amerykańskimi eszelonami wojskowymi. Jest kawałek papieru jako pokwitowanie za zapłacony bagaż, wypełnione fioletowym atramentem i podpczętowane przez prokuraturę jakucką zaświadczające, że jakiegoś tam obywatela, zwolnionego z obozu w Niżnym Kołymsku w północno-wschodniej Syberii, należy uznać za całkowicie zrehabilitowanego z powodu braku dowodów przestępstwa. Jest też pięć dokumentów, zgodnie z którymi I.J.B. jest kolejno obywatelem austro-węgierskim, obywatelem Rzeczypospolitej, zwanej też Republiką Polską, obywatelem radzieckim, osobą pochodzenia żydowskiego, przebywającą na wschodnich terytoriach Rzeszy, pozbawioną obywatelstwa i wszelkich praw obywatelskich, a w końcu – obywatelem Federalnej Republiki Austrii.

Wpatruję się z miłością i smutkiem w portret tego pulchnego, piegowatego człowieka z wieńcem rudych, nastroszonych włosów wokół łysiny, który zaklinał mnie, bym nie publikował ani stroniczki z jego biografii, dopóki on żyje. A oto jest telegram w czarnych obwódkach z Wiednia, czytam go przez filtry łez i daję słowo, że nie przemilczę niczego i niczego nie dodam do nowej Tory, a mówiąc po waszemu, do nowego Pięcioksięgu Izaaka Jakuba Blumenfelda.

Autor dziękuje serdecznie wszystkim znanym i nieznanym twórcom, zbieraczom, układaczom i wydawcom żydowskich kawałów i żartów, dzięki którym moje plemię uczyniło śmiech tarczą obroną, źródłem odwagi i dobrego samopoczucia podczas najtragiczniejszych chwil swego istnienia!

# IZAAKOWE SŁOWO WSTĘPNE

## List do rabina Szmula Bendawida

*Grüß Gott! Cześć, Panie i Panowie! Zdrawstwujię towarzyszczi! Szalom Alejchem! Innymi słowy – pokój wam i waszym domom. Jeśli mnie pytasz, jak się czuję, odpowiem Ci szczerze: chwała Bogu, doskonale, gdyż mogłoby być jeszcze gorzej. Me nawet gdybyś mnie nie pytał, też bym ci to powiedział – czyś widział Żyda, który przemilczałby to, co raz już zdecydował się powiedzieć?*

*Nie jestem już młody, siedzę na swoim tarasie w Wiedniu – Wiedeń jest moim cudownym, odwiecznym marzeniem – piję kawę ze śmietanką i myślę sobie o epizodach z życia. Naokoło mojej wyłysiałej głowy promieniuje naprzeciwko zachodzącego słońca złocisty wieniec włosów, które kiedyś, o ile pamiętasz, były barwy purpury fenickiej. Jakiś bardziej poetyczny autor upodobniłby je do aureoli świętego, ale ponieważ uważam się za grzesznika, przypadkowo ocalałego z zagłady Sodomy i Gomory, przypominają mi bardziej pierścienie dookoła Saturna. Gdyż czym jest ten pierścień, jeśli nie odłamkami starych światów potłuczonymi jak gliniane garnki – planety, asteroidy i mity narodowe, starte na proch i popiół „wieczne” prawdy i przewidywania, które okazały się mniej trwałe, a bardziej trujące od starej konserwy rybnej, „rajchy”, które miały przetrwać tysiąc lat, a nie potrafiły policzyć do dwunastu, rozdrobnione imperia, przekształcone w państwa-karzelki, i okrutne oszalone karty, samoogłaszające się nieśmiertelnymi cesarzami, dyktatorami, ojcami narodów, wielkimi wodzami i prorokami, którzy narobili by w majtki, gdyby mogli po śmierci przeczytać, co o nich napisano w podręcznikach historii dla szkół podstawowych. Wszystkie te odłamki kręcą się nie tylko dookoła Saturna, ale i wokół mojej głowy, ażebym zrozumiał, że od czasów Nabuchodonozora, gnębi ciela Żydów, aż do naszych dni nic się szczególnego nie zmieniło, czyli, jak mówił ów genialny bastard, który podpisywał się zagadkowym imieniem Eklezjasta – wszystko to marność nad marnościami; to, co było, znów będzie; i co się stało, znów się stanie; widziałem wszystkie sprawy, jakie się dzieją pod słońcem, a wszystko to marność i ściganie wiatru... Tak to powiedział lub jakoś podobnie.*

*Kiedyś spróbuję Ci opowiedzieć, jak spełniło się pięć moich najdroższych marzeń, o których nieraz rozmawialiśmy. Teraz, u schyłku, wiem, że to niemało, jak na jedno ludzkie życie, dożyć spełnienia swoich pięciu marzeń, za co powinienem być podziękować Bogu i losowi, gdyby sprawy wyglądały nieco inaczej: krępiję się jednak powiedzieć Tobie, że ja w ogóle nie miałem podobnych życzeń. Rzecz w tym, że wszystko wynikało z sytuacji politycznej; ja nigdy nie interesowałem się polityką, a nawet odwrotnie – polityka się mną interesowała i głównym jej celem albo, jak wyrażają się działacze państwowi „zadaniem nad zadaniami” lub „głównym priorytetem”, było spełnienie moich, jak oni twierdzą i prawdopodobnie mają rację, najdroższych, żeby tak rzec, historycznych marzeń. Pięć, jak już powiedziałem, zostało spełnionych i pięć jest Ksiąg Mojżeszowych, które bezsprzecznie dają dowód, że moje plemię zostało przez Boga wybrane, a zatem przeznaczone do tego, by się spełniały jego własne marzenia. Stąd wynika, że także ja, marny pyłek tego plemienia lub, jakbyś chciał, mróweczka z naszego rozproszonego mrowiska, mam prawo na własny udział, żeby tak powiedzieć, na procent albo tantiemy z tego towarzystwa wybrańców bożych. Z drugiej zaś strony, gdy*

*pomyślę sobie, co wydarzyło się z Żydami poprzez ten nieskończony różaniec czasu, i jak dodam mój skromny osobisty rachunek, łącznie z podatkiem od wartości dodanej, ja też wykrzyknę, jak ów bard zamieszkujący nasze ziemie pod wzruszającym imieniem Szalom Alejchem: „Dziękuję Ci, Boże, za wysoki zaszczyt, ale czyś nie mógł wybrać jakiegoś innego narodu?!”.*

*Nie szukaj, proszę Cię, logiki w moim losie, ponieważ nie ja kierowałem wydarzeniami, ale one mną – ja nie byłem ani kamieniem młyńskim, ani wodą, która nim obraca, byłem jedynie zbożem do zmielenia i nieznane mi są zamiary Młynarza, niech się święci Jego imię na wiek wieków. Nie szukaj logiki także w wydarzeniach historycznych, które warunkowały mój los – one nie mają logiki, chociaż być może mają jakiś ukryty sens. Ale czy dane jest człowiekowi dowiedzieć się, jaki jest ukryty sens przyptywów i odpływów, stonecznych protuberancji i wczesnego zakwitania przebiśniegów, miłości czy mучenia krowy?*

*Nie zmuszaj mnie, bratku, bym zaczynał wyjaśniać sytuację polityczną od owego powtarzanego do znudzenia wystrzału w Sarajewie, kiedy to jakiś licealista o dziwnym nazwisku Princip zastrzelił naszego drogiego, kochanego, niezapomnianego i tak dalej arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Dlatego że pierwsza wojna światowa dojrzała jak ropień w łonie Europy, który pękłby i „bezpryncypialnie”, czyli inaczej, nawet bez tego głupkowatego wystrzału owego Principa, a jeśli, powiedzmy, jakiś niemiecki dyplomata w Sztokholmie poślizgnąłby się na skórce banana, przypadkowo rzuconej przez francuskiego przedstawiciela firmy Michelin? Nie szukaj, proszę Cię, logiki także w tym, że moja droga ojczyzna Austro-Węgry i jej niepokonana armia, kierowana mądrze przez generała Franza Conrada von Hötzendorfa wzmogła wysiłki, by zaangażować się jeszcze głębiej w konflikt akurat wówczas, kiedy nawet ostatni idiota się domyślał, że już przegraliśmy wojnę.*

*Czy jest logika w tym, że wszyscy węgierscy wiernopoddani najgoręcej pragnęli, by imperium Habsburgów rozpadło się na państewka, podejrzane etnicznie sojusze i tektoniczne federacje, powiewali narodowymi sztandarami, wycierali łzy i osmarkiwali się podczas wykonywania piosenki Hej, Słowianie, a teraz siąkają nosem wobec bolesnych rozczarowań, i wspominają Austro-Węgry jako „stare dobre czasy”?*

*Powiedz mi, bracie mój, czy jest logika w tym wszystkim? Albo w tym okropnym żarcie, że Grecja i Serbia wzięły się za ręce i skoczyły w krwawą otchłań po stronie ententy, Turcja zaś, ten odwieczny agent angielski, nie wiadomo dlaczego opowiedziała się przeciwko Wielkiej Brytanii, Bułgaria sprzymierzyła się ze swoimi tureckimi ciemężycielami i rzuciła w wojnę przeciwko swojej oswoobodzicielce Rosji, która ze swej strony... i tak dalej, i tym podobne.*

*Pierwsza wojna światowa jest jednym z owych dwu wielorybów, na których, jak wyrażali się starożytni, stanie moje opowiadanie. Drugim wielorybem jest, oczywiście, druga wojna światowa, i jeśli teraz stanąwszy drugą nogą na wielorybie, zacznę rozwódzić się nad sensem i bezsensem tej najstraszliwszej ze wszystkich wojen, to jak nic będzie po mnie już na samym początku, ponieważ wieloryby historyczne bardzo rzadko pływają równolegle. Wystarczy, że przypomnę Ci w związku z tym o wiecznych i świętych ideałach narodowych, w wyniku których podczas pierwszej wojny światowej Niemcy były śmiertelnym wrogiem Włoch i Japonii, a podczas drugiej wojny światowej uznały ich za braci rodzonych, zawierając z nimi taki sam wieczny i święty sojusz.*

*Zapomnijmy smutek tej najstraszniejszej wojny, który przekształcił się w tępy ból zastarzałego reumatyzmu, a właściwie człowiekowi jest zapominanie zła, gdyby bowiem wszyscy myśleli tylko o śmierci i utraconych bliskich, o racze przestaliby orać, młodzi kochać się, dzieci sylabizować zgłoski – owe złote ziarna z różańców myśli. Zapomnijmy ból, a wtedy sens wojen sprowadzi się do owego prastarego żartu, który prawdopodobnie słyszałeś sto razy w różnych wariantach, ale jednak go powtórzę, bo czy można powstrzymać Żyda, jeśli tylko postanowił opowiedzieć kawał? Szli gdzieś tam w Galicji z jednego miasteczka do drugiego Polak i Żyd. Żyd, który zawsze uważa się za mądrzejszego od innych, a mówiąc*

*inaczej, czuje się w prawie ich pouczyć lub się z nich naśmiewać, pokazał na drodze parujące jeszcze końskie łajno i powiedział: „Dam ci dziesięć złotych, jeżeli to zjesz”. Polak, wyrachowany jak każdy chłop, nie miał nic przeciwko, by zarobić dziesięć złotych. „Czemu nie”, odparł, marszczył brwi, sapał, ale skonsumował ów „pączek”. Żyd dał chłopu obiecane dziesięć złotych, ale ścisnęło go w żołądku, gdy sobie pomyślał, że za podobne głupstwo oddał tyle pieniędzy. Przy następnym parującym łajnie przetknął więc ślinę i zaproponował Polakowi: „Czy oddasz mi dziesięć złotych, jeżeli teraz ja to zjem?”. „Czemu nie”, powiedział Polak. Żyd marszczył się, sapał, ale łajno zjadł i dostał z powrotem swoje pieniądze. Ruszyli dalej w drogę, gdy w pewnej chwili Polak się zatrzymał, podrapał w głowę i rzekł: „Słuchaj, skoro wy, Żydzi, jesteście tacy mądrzy, czy możesz mi powiedzieć, po co jedliśmy to końskie łajno?”. Tym razem Żyd nic nie odpowiedział, co zdarza się przecież wyjątkowo rzadko.*

*Jeśli więc mnie pytasz o sens wszystkiego, co wydarzyło się podczas tych dwóch wojen i pomiędzy nimi, ja znów na twoje pytanie odpowiem pytaniem, na które nie ma odpowiedzi: „Po co, doprawdy, jedliśmy to końskie łajno?”. Nie wiem, bracie mój, czy zachowasz te moje słowa, ponieważ i Ty jesteś jak liść niesiony przez wichry losu, gdyż przypadki rozpatrywane są po waszemu, po marksistowsku, jako najzwyczajniejsza prawidłowość, którą wy, marksiści, tak dobrze przewidujecie, a jeszcze lepiej tłumaczycie przyczyny, z powodu których wasze przewidywania się nie sprawdziły. Ale ktoś mógł przewidzieć, oprócz Jehowy, czyli Jahwe, od którego Ty się odwróciłeś (nie czynię Ci zarzutów, każdy ma słuszość dla siebie) – kto mógł przewidzieć, że Ty, dobry rabin z naszego miasteczka koło Drohobycza, później będziesz działaczem związków zawodowych i przewodniczącym Klubu Ateistów? Czy mógłby ktoś przewidzieć, że nasze drogi spotkają się przy drutach kolczastych obozu Flossenbürg i że ogrodzenia obozowe, symbol i drogowskaz epoki, rozdziela nas na rozdrożu – Ty pójdziesz w jedną stronę, ja w drugą. Czy ktoś na ziemi, w piekle lub niebie mógł wiedzieć, że los okaże się tak hojny dla nas obu i zamiast w komorach gazowych lub w żydowskim rajku spotkamy się – pamiętasz, jakżeśmy się cieszyli – w gułagu, gdzieś tam na końcu świata, w Kazachstanie? Ale ty, ZEK 1040-260 P, jako polityczny musiałeś pójść w lewo, żeby kopać Kanał Białomorsko-Bałtycki im. Stalina, a ja – ZEK003-476 W – jako przestępca wojenny i zdrajca ojczyzny dopiero co powracałem z dna archipelagu, gdzie byłem tłumaczem wziętych do niewoli baronów, feldmarszałków i temu podobnych nosicieli Krzyża Żelaznego z liśćmi dębu, którzy tak uczenie, wspólnymi siłami, chwala Bogu, zdołali przegrać również i tę wojnę. Dla mnie, nic nieznaczącego Żyda, szeregowca z austro-węgierskiej armii, a później uczciwego pracownika Spółdzielni Krawieckiej nr 6 (to był zakład mojego ojca „Mode parisienne”, pamiętasz?), dla mnie było wysokim zaszczytem móc obsługiwać kawalerów Krzyża Żelaznego z liśćmi dębu. Oni się oczywiście dowiedzieli, że byłem tylko prostym żołnierzem, toteż zmuszali mnie, bym czyścił im buty i przynosił garnuszki z tłustą herbatą, ale nigdy się nie domyślili, że ja, zbaczając za baraki, sikałem do tej herbaty. Nawet któregoś razu baron von Rodenburg, którego, czy przypominasz sobie, Rosjanie schwytali w ubikacji na dworcu w Lipsku w chwili, gdy przebierał się za służącą, żeby przemknąć do Amerykanów, a zatem ten baron raz stwierdził, że dziś herbata ma dziwny smak. Wymamrotałem, że wczoraj na kolacji była zupa z rzepy. On wyniośle zapytał, co może być wspólnego między rzepą a herbatą, ja zaś pozwoliłem sobie zauważyć: „Między wszystkimi zjawiskami naszego bytu, panie baronie, istnieje tajemniczy związek metafizyczny”. Von Rodenburg spojrział na mnie przez monokl i orzekł: „Jesteś wścibskim żydowskim filozofem”. No i miałeś rację, baronie!*

*Nie wiem, gdzie teraz jesteś, bracie mój, prawdopodobnie jesteś znów w naszym miasteczku – znów rabinem lub sekretarzem miejscowego komitetu, lub dzielnicowym milicjantem, co jak zawsze nie ma znaczenia. Zapewne masz dużo dzieci i wnucząt, życzę im zdrowia i świetlanej przyszłości, dlatego ten miły naszemu sercu zakątek Europy jest punktem przecięcia słowiańskich, niemieckich i żydowskich namiętności, z chasydzkiego zmieszania*



*krwi przyjdzie na świat jakiś Szagal albo Szotem Nachimicz Rabinowicz, to jest nasz Szalom Alejchem, a u sąsiadów jakiś wielki antysemita, który tak samo po swojemu wystawia swój kraj ojczysty. Oby zaczyn, którym teraz historia zarabia swoje dzieci, był lepszy, oby nastąpiły dni mądrości, dni rozsądnego pokoju i braterstwa, żeby w przyszłych latach i wiekach, aż po dzień Sądu Ostatecznego, nikt nigdy więcej nie sikał komuś do herbaty, amen.*

*Całuję Cię – Twój stary przyjaciel i szwagier*

*Izaak Blumenfeld*

# PIERWSZA KSIĘGA IZAAKOWA

Jak poszedłem na wojnę, żeby zwyciężyć

## 1

Nasz zakład krawiecki „Mode parisienne” znajdował się przy głównej i prawdę mówiąc jedynej ulicy w Kołodźcu, po polsku małym miasteczku, a po naszymu *sztetl*. Nie mieliśmy witryny, tylko niskie okna z przyklejonymi wycinkami z paryskich i wiedeńskich czasopism z modą, a stali tam z powagą elegancyści dżentelmeni we frakach oraz czarujące damy ubrane na różowo, choć, o ile sobie przypominam, w naszym zakładzie nie został uszyty choćby jeden frak czy różowy strój damski. Mój ojciec najczęściej nicował stare, wyblakłe kaftany i cieszył się jak dziecko, kiedy podczas miary przed lustrem nicowane ubranie wyglądało jak nowe – tak przynajmniej twierdził przez zaciśnięte wargi, którymi przytrzymywał niewiarygodną liczbę szpilek. Ojciec był dobrym krawcem i tutaj jest miejsce, bym wspomniał jego ulubioną historię o tym, jak uszył czerwony mundur dla pewnego dragona z leibgardii Jego Wysokości (ja osobiście nigdy nie widziałem dragonów w naszym miasteczku) i jak klient, będąc bardzo zadowolony, gdy się przejrzał w lustrze, zapytał: „Nie rozumiem tylko, dlaczego do uszycia jakiegoś tam munduru potrzebny był aż miesiąc, podczas gdy wasz żydowski Bóg stworzył cały świat w ciągu sześciu dni”. Na to mój ojciec odrzekł: „Niech pan popatrzy na ten świat, panie oficerze, i spojrzysz na ten przepiękny mundur!”. Nie chce mi się wierzyć, by to była prawda.

Miałem osiemnaście lat, pomagałem ojcu w zakładzie, a w święta i na weselach piłowałem żydowskie piosenki na skrzypcach, każdego zaś piątku czytałem dzieciom w bóżnicznej szkole, po naszymu *bejt ha-mi-drasz*, wybrane rozdziały z Tanachu, czyli inaczej z Pięcioksięgu. Gdy chodzi o czytanie – czytałem i, jak się to mówi, czytałem z uznaniem i od serca, lecz nie można powiedzieć, bym w skrzypcach był Koganem. Uczyłem się grać u dobrego starego nauczyciela Eliezera Pinkusa, niech mu ziemia lekką będzie. Łagodnym i delikatnym człowiekiem był on, lecz któregoś razu nie wytrzymał i uprzejmie powiedział: „Proszę się nie obrazić, ale pański Icek nie ma żadnego słuchu...”, na co mój ojciec gniewnie odparł: „Na co mu słuch? On nie ma słuchać, tylko grać!”. I miał rację mój ojciec, teraz jakoś tam gram lub, jak już uściśliłem, piłuję na skrzypcach otrzymanych w prezencie od drogiego wuja Chaima na bar micwę, czyli z okazji mojego wstąpienia w religijną pełnoletność, na moje trzynaste urodziny.

Byłem marzycielem, podróżowałem w marzeniach aż do Wiednia i nieraz mój ojciec, Jakub vel Jasza Blumenfeld, drewnianym „łokciem” krawieckim wyrwał mnie ze słodkich wędrówek, bym znalazł się ponownie w Kołodźcu w pobliżu Drohobycza, siedząc przy stole z igłą wbita w niedokończony rękaw. W marzeniach zawsze byłem ubrany w jeden z tych strasznych fraków z paryskich żurnali, wysiadałem z fiakra, by ucałować tę delikatną i pulchną rączkę, ale zawsze w tym właśnie momencie ojciec traktował mnie miarą po głowie.

W ten sposób nigdy nie poznałem dalszego ciągu historii ani kim była ta czarująca panienka i dlaczego pomagałem jej wysiadać z fiakra. Prawdopodobnie widziałem taką scenę w kinie.

Przypomniałem sobie o kinie. Czasami kino przyjeżdżało na furmance aż z Lemberga, czyli ze Lwowa. Pan Lowa Weisman dziennikarz, wydawca gazety i właściciel aparatu filmowego, sprzedawał swoją gazetkę „Jüdisches Heimland”, a wieczorem w kawiarni Dawida Lejbowicza odbywały się seanse. To były zawsze filmy lub raczej resztki filmów o wspaniałych, dalekich światach, zamieszkanym przez niebywale piękne kobiety, które przymykają oczy, gdy szarmanccy panowie całują je w usta. Byliśmy nieoświeceni i zbyt prości, by zrozumieć tak wyszukane tematy, tym bardziej że pan Weisman przy zaistniałej sytuacji wojennej zaopatrywał się w te filmy Bóg wie skąd, dlatego napisy – wówczas kinematograf był niemy i z podpisami – były w takich językach jak duński, flamandzki, szwedzki, raz nawet japoński lub coś podobnego, a w Kołodźcu pod Drohobyczem nikt nie mówił w tych językach, a szczególnie po japońsku. Jedynie pocztillion Awramczyk, który brał udział w wojnie rosyjsko-tureckiej jako łącznik, utrzymywał, że rozumie po turecku, ale na szczęście nie zdarzył się ani jeden turecki film.

Przypominam sobie, pewnego razu oglądaliśmy dość długi fragment wyświetlany do góry nogami. Ktoś spróbował gwizdać i tupać, ale pan Weisman gniewnie odrzekł, że film po prostu taki jest i że się spieszy, by wrócić do domu, nim zapadnie noc. Czarujące damy i kawalerowie – panie i panowie – całowali się więc głowami w dół, co było dość zabawne. Czasami pokazywano przegląd wojsk, a wówczas Lowa Weisman patetycznie komentował: „Nasza niezwyciężona armia postępuje naprzód nieustraszenie”. Wszystko jedno, w jakim kierunku maszerowali żołnierze – z lewa na prawo lub z prawa na lewo, szli ku nam lub się od nas oddalali – komentarz był ten sam: „Nasza niezwyciężona armia postępuje naprzód nieustraszenie”. Dość późno zauważyłem pewną prawidłowość, otóż pan Weisman wypowiadał te słowa tylko wtedy, gdy podczas seansu zaglądał naczelnik policji, pan Wojtek.

Podobne, można by tak rzec, festiwale sztuki odwiedzały dziewczęta z Kołodźca – były wśród nich nasze Żydówki, Polki, Ukrainki. Żyliśmy, muszę ci powiedzieć, na ogół zgodnie, i nie dzieliliśmy się według religii lub narodowości, choć zalecaliśmy się do swoich – inaczej matka spoglądała krzywo, a ojcowie surowo napominali, byśmy nie mieli złudzeń, że pozwolą wziąć sobie dziewczynę nie-Żydówkę. Z tego powodu chętnie opowiadaliśmy historię przechrzczonego bankiera Goldberga, który wydał córkę za syna również przechrzczonego fabrykanta Silbersteina i szczęśliwie oświadczył: „Zawsze marzyłem o takim zięciu – bogatym i sympatycznym chrześcijańskim młodzieńcu z dobrej żydowskiej rodziny!”. Ale to zapewne anegdota, gdyż rzeczywistość odbiegała od niej daleko, a w Kołodźcu nie było bankierów i fabrykantów, wręcz odwrotnie.

Nie chodziło o film i mieszkańców owych dalekich i bajecznych światów, w których ludzie, jak się wydawało, nie mieli innych zmartwień, jak tylko pić szampana i całować się. Podczas takiej sceny, kiedy dama na ekranie – za ekran służył obrus z płamą po kawie, która pojawiała się to na twarzy damy, to znów na obliczu kawalera – otworzyła usta do pocałunku, ja mimo woli wyciągnąłem rękę i wziąłem w swoją gorącą dłoń rączkę Sary, siostry naszego rabina Szmula Bendawida. Ona nie zareagowała, patrzyła na film szeroko otwartymi oczyma, następnie zaś wraz z aktorką zamknęła oczy, a wtedy ja się pochylałem i ledwie, ledwie ją dotknąłem swymi gorącymi wargami. Trwało to chwilę, potem, jak się zdaje, Sara spostrzegła, że ja nie jestem tamtym z ekranu, spojrzała z oburzeniem i wymierzyła mi policzek. Niektórzy się roześmieli, ktoś drwiąco gwizdnął, w tym momencie naczelnik policji pan Wojtek zajrzał do kawiarni, a pan Lowa Weisman, który drzemał właśnie, otrząsnął się i uroczyście wyrecytował: „Nasza niezwyciężona armia nieustraszenie postępuje naprzód”. Krótko mówiąc, nie wyszło mi ani z różową damą w fiakrze, ani z Sarą!

Oprócz wzruszających wieczorów z filmami pana Lowy Weismana przepadałem za szabatem – świętym dla Żydów sobotnim wieczorem, i nie tylko dlatego, że następnego dnia

się nie pracowało. Lubilem, kiedy rodzina zbierała się wokół świątecznego stołu – wszyscy umyjni i uczesani, w białych, dopiero co uprasowanych przez mamę koszulach z płótna domowego – mój ojciec, ja, siostra Klara i jej narzeczony Sabetaj Kranc, który był pomocnikiem aptekarza we Lwowie, z czego byliśmy bardzo dumni, także wuj Chaim. Wysłuchiwaliśmy krótkiej modlitwy ojca sławiącej Adonaja, jedyne Boga Żydów, następowało uroczyste łamanie jeszcze ciepłego chleba, paliły się świece w siedmioramiennym świeczniku i pokój rozpościerał się nad całym Kołodźcem. Nawet chrześcijanie milkli tego wieczoru, nie było krzykliwych zawodzeń pijaków, ani też polskich bójek. Jeśli nie jesteś Żydem, to być może sobie myślisz, że u nas wieczór sobotni jest w sobotę? O nie! Jeśli istnieje coś, co u Żydów jest takie samo jak u innych ludzi, to byś się zdziwił. Nasz wieczór sobotni jest w piątek, tak właśnie jest, słowo honoru!

Przez cały następny dzień jest szabat, do zachodu słońca, Żydzi nie biorą się do żadnej pracy, toteż nawet najbiedniejsi rozkoszują się i wdychają pełną piersią radosny i głęboki sobotni pokój. Jedni z nich wstępują do bóżnicy pomodlić się do Boga i modlą się, pochylając w rytm niepojętych starożydowskich strof długo i w uniesieniu, inni robią to po łebkach i wychodzą na ulicę, by pospacerować i rozejrzeć się po świecie. Mijając się, poważnie, a nawet uroczyście kiwają głowami i zdejmują kapelusze zwyczajem wiedeńskim, tak jakby nie widzieli się od dwunastu lat, a przecież wczoraj o mało się nie pobili o to, że kozy jednego wlażyły do ogrodu drugiego. Kobiety serdecznie witają się *Szabat szalom, szalom* znaczy „pokój” i rzeczywiście spokój i cisza panują dookoła. W tym dniu zapominasz, że ponownie rozlegają się pogłoski o kozackich pogromach w Rosji, że jesteś tyle a tyle winien sklepikarzowi, że twój koń trochę utyka, a to wszystko nie wróży dobrze. I podczas całego sobotniego pokoju – zapewne wiesz o tym – grzechem jest zabrać się za jakąkolwiek robotę, wzniecanie ognia, a nawet palenie papierosów. W czasach starożytnych, tak się mówi, karano za to śmiercią, ale później, wraz z rozwojem niektórych bardziej humanistycznych idei, kara śmierci została zniesiona, przestępstwo to ogłoszono zaś grzechem o nieprzewidywalnych skutkach na tamtym świecie. Tak czy inaczej nie chcę nas chwalić, ale był to wielki wynalazek starożytnych Judejczyków, ów dzień wypoczynku. Do tego momentu bowiem nikomu do głowy nie przychodziło, że jeden dzień w tygodniu można nie pracować. Odlegli nam przodkowie tak uparcie jednak narzucali swoją innowację, że nawet Boga zmusili, by szybko wykonał swą pracę w sześć dni, a siódmego, jako dobry Żyd, mógł sobie wytchnąć. Jeśli dodam, że to okropny grzech i całkowicie jest zabronione podczas szabatu dotykanie pieniędzy – jako oznaki czegoś diabelskiego, nieczystego, choć przez pozostałe dni tygodnia Żydzi nie podzielają tej dość skrajnej opinii – zrozumiesz całą głębię mądrości i sensu Dnia Siódmego. Nawet istnieje kawał na ten temat, pewnie znasz, ale mogę ci go znów opowiedzieć.

Dwóch Żydów z dwóch sąsiednich miasteczek sprzeczało się, czyj rabin ma mocniejsze więzi z Bogiem, a przeto jest zdolniejszy do czynienia cudów.

„Oczywiście, że nasz, i udowodnię ci to” – powiedział pierwszy. „W poprzedni szabat nasz rabin szedł do bóżnicy, gdy zniecka lunął deszcz jak z cebra. Nie to, żeby nasz nie miał parasola, ale skoro w sobotę była zabroniona wszelka praca, jak miał go otworzyć? Spojrzał on w niebo, Jahwe natychmiast zrozumiał, i stał się cud, nie uwierzysz: z lewej strony deszcz, z prawej deszcz, a pośrodku suchy korytarz do samej bóżnicy! I jak, powiesz coś na to?” „A pewnie że powiem, i to jeszcze jak! Nasz rabin w ostatni szabat po modlitwie wracał do domu, i co widzi: na drodze leży studolarowy banknot! Co teraz? Jak go podnieść, skoro jest grzechem dotykać pieniędzy. Spojrzał nasz ku niebu, Jahwe od razu pojął i stał się cud: po lewej sobota, po prawej sobota, a w środku, nie dasz wiary – czwartek!”

À propos czwartku! Pierwszego czwartku maja 1918 roku o godzinie 10.30 przed obiadem wydarzyło się coś, co bardziej patetyczni autorzy nazwaliby jako „zwrotny moment w życiu” lub być może „chwilę historyczną”. W tej zwrotnej albo historycznej chwili mój ojciec Jakub

Blumenfeld brał miarę z prawego rękawa munduru komisarza policji, pana Wojtka, prawdopodobnie dla jakiejś naprawy, przy stole siedział i palił wuj Chaim, znany jako Chaimle – hulaka, nicpoń i bardzo dobry człowiek, jedyny z naszej rodziny, który był aż w Wiedniu, i to niejednym razem – a ja gapiłem się, to jest udawałem, że pracuję.

I dokładnie w tym miejscu opowiadania do zakładu wszedł, a raczej zjechał, ponieważ zakład „Mode parisienne” znajdował się trzy stopnie poniżej poziomu trotuaru, poczytylion Awramczyk z żółtą kartką w ręku.

– Wielka nowina dla was!

– Dobra czy zła? – ze ściśniętym sercem spytał mój ojciec, wpinając szpilkę.

Poczytylion zmieszany raz patrzył na nas, raz na kartkę, raz na pana komisarza policji, i widocznie nie mógł się zdecydować, czy nowina jest dobra, czy też nie. Wtedy pan Wojtek, jak to się mówi w komunikatach wojennych, wziął sprawę w swoje ręce i chwycił zawiadomienie. Przeczytał je i ocenił:

– Dobra! Twój syn Izaak Jakub Blumenfeld został powołany pod sztandary armii austro-węgierskiej i powinien stawić się dokładnie siedem dni po otrzymaniu pozwu i tak dalej, i tak dalej. Gratulujemy!

– Ale on jest jeszcze prawie dzieckiem... – wymamrotał ojciec.

– Jego wysokość doskonale wie, czy jest dzieckiem, czy prawdziwym mężczyzną! Przy tym dzieci nie całują po ciemku panienek podczas seansów filmowych!

– Zrobiłeś to? – surowo spytał ojciec.

– Niechcący – rzekłem, i to była sama prawda.

Ojciec wymierzył mi symboliczny policzek, by zrobić wrażenie na panu komisarzu.

– Oto, przed panem Wojtkiem, żebyś miał nauczkę.

– Dobrze – odparłem.

– Czy nie można by czegoś... – powiedział ojciec – w związku z chorobą serca lub czymś podobnym...

– Nie, nie – odparł pan Wojtek. – Dajcie spokój z waszymi żydowskimi numerami. Ojczyzna go potrzebuje! W tej chwili, gdy zwycięstwo nigdy jeszcze nie było bliżej.

– Bliżej kogo? – z wielkim zaciekawieniem zadał pytanie wuj Chaimle.

Komisarz otworzył usta, by odpowiedzieć, ale przemyślał to i dopiero dużo później orzekł:

– Sprawa się wyjaśnia.

– A tak w ogóle, czy dla Żydów to dobrze? – zapytała zatroskana mama, która nieoczekiwanie pojawiła się na górze schodów prowadzących do naszej kuchni, z której dochodził smakowity zapach barszczu.

– W jakim sensie, pani Rebeko? – zapytał komisarz.

– W sensie sytuacji na frontach.

– Dobrze dla nas.

– Dla nas? – zapytał zdziwiony wuj Chaimle.

– Powiedziałem dla nas, a nie dla was!

Wszyscy wiedzieliśmy, że pan Wojtek jest Polakiem i że pojęcia „nas”, „was” i „ich” w Austro-Węgrzech były sferą dość delikatną, do której Żydzi nie powinni się mieszać, dlatego wuj i ojciec spojrzeli na siebie, pokiwali porozumiewawczo jeden do drugiego i prawie jednocześnie powiedzieli:

– Tak, tak jest.

Odniosłem wrażenie, że nic nie było tak.

Charibi Szmul Bendawid, nasz rabin, kończył właśnie modlitwę, kiedy przekroczyłem próg bóżnicy, czyli po naszymu *bejt tefila* – domu modlitwy. Nie myślcie, że była to okazała świątynia z marmurowymi kolumnami i tak dalej. Stanowiło ją najzwyczajniejsze pomieszczenie z pobielonymi ścianami, małym drewnianym podium ustawionym przed wypłowiałą zasłoną, a zdobiły ją wyhaftowane święte słowa i znaki. Stąd podczas święta Pesach, czyli naszej Paschy, wynoszono Pięcioksiąg. Bóżnica ta nie była ani kościołem katolickim z oknami, które wypełniają błyszczące wielobarwne postacie z ukrzyżowanym Chrystusem, figurą Matki Boskiej i wieloma innymi kolorowymi atrybutami chrześcijaństwa, ani nie była też podobna do małej świątyni prawosławnej za rzeką, gdzie znajdowały się ikony w jaskrawych kolorach, połączony ikonostas, malowane ściany z różnymi scenami, które jako dziecko tak lubiłem oglądać. Pop Fiodor zazwyczaj chwycił nas za ucho i wyrzucał na zewnątrz, sycząc złośliwie: „Precz Żydzi ze świątyni Bożej! Sprzedaliście Chrystusa! Ukrzyżowaliście Go!”. My, dzieci, wiele razy próbowaliśmy mu wytłumaczyć, że chodzi o całkiem oczywiste nieporozumienie, ponieważ ani nie kupowaliśmy, ani nie sprzedawaliśmy ich Chrystusa, ale pop Fiodor rzucał w nas kamieniami, szczuł psem, toteż odkładaliśmy oglądanie tych wzruszających obrazków na bardziej sprzyjającą okazję. Bóżnica nie była taka jak kościół i cerkiew – zakazane w niej zostały wyobrażenia, rzeźby i temu podobne, dlatego każdy musiał wyobrazić sobie Jahwe tak, jak mu serce podpowiadało, i nie rozpraszać się oglądaniem scen biblijnych, lecz nawiązywać z Bogiem cichą i serdeczną rozmowę, poskarżyć się na swój los (a czyś spotkał Żyda, który by na swój los nie utyskiwał?). Jahwe lub w tłumaczeniu „Ten, Który Jest” także może się poskarżyć, że życie stało się, powiedzmy, drogie, że bochenek chleba teraz kosztuje tyle, co wcześniej cała miarka zboża, że i w niebie owies dla konia nie jest za darmo, że musi spłacać kredyty hipoteczne zaciągnięte jeszcze w czasach Stworzenia i temu podobne – tak postępuje każdy porządny Żyd, gdy drugi Żyd mu się żali. Wówczas pierwszy zasypuje go swymi troskami i tym oddala ów nieprzyjemny moment, kiedy zostaje poproszony o pożyczanie pieniędzy. Nie jest to bynajmniej wczorajszy Jahwe, Ten, Który Jest, wie w czym rzecz od kilku tysięcy lat, a może i dłużej. Istotne, by poskarżyć się, a nawet popłakać – to przynosi ulgę. Ale odbiegam od tematu, podobnie jak Salomon i Aron, którzy żalili się jeden drugiemu, każdy z obawą, że ten drugi zechce pożyczyć pieniędzy, i tak skarżąc się wzajemnie, nie spostrzegli, że trochę zbczyli z drogi i zamiast do Wiednia dotarli do Warszawy.

Taki zresztą jest też przypadek z naszym prorokiem Mojżeszem, który wywiódł Żydów z Egiptu, obiecując, że zaprowadzi ich do świętej ziemi kanaańskiej, lecz tak się zagadał z Bogiem, jak tylko dwóch Żydów może się zagadać, i tak był pochłonięty omawianiem tego i owego, iż zamiast zaprowadzić nas do Kanaanu, miotał naszym plemieniem po pustyni całe czterdzieści lat. To wręcz gruntowna wymiana myśli, tym bardziej że Mojżesz, jak ci wiadomo, jąkał się, co w najmniejszym stopniu nie ułatwia dialogu. Nawet opowiadają, że raz, gdy był młodzieńcem, faraon zapytał, czy zawsze się tak jąka.

– N-n-nie z-z-zawsze. T-t-tylko, kiedy mówię.

Nie wiem dokładnie, o czym rozmawiali, ale niewątpliwie wzajemnie narzekali. Nawet opowiadają, że jakiś pustynny ptaszek przeleciał i zrobił kupkę, wyobraź sobie, na głowę naszego proroka Mojżesza. Dotknął on swojej głowy, popatrzył na ubrudzone palce i z goryczą odezwał się do Jahwe: „Arab-b-bom to świergoczą...”.

Ale byliśmy przy nabożeństwie w bóżnicy.

Po nabożeństwie rabin Szmul Bendawid zbliżył się do mnie, a ja, ściskając pod pachami ogromne oprawione tomy Tory i Talmudu, oznajmiłem, że chcę je zwrócić, ponieważ dostałem powołanie do wojska. Powiedziałem to, nie ukrywając dumy, przyznając, niemądry

są młodzi ludzie, którzy uważają, że powołanie „pod sztandary” oznacza, że przypisuje im się cechy, których dotychczas nie mieli. Nie rozumieją, że w koszarach tracą również i te właściwości, które już mieli. I tak, wypełniony niezasłużoną dumą, szedłem do rabina – niech teraz powiem prawdę – nie po to, żeby się z nim pożegnać, lecz dlatego, że miał siostrę Sarę.

Rabin zaprosił mnie na herbatę do domu, oznajmując, że zaskoczy mnie drugą nowiną. Jednopiętrowy dom znajdował się w ogrodzie przy bóżnicy, skąd bezpośrednio wchodziło się do pokoju gościnnego. Tuż przy wejściu o mało co nie wpadliśmy na siebie z Sarą, twarz mi spłonęła, jej też, a przynajmniej tak mi się zdawało. Rabin zlecił siostrze, by przyniosła herbatę. Siedzieliśmy we troje, piliśmy herbatę, nie śmiałem spojrzeć, lecz czułem jej wzrok, a gdy podnosiłem ku niej oczy, ona odwracała spojrzenie. W ogóle atmosfera, jak to mówią literaci, była ciężka. Rebe Szmul jakby nic nie zauważał, zajmując się najstaranniej i z właściwą jedynie w takich okolicznościach pedantycznością rytualnym przygotowaniem herbaty, łamaniem cukru obcążkami, rozdzielaniem konfitury z wiśni na trzy małe talerzyki przyozdobione pofalowaną, złożoną wstęgą.

– Czy znasz – powiedział rebe – ten żart o rabinie, który jako jedyny posiadał tajemnicę parzenia dobrej herbaty?

Oczywiście, że znałem, ale w tej chwili nic nie mogło być lepszym ratunkiem. Nikt nie mógł zaparzyć herbaty tak jak on, ale on święcie strzegł swej tajemnicy. Na herbatę do niego przychodził nawet sam gubernator, ale i jemu rabin odmawiał wyjawienia tajemnicy. Gdy umierał, starszyzna prosiła go:

– Odchodzisz, rebe, czyżbyś chciał zabrać tajemnicę ze sobą? Powiedz nam, jak robisz swoją słynną herbatę?

Wtedy rabin zażądał, by wszyscy opuścili pokój oprócz najstarszego z nich. I szepnął mi na ucho resztkami sił:

– Syp więcej herbaty do czajniczka. Nie skąp. To jest tajemnica!

Roześmialiśmy się, nasze spojrzenia z Sarą spotkały się i natychmiast rozeszły. Zapytałem:

– O jakiej niespodziance chciałeś mi powiedzieć?

Rabin wyciągnął rękę i wziął z kredensu złotą kartkę – zupełnie taką samą jak moja.

– I mnie powołują do wojska. W charakterze polowego rabina. To znaczy, że Bóg nie pozostawił cię bez cadyka, czyli, innymi słowy, bez duchowego opiekuna.

Szczerze się ucieszyłem.

– To znaczy, że będziemy razem i razem będziemy wracać na urlop...

Te słowa były skierowane do Sary, dlatego, gdy popatrzyłem na nią, nie spuściła oczu, a jej wzrok wydawał się wyrażać zatroskanie.

– Albo razem zginiemy – powiedział rabin i szybko dodał: – Żartuję oczywiście. Wojna już się ma ku końcowi i wkrótce nastanie pokój.

– A kto według ciebie zwycięży? – zapytałem. – Nasi czy ci inni?

– Kim są nasi? – powiedział w zamyśleniu rebe. – I kim są ci inni? Czy to ma jakieś znaczenie, kto zwycięży, skoro zwycięstwo będzie przypominało krótką kołdrę? Gdy ją pociągamy do góry, wystają nogi. Gdy zechcesz ogrzać nogi, nie przykryjesz góry. Im dłużej trwa wojna, tym krótsza staje się kołdra. Toteż zwycięstwo nie ogrzeje już nikogo.

– Nie rozumiem, co masz na myśli – powiedziałem.

– Przyjdzie czas, że zrozumiesz. Kiedy zarówno zwyciężeni, jak i zwycięzcy będą płacić za potłuczone garnki. Tak jak mówił prorok Ezechiel: „Ojcowie jedli kwaśne grona, a zęby synów ścierpły?”. Posłuchaj, opowiem ci pewną historię o papieżu i głównym rabinie Rzymu.

Nasz rebe Bendawid był niesamowity, na każdy przypadek z życia miał w szufladach pamięci gotowe przykłady, które w naszych stronach nazywaliśmy chochmami, coś w rodzaju mądrych przypowieści. Bendawid zaczął opowiadać swoją kolejną chochmę.

– Papież zmarł, a najbliższym przyjacielem nowego kandydata na papieża był główny rabin Rzymu. Przyszły papież oznajmił mu rzecz następującą:

– Przebadalem, przyjacielu mój, archiwa papieskie z wielu stuleci. Zawsze powtarza się ten sam rytuał: toczą się ambasadorowie i królewscy posłańcy z całego świata, przynosząc dary i życzenia dla nowego papieża. I na przestrzeni wszystkich tych stuleci ostatni w otoczeniu dziesięciu synagogałnych „starszych” przychodzi rabin Rzymu. Mówi, co ma do powiedzenia, a potem bierze od jednego ze starszych poźótkłą, pergaminową kopertę i podaje papieżowi. Papież ogląda kopertę i z lekką pogardą zwraca ją rabinowi. Żydzi kłaniają się i wychodzą. I tak jest od niepamiętnych czasów, tak będzie i tym razem. Powiedz mi, mój przyjacielu i doradco, co jest w owej kopercie?

– Nie wiem – odrzekł rabin. – Ja ją otrzymałem od mojego poprzednika, niech mu ziemia lekka będzie, on od swojego poprzednika, i tak od początków rachuby czasu. Ale co jest w kopercie, na Boga, nie wiem.

– Zróbmy więc, bracie, tak – powiedział przyszły papież. – Jak tylko przejdziecie, a wy zawsze jesteście na końcu, ja wycofam się do biblioteki. Jeden z moich kardynałów cię dogoni i zaprosi do mnie. Weź ze sobą tę kopertę i w końcu zobaczymy, co jest w środku. Ostatecznie takiego grzechu nie wymieniono w Piśmie Świętym.

– Zgoda – rzekł rabin, który był znany z umiłowania wolności.

Tak też zrobili. Kiedy zostali sami w papieskiej bibliotece i otworzyli starożytną kopertę, jak sądzicie, co znajdowało się w środku?

– Co? – zapytaliśmy jednocześnie z Sarą.

– A oto, co znajdowało się w kopercie: niezapłacony rachunek za Ostatnią Wieczerzę! Czy teraz rozumiesz moją myśl o rachunkach, które wcześniej czy później trzeba zapłacić?

Kiwnąłem mądrze, jakbym rozumiał. Najuprzejmiej lub nawet trochę oficjalnie pożegnałem się z Sarą, podziękowałem za herbatę, podaliśmy sobie ręce. Charibi Bendawid odprowadził mnie na zewnątrz, ale w chwili, gdy przeszedłem przez ogródek, już przy furtce, dogonił mnie jego głos:

– Icek, z jakiego to powodu przyszedłeś do nas?

Spostrzegłem, że w całym tym zamieszaniu zabrałem ze sobą Torę i Talmud, które niby to zamierzałem oddać rabinowi. Wróciłem, by zwrócić księgi, a wtedy zauważyłem w jego kącikach ust dobry, jakby rozumiejący uśmiech.

### 3

Siedziałem na skraju parowu, nisko w dole rozpościerały się pola Kołodźca, a spokojna i kręta rzeczka kapryśnie wiła się raz w jedną, raz w drugą stronę pośród rozkwitłych wiśni i dzikich śliw. Tylko ten, kto nie był w Kołodźcu koło Drohobycza, nie może wyobrazić sobie tej boskiej rozkoszy – łany *żyta*. mieniające się niebiesko, zieleń młodego jęczmienia, rozkwitły żółcią rzepak, białe kwiaty drzew owocowych i w sam raz nad nimi białe chmurki na niebie. Człowiek wówczas nie wie, czy ziemia odzwierciedla niebiańskie piękno, czy też Bóg, zadowolony i rozleniwiony przez majowe słońce, ogląda własne dzieło w wielkim zwierciadle Natury. Daleko ścieżką podążają białonogie i bosonogie Ukrainki, poznasz je po śnieżnobiałych chustach, i aż tu dochodzi falami, przerywana przez wietrzyk ukraińska pieśń dziewczęca. Dogoniła je furmanka z białym konikiem, dziewczyny pomachały, woźnica im odmachał, po czarnym kapeluszu z szerokim rondem łatwo poznasz, że był z naszych, a przejeżdżając obok, rzucił prawdopodobnie jakiś pikantny żart, bo aż tu dochodzi ich dźwięczny śmiech.



Ktoś usiadł koło mnie, położył mi rękę na ramieniu, aż się przestraszyłem. To był wuj Chaimle.

– Nie smuć się – powiedział. – Żołnierka jest jak odra, zapalenie migdałków i koklusz, choć raz w życiu trzeba je przejść. Zapalisz papierosa?

Spojrzałem nań zdziwiony.

– Wiesz, że nie palę.

– Nie jestem w stanie wyobrazić sobie bohatera wojennego, który by nie palił! No, proszę.

Wziąłem papierosa, wuj Chaimle długo potrząsał i pstrykał swą wielką, benzynową zapalniczką, aż wybuchła dymiącym płomieniem. Zaciągnąłem się, zakaszlałem i wesoło się roześmiałem poprzez łzy i dym.

– Czy ty rzeczywiście ją kochasz? – niespodziewanie spytał wujek.

– Kogo? – spieszyłem się.

– Te, z powodu której dostałeś od ojca policzek.

– Dwa – odparłem. – Jednego także od niej.

– Oho – powiedział wuj. – To znaczy, że sprawa nie jest załatwiona!

– Nawet o tym nie myślę – powiedziałem poważnie. – To było tylko tak.

– A nie powinno być tylko tak. Ty idziesz na wojnę, będziesz zdobywał państwa i kontynenty. W opanowanych stolicach będą cię witać i przystrajać kwiatami twoją broń czarujące kobiety z dużymi piersiami...

– Wuju, proszę cię... – powiedziałem zażenowany.

– Nie przerywaj i patrz mi w oczy, kiedy mówię. Dokąd ja doszedłem... Ciebie pytam, dokąd to doszedłem?

Przełknąłem ślinę.

– Do dużych piersi.

– A więc. Nie mogę cię rzucić nieoświeconego do ich ciepłego łóżka. Jutro wyjeżdżamy do Wiednia. To będzie mój prezent dla ciebie.

Promieniałem z radości.

– Aż do Wiednia?

Ale mój tata tego samego wieczoru bynajmniej nie był tak radosny, kiedy się gniewnie odezwał:

– Ależ to jest bardzo drogi wyjazd!

– Dla ciebie wszystko jest bardzo drogie – powiedział wuj Chaimle. – Wszak ja płacę, nieprawdaż?

Siedzieliśmy wokół stołu, jedliśmy kolację.

– A skąd masz tyle pieniędzy, Chaimle? – zapytała mama.

– Nie należy pytać, skąd masz pieniądze, ale na co masz pieniądze. Mam, żeby zabrać twojego syna do Wiednia. Niech zobaczy naszą stolicę, zanim na długie lata pójdzie do okopów... – Najwyraźniej wujek się trochę zagalopował.

– Długie lata?! – przeraziła się mama. – Czyż wojna się nie kończy?

– Nie masz wycucia poezji jako takiej. W poezji mówi się „długie lata”. Albo na przykład: „On zadzwonił do drzwi i przeszła cała wieczność, dopóki mu nie otworzono”. A ile czasu, myślicie, upłynęło? Raptem dwie minuty! – Wuj Chaim wstał, mówiąc do mnie: – Jutro o ósmej przyjeżdżam kabrioletem, żeby cię zabrać. Jeśli nie będzie opóźnienia, pociąg odjeżdża o dziewiątej czterdzieści pięć. – Wuj sięgnął po zegarek do małej kieszonki przy kamizelce i w pierwszej chwili nie uświadomił sobie, że takowego nie ma, toteż z przyzwyczajenia zaczął szukać, lekko poklepując kieszonkę, by z pewnym poczuciem winy oznajmić: – Zdaje się, że go zgubiłem.

– Złoty zegarek?! – krzyknęła mama.

– No i co z tego, że złoty? – obruszył się wuj. – Czy złotych zegarków się nie gubi? Icek, jutro o ósmej.

Chwycił kapelusz z wieszaka, wymamrotał „szalom” i wymknął się skonfundowany. Mama i tata spojrzeli na siebie. Pochodzenie pieniędzy na wyjazd do Wiednia zostało wyjaśnione.

#### 4

Kołysaliśmy się w przedziale trzeciej klasy, wuj Chaimle zamyślony patrzył przez okno na splątujące się druty telegrafu. Ja zdaje się drzemałem. W przedziale pełno było żołnierzy – jeden o kulach, drugi z obwiązaną głową – najwidoczniej urlopowani, któryś z nich zapytał wuja, o której dojedziemy do Wiednia. Wuj uprzejmie sięgnął po zegarek, długo szukał, aż sobie nie przypomniał, i ukradkiem spojrzął na mnie. „Okolo piątej” – poinformował pytającego.

Przypomniałem sobie anegdotkę o rabinie w pociągu do Warszawy, kiedy młody współplemieniec siedzący naprzeciwko zapytał, która jest godzina. Rabin przyjrzał mu się milcząco, nic nie powiedział, a nakrywszy się płaszczem, zasnął. Rankiem, dokładnie przed przyjazdem pociągu na dworzec w Warszawie, rabin się odezwał: „Zapytał mnie pan, młodzieńcze, która jest godzina. Teraz jest ósma dwadzieścia, dojechaliśmy”. „Dlaczego, szanowny rebe, nie odpowiedział mi pan wczoraj wieczorem?” „Dlatego, że droga jest daleka, chłopcze, i gdybym ci powiedział, to byś mnie zagadał. Później byś mnie zapytał, czy mieszkam w Warszawie i pod jakim adresem. A potem od słowa do słowa, między innymi, czy mam córkę. I tak któregoś dnia byś się zjawił w moim domu i poprosił o jej rękę. Ja natomiast nie mam zamiaru wydawać mojej córki za człowieka, który nic nie ma, nawet zegarka!”

Znów popatrzyłem na drogiego wuja Chaima, który też się zdrzemnął. Miał duże kręcone, rudawe bokobrody, marynarkę w kratę i stary melonik na kolanach, mógł więc uchodzić za czcigodnego, prowincjonalnego handlarza zbożem lub bydłem, chociaż nim nie był. W rzeczywistości nie miał konkretnego zawodu, żył bez określonego zajęcia, z głową wiecznie wypełnioną nowymi, wspaniałymi planami, które w odległej perspektywie miały się zakończyć wyjazdem do Ameryki. „Niełatwo jest – mówił – stanąć na twardej, amerykańskiej ziemi. Ale dalej wszystko idzie jak po maśle! To nie jest jakiś tam Tarnów, lecz Ameryka!” Liczył bardzo na pewną, nieznaną w naszych stronach innowację – elektryczne odkurzacze, tak modne w Ameryce. Przywiózł kilka sztuk – obwieszczając, że przyjmuje zamówienia – ale nikt nic nie zamówił, nie dlatego, że towar był zły, lecz dlatego, że w Kołodźcu wczesnych lat mojego dzieciństwa jeszcze nie było elektryczności i tylko nasz drogi cesarz wiedział, kiedy ją podłączyć. Później wuj oferował pięćdziesiąt gramofonów z tubą oraz masę płyt z niemieckimi szlagierami. Z wielką przyjemnością demonstrował każdemu, kto chciał poznać jakość gramofonów, i tłumaczył, że gramofon jako taki podniesie ogólną kulturę kraju rodzinnego. Zmieniał igły i płyty, ludzie zbierali się, by posłuchać, poklepywali go, prosili o jeszcze i jeszcze, dopóki któregoś dnia igły się nie skończyły, a wuj nie miał już pieniędzy na nowe. Nie został sprzedany ani jeden gramofon, wuj załadował więc cały towar na furmankę i zniknął nie wiadomo gdzie. O ile pamiętam, jedynym jego prawdziwym sukcesem finansowym było kupienie na jakiejś wojskowej licytacji dużej liczby koców. Podczas farbowania popełniono jednak jakiś błąd, toteż zamiast brązowego koce nabrały koloru brudnofioletowego z różowymi plamami. Wprawdzie wuj je sprzedał, ale bardzo tanio. Nie minęło dużo czasu i nie bez udziału zakładu krawieckiego „Mode parisienne”, w Kołodźcu koło Drohobycza wszyscy nosili jednakowe garnitury w kolorze brudnofioletowym z różowymi plamami. Ale nie wierzę, by ta transakcja zbliżyła wuja choćby na krok do upragnionych granic Stanów Zjednoczonych Ameryki. Niezależnie więc od finansowego

sukcesu z kocami wuj ponownie został bez grosza w kieszeni, chociaż z głową pełną pomysłów, które niekiedy przynosiły mu taki bądź inny banknot, ale z zastraszająco nikłą liczbą zer. W takie dni, gdy ktoś naiwny w kafejce prosił o pożyczenie pieniędzy, wuj Chaimle odpowiadał niezmiennie: „Zgoda, ale kiedy wrócę z Paryża”. „Jak to – dziwił się tamten – wyjeżdżasz do Paryża?” I tu następowała odpowiedź wuja: „Nawet o tym nie myślę!”.

Potem przeszedł konduktor, zawiadamiając, że pociąg wkrótce wjedzie do stolicy naszej ojczyzny, Wiednia.

## 5

Co ci opowiedzieć, bratku, o tym niebywałym mieście, z czym je porównać? Widziałem inne miasta, byłem nawet w Truskawcu, w Stryju, Drohobyczu, ale to tak jakbyś porównał naszego komisarza, pana Wojtka, z Jego Wysokością Karolem I lub z naszym wielkim zmarłym cesarzem Franciszkiem Józefem! Albo jak w tej historyjce, może znasz, o Aronie, który roztargniony wszedł do bóżnicy bez kapelusza, a rabin go skrzyczał i nakazał mu opuścić świątynię Bożą. „Dlatego – powiedział rabin – że wejść do bóżnicy bez nakrycia głowy jest grzechem porównywalnym tylko z grzechem przespania się z żoną swego najlepszego przyjaciela”. „A tak, rebe – odparł Aron – próbowałem i tego! I jakaż to różnica!” To taka jest mniej więcej różnica między Truskawcem a Wiedniem.

Szliśmy ulicami Wiednia, ja niosłem walizeczkę wuja i raz po raz przystawałem, by pogapić się na domy, dwupiętrowe autobusy, na tramwaje, błyszczące fiakry, a on wciąż brał mnie pod łokieć, przypominając, że musimy już iść. Prawdę mówiąc, myślałem, że Wiedeń będzie stolicą pogrążoną w kłopotach spowodowanych wojną. Nie, żeby wojny nie odczuwało się w ogóle – wielu oficerów widać było na ulicach, w kawiarniach, czasem przechodził patrol wojskowy lub przejeżdżała ciężarówka z żołnierzami, ale miasto wydawało mi się beztrudne, lekkomyślne i wesołe, coś w rodzaju wuja Chaima. Tyle że dużo bogatsze.

W końcu zatrzymaliśmy się pod hotelem. Nazywał się „Astoria”, jeśli dobrze pamiętam. To nie był zwykły budynek, lecz pałac z mitycznymi istotami, które podtrzymywały balkony i wykusze, ze schodami z różowego marmuru, obrotowymi drzwiami z kryształowego szkła i okuciami z błyszczącego mosiądzu. Wewnątrz świeciły, choć być może było to złudne odbicie w oknach, miliony świateł. Dwaj mężczyźni w niebiesko-złoty uniformach i śnieżnobiałych rękawiczkach, nadający się na marszałków lub nawet kronprinców, stali na zewnątrz, godnie witali i żegnali gości. Dwaj chłopcy, również ubrani w niebiesko-złote stroje, z czymś podobnym do niebieskich garnków na głowach, zdejmowali lub też ładowali do samochodów walizki, ale jeśli dalej będę ci opowiadał, to rozplączę się ze wzruszenia. Stałem z otwartymi ustami, aż wuj mnie nie popchnął.

– Wchodźże.

– Tutaj?! – zapytałem zdumiony.

– A gdzie indziej? Czyż nie tu mamy mieszkać?

Nie wierzyłem oczom i uszom. Całkiem osłupiałym poszedłem z walizeczką za wujem, marszałkowie i kronprincowie spojrzeli, ale nie zwrócili na nas szczególnej uwagi – pozwól mi dodać, że ja byłem choć prowincjonalnie, ale jednak przyzwoicie ubrany, nie zapominaj, kim był mój ojciec, Jakub Blumenfeld, i że on, przynajmniej według jego własnych słów, uszył nawet czerwony mundur dla pewnego dragona z leibgardii Jego Wysokości!

Rzeczy w środku przyprawiły o zawrót głowy: palmy pod kryształowymi lustrami, ludzie schodzący szerokimi schodami wyścielonymi pośrodku niebieskim chodnikiem, damy w

sukienkach lekko ściągniętych tuż nad kolanami, palące papierosy w długich lufkach i mężczyźni we frakach, zupełnie jak ci z okien w Kołodźcu.

Schodami schodzili jednoręcy, wyelegantowani oficerowie z głębokimi bliznami na twarzach i pustym rękawem przytrzymywanym paskiem, z monoklem – wyglądali na Niemców. Wydawało się, że być jednorękim i z blizną na policzku było modne, ponieważ Niemcy poruszali się dumnie jak maharadzowie na białych słoniach. Jeden z chłopców w niebieskim garnku na głowie poruszał dzwoneczkiem – dzwonił delikatnie, by nie spłoszyć kogoś, a na małej, czarnej deseczce, którą trzymał, napisane było kredą „Mr Olaf Svenson”, uznałem że to nie chłopak był owym Olafem Svensonem, lecz poszukiwano takiej osoby lub coś w tym rodzaju.

Mało powiedzieć, że byłem oszołomiony – w gardle mi zaschło, wydawało mi się, że w każdej chwili wtargną policjanci, że aresztują nas, mnie i wuja, jako ludzi, którzy znaleźli się bezprawnie w obcym filmie, albo jako oszustów z Kołodźca koło Drohobycza, którzy w złych zamiarach wmieszali się w ten różowy, niebiesko-złoty, pachnący i nienależący do nich świat.

Nawiązując do tych oszustów i patrząc na marmurowe stoliki, przy których damy piły kawę ze śmietanką i wytwornie jadły ciepłą struclę, a ważni panowie czytali gazety na cienkich, bambusowych podkładkach – mam na uwadze gazety, nie panów – a obok stolików na wdzięcznie giętych wieszakach zwiślały niesamowite palta, jakich nigdy nie widzieliśmy w Kołodźcu, przypomniałem sobie historię, która prawdopodobnie wydarzyła się w podobnym miejscu.

– Przepraszam, czy pan Mosze Rabinowicz?

– Nie.

– Rzecz w tym, że Mosze Rabinowicz jestem ja, a pan w tej chwili wkłada moje palto.

Ale wcale mi nie było do takich żartów, a jeszcze mniej do pomysłów ubierania się w cudze palta. W tym momencie wuj Chaimle zbliżył się do ważnego osobnika w uniformie. Tutaj nie mogłem się zorientować od razu, którzy są panami, a którzy sługami, ponieważ ten na przykład, jakby był właścicielem stajni z pięćdziesiątką koni, spojrzał na wuja z wysoka, potem nieco się schylił i zwrócił uchem do niego – zdaje się, że wuj skrepowany mówił cicho i musiał powtórzyć pytanie do jeszcze niżej pochylonego ucha. Właściciel stajni zdziwiony uniósł brwi, wuj sięgnął do kieszonki po napiwek, ale jawnie się rozmyślił i z nadgorliwą uprzejmością zaproponował papierosa. Człowiek jeszcze bardziej zdziwiony popatrzył na papierosy z obrzydzeniem, potrząsnął głową – albo nie był palaczem, albo dorożkarskie papierosy wuja wprawiły go w zdumienie, przy czym drugą hipotezę uważam za bardziej prawdopodobną.

Wszystko to nie trwało nawet dwóch poetycznych minut wuja, ale mnie naprawdę wydało się, że trwa całą wieczność, dopóki ów „ważny” nie wskazał białą rękawicą na koniec hallu. Wuj zwycięsko dał mi znak, bym poszedł za nim, i ruszył dalej.

Przechodziliśmy obok witryn z perfumami i różnymi damskimi specjalnościami, obok świecącej, szklanej reklamy z górskim pejzażem, która zapraszała do spędzenia lata w Alpach Tyrolskich, dziękuję, ja ledwo co mógłbym skorzystać, ponieważ za tydzień musiałem stawić się pod sztandary.

Przez kolejne drzwi weszliśmy na korytarz, gdzie nie było już dam z długimi lufkami i panów we frakach, a coraz częściej otaczali nas spieszący się kelnerzy z kawą i ciastkami, następnie dotarliśmy do metalowych drzwi z napisem „Wyjście awaryjne” i wuj odważnie wszedł do środka. Schodziliśmy cementowymi schodami, nasze kroki odbijały się echem w pustej studni z pobielonych cegieł, coraz niżej, do samego dna. Tam znajdowały się inne metalowe drzwi. Wuj ostrożnie je uchylił, a stamtąd powiało gorącym powietrzem, słychać było warkot pomp i syk pary. Domyślasz się, że to była kotłownia, przechodziliśmy obok rur i rezerwuarów, przeskakując tu i ówdzie przez kałuże na cemencie, aż naprzeciwko nagle nie

pojawił się olbrzym, czarny od węgla i oleju. Spojrzał na nas i po chwili białoróżowe wnętrze warg ukazało się w radosnym uśmiechu.

– Chaimle, bratku!

Wuj Chaimle ostrożnie go objął, chroniąc swą jasną marynarkę w kratę, popatrzył na swoje dłonie i oznajmił:

– To jest mój siostrzeniec Izaak, idzie na wojnę. A to jest mój dobry przyjaciel Miklosz, Węgier i palacz.

*Czokolom* lub coś w tym rodzaju powiedział Węgier i podał mi swą wielką, czarną dłoń. Potem wspięliśmy się za nim po metalowej drabinie i zaprowadził nas do swego pokoju – dwa łóżka, piec gazowy i żeliwna umywalka.

Siedzieliśmy wokół małego stolika, pan Miklosz, uradowany patrząc na wuja, zaproponował:

– Tu będziecie spać. Po piwku? Na pewno jesteście spragnieni po podróży.

– Może – zgodził się wuj.

Rozmawiano w owym dziwnym języku, ukształtowanym w miłych naszemu sercu Austro-Węgrzech, którego używało się tylko w kontaktach międzyetnicznych, jakby to wyrazić, takie federalne esperanto. Jego podstawę lub, dokładniej mówiąc, jego szkielet stanowił niemiecki, do którego pchały się nachalnie i swawoliły bezczelnie wraz z przypadkami i rodzajami, trybami i imiesłowami, językowi emigranci pochodzenia słowiańskiego, węgierskiego, żydowskiego, a nawet bośniacko-tureckiego. Ale każda etniczna część składowa w wielkim imperium mówiła własnym językiem, w którym przemawiali podczas występów wszelacy inni dostojni lingwistyczni goście. Nawet sami Austriacy pomiędzy sobą posługiwali się językiem, który lekkomyślnie nazwali niemieckim, ale gdyby biedny Goethe mógł ich słyszeć, powiesiłby się na pierwszej z brzegu latarni gazowej. Dużo później, gdy moje życie wymusiło na mnie bliższe kontakty z rdzennymi mieszkańcami tego alpejskiego kraju, łatwiej mi było uiścić podatek za uprawianie zawodu dentysty, aniżeli wytłumaczyć odpowiedniemu inspektorowi, że nie jestem dentystą. Kiedy zapytano Abramowicza, czy w Paryżu nie miał trudności w porozumiewaniu się swoją francuszczyzną, odpowiedział: „Ja osobiście żadnych, ale Francuzi, z którymi rozmawiałem – ogromne.

Podczas gdy Węgier krzątał się ze szklankami, butelkami i tak dalej, wuj poklepał mnie po ręku.

– Czy rzekniesz coś, żołnierzu?

– Chce mi się sikać – odrzekłem z rezygnacją.

To były moje pierwsze słowa, odkąd przestąpiłem próg marmurowego świata „Astorii”. Wypowiedziałem je w czystym jidysz, jeśli pojęcia „czystości” można użyć w stosunku do tego amalgamatu języków niemieckiego, słowiańskiego i asyryjsko-arabskiego.

## 6

A potem wydarzyło się coś nie do opowiedzenia, oby tylko mama się nie dowiedziała. Byliśmy w jakimś lokalu, wuj i Węgier upici, były z nami także trzy kobiety. Jedna z nich, muszę przyznać, bardzo ładna dziewczyna, mocna i jasna, podobna do węgierskiej chłopki, ciągle mi nalewała owo wiedeńskie heurige, młode wino, które gubi drogę i zamiast do żołądka idzie prosto do głowy, a ja piłem i piłem jak ostatni głupek. Na małej scenie też się działo, dziewczyny śpiewały nie całkiem przyzwoite piosenki, podnosiły spódnice i raz pokazywały to coś z przodu, a raz tyłki. Cała karczma śpiewała, i tak jak jest przyjęte w całym naszym wielkim imperium, ludzie się obejmowali i kołysali w takt piosenki. Było sporo żołnierzy, a mnie robiło się słabo od ciężkiego smrodu cygar i wina. Wiesz przecież,

jak było u nas w Kołodźcu, więcej popijali Polacy, a tata jak otwierał butelkę z okazji Paschy, pozostałość zatykał dobrze, by otworzyć na święto Chanuki.

Wuj objął mnie i czule pocałował w policzek, a potem przed naszym niedużym towarzystwem ogłosił:

– Mój siostrzeniec jest żołnierzem! Mój drogi chłopak idzie na wojnę i musi przejść chrzest bojowy! Poświęcenie! Drugą bar micwę!

Bar miewa, jak ci powiedziałem, jest wyświęceniem w religijną pełnoletność, nie wiem, kto ją wymyślił – Mojżesz, król Salomon lub król Dawid, ale nie uważam, by trzynastoletni chłopcy byli już pełnoletni. Także moja druga bar miewa powinna była uczynić mnie dorosłym, domyślałem się, nie jestem głupcem. Miklosz powiedział coś do mojej towarzyszki, a ta wzięła mnie za rękę i pociągnęła ze śmiechem.

– Gdzie? – zapytałem zmieszany, chociaż, jak mówiłem, domyślałem się, ale krępowałem się wuja.

– Idź, idź, mój chłopcze – powiedział.

Węgierka zaciągnęła mnie gdzieś za scenę, do małego pokoiku wyładowanego meblami; było tam lustro, peruki i wszelkie rzeczy związane z teatrem. Potem zamknęła drzwi na klucz i z chichotem opadła na kanapę. Uniósł się zapach kleju stolarskiego i wody kolońskiej.

– Jest ciepło – powiedziała z wypiekami na twarzy i rozochociona wypitym alkoholem rozpięta aksamitną bluzkę, a jej piersi jakby tylko na to czekały.

Uchwyciła moje spojrzenie wbite w białe, odsłonięte piersi, wzięła moją rękę i położyła tam. Obląłem się potem, byłem pijany, dyszałem ciężko. Wszystko widziałem podwójnie – dziewczynę, zamgloną lampę przy lustrze. Zamknąłem oczy i objąłem ją, mówiąc:

– Kocham cię, Sara.

– Nie jestem Sara, tylko Ilona – poprawiła mnie.

Popatrzyłem na nią, zaśmiałem się głupio, a potem uśmiech zniknął mi z twarzy. Znow zamknąłem oczy i rozluźniłem się, zobaczyłem Sarę, szarozielony blask jej oczu, Sarę w welonie, choć może był to dym z cygar. Patrzyła na mnie z wyrzutem.

– Hej, źle się czujesz? – powiedziała Węgierka i popchnęła mnie. Otworzyłem oczy, były pełne łez, pewnie z pijaństwa; dopiero później się okaże, że zawsze, kiedy wypiję, jestem skłonny do płaczu. – Co ci jest? – spytała dziewczyna i zsunęła rękę niżej po moich spodniach. – Ależ ty jesteś do niczego – powiedziała.

Uśmiechnąłem się z poczuciem winy i wzruszyłem ramionami. Rzeczywiście byłem do niczego. Moja dusza była przy Sarze.

## 7

12 maja tego samego roku staliśmy na udeptanym podwórzu koszar, w szyku, z kuferkami przy nogach, jeszcze w cywilnych ubraniach. Nie byliśmy już ci sami – znajomi i nieznajomi chłopcy z miasteczek i wiosek naszej drogiej Galicji; Polacy, Ukraińcy, Żydzi i Bóg wie jeszcze kto. Byliśmy „uzupełnieniem”, które Jego Wysokość powołał „pod sztandar”. Na końcu szeregu i odrobinę w bok, tak samo z kuferkami przy nogach stali skoszarowani wojenni duchowni. Jeśli znasz wyznaniową mieszankę naszego imperium, to uwierzysz, że według mnie brakowało tam jedynie tybetańskiego lamy.

Przy dźwiękach orkiestry dętej na małe, drewniane podium, udekorowane odpowiednio sztandarami i zielonymi gałązkami, wstąpił porucznik Alfred Schauer lub Fredi, jak mieliśmy go nazywać. Miał bokobrody i wąsy zupełnie takie jak Franciszek Józef – wszyscy oficerowie z awansu starali się upodobnić do ojca-cesarza i było w tym coś wzruszającego. On sam był, rzecz oczywista, straszliwym tępakiem – mam na uwadze nie Franciszka Józefa, lecz

porucznika – jest to jednak całkiem naturalne, gdyż jeśli nie byłby taki, to nie zostałby porucznikiem, ale lekarzem, sprzedawcą ciepłych parówek lub przynajmniej pasałby krowy obok naszej rzeczki.

– Chłopcy – krzyknął porucznik Schauer – wkrótce spełni się wasze marzenie o oddaniu życia w zażartej walce dla sławy cesarza i potęgi naszej drogiej ojczyzny. Hura!

Prawdę mówiąc, nigdy nie marzyłem, by oddawać życie za kogokolwiek, ale feldfebel – ktoś miał go nazwać „Zuckerl”, ponieważ lubił szczypać nasze policzki w taki sposób, że powstawały siniaki, przy czym mówił z lubieżną złośliwością: *Bist du aber süß*, co oznaczało, że bardzo cię zniechęcił – ten właśnie feldfebel tak się wpatrywał, czy wszyscy wołamy „hura”, że widział chyba jęczyczki w naszych gardłach.

Następnie Fredi Schauer poinformował nas poufnie, że sprawy na froncie idą coraz lepiej i zwycięstwo nigdy nie było tak pewne, że nam przypada wielki zaszczyt przynieść je na ostrzach naszych bagnatów. Nie znam się na strategii wojennej, ale nie było całkiem jasne, w jaki sposób przyniesiemy na ostrzach bagnatów owo zwycięstwo, jeśli przedtem musieliśmy oddać życie, zgodnie z marzeniami, w zawziętej walce i tak dalej. Ale była to jawnie poezja patriotyczna jako taka, jakby to powiedział mój drogi wuj Chaimle. Nie jestem pewien, czy wówczas tak myślałem, czy też tak myślę obecnie, nie będę zatem udawał bardzo mądrego młodzieńca, ponieważ dopiero później, podczas tamtej i następnej wojny, zjadłem dostatecznie dużo główek śledzia, żebym jasno pojął te patriotyczne apele. A znasz anegdotę o śledziu?

Jechali zatem pociągiem Żyd i Polak. Polak wyjął z koszyka i zaczął jeść tłustą kure, Żyd zaś, ostatni biedak, jadł z chlebkiem najtańszą na świecie rzecz – łebki solonego śledzia. Polak zapytał: „Powiedz, dlaczego wy, Żydzi, jecie tak dużo śledziowych główek?”. „Od nich człowiek staje się bardzo mądry” – odpowiedział Żyd. „Naprawdę? – zdziwił się Polak. – To odsprzedaj mi kilka sztuk”. „Zgoda – rzekł Żyd. – Pięć łbów za pięć rubli”. Żyd sprzedał owe łebki, a Polak je zjadł. Po pewnym czasie Polak zapytał: „Hej, ty, dlaczego wzięłeś ode mnie jednego rubla za głowę, skoro całe kilo śledzi kosztuje tylko pół rubla?”. „Widzisz – odparł Żyd – jak już zacząłeś mądrzeć?”

Ato mam na myśli, że mądrość przychodzi z doświadczeniem, mówiąc inaczej, wraz z liczbą zjedzonych główek śledzia, domyślasz się, co chcę powiedzieć. Czas mijał, uczyliśmy się walki na noże, lewa-lewa! padnij, chlup do błota. Powstań. Padnij. Powstań. Wstyd mi powiedzieć, ile razy feldfebel Zuckerl przychodził do mnie, prosto do mnie, ten wąsaty indor miał oczy także na tyłku, szczypał mnie, aż zrobił mi się na policzku siniak, i mówił:

– *Bist du aber süß!* Hej, teraz poprobujemy osobno. Padnij. Powstań. Padnij. Powstań.

I tak dalej.

Siedzieliśmy w półkolu, około dziesięciu żydowskich chłopców z naszej rotacji, a w środku z Torą w ręku rozlokował się nasz rabin Szmul Bendawid. Było to w najdalszym zakątku za kuchnią, przy siatce, gdzie zachował się skrawek niezdeptanej trawy. Rebe miał trochę dziwny mundur, różnił się od naszych tym, że nie miał pagonów, lecz jedynie gwiazdę Dawida na piersiach, co oznaczało wojskowego rabina. W wojsku to był duży przywilej, nie wiedzieliśmy wtedy, że stanie się przywilejem prawie wszystkich Żydów w Europie, że dostaniemy się żółtej gwiazdy Dawida na piersiach, ale to miało się stać, jak już powiedziałem, dużo później, w świetlanej przyszłości, jak wyrażają się literaci.

A więc siedzieliśmy na trawce, żołnierze myli się pod kranem, brzęczały naczynia na zupe, zachód słońca był piękny, cichy i czerwony.

– Wszystko jest absurdem – powiedział rebe Szmul. – Absurd nad absurdami i tylko absurd. Po co ja tu jestem, powiedzcie? Żeby was pouczać i troszczyć się o wasze dusze, żebyście poszli czyścić do naszego Boga, do Jahwe, niech będzie wieczna Jego chwała. To samo czynią zapewne moi koledzy, katolicy, adwentyści, protestanci, prawosławni i muzułmanie, na cześć cesarza i ku chwale swego Boga. I gdzie jest sens, pytam was? Kiedy

wiem, że z drugiej strony frontowej linii znajduje się mój kolega rabin, który poucza naszych chłopców – kto mi powie, czy oni są nasi, czy nie są nasi – żeby bić się przeciwko wam, zabijać dla chwały swego cesarza i Jahwe, niech będzie wieczna Jego chwała. Gdy skończy się wojna, a zaczniesz oranie ziemi europejskiej i pokażą się wasze kości, splecione wasze i nie wasze, już nie będzie wiadomo, kto za którego Boga i za którego cesarza zginął. Mówię wam, że nasza droga austro-węgierska ojczyzna dała mniej więcej półtora miliona ofiar. To jest półtora miliona chłopców, którzy nie wrócą do domu, półtora miliona matek, które daremnie będą oczekiwały przy drzwiach, półtora miliona młodych żon, które nie położą się z nimi do łóżek, by szczęśliwie począć i rodzić w miłości i pokoju. A więc pytam was, czy Jahwe nie widzi tego wszystkiego? A może drzemie i dłubie w nosie? A może Jahwe, niech się święci Jego imię po wieki wieków, jest jakimś ogłupiałym dziadkiem, któremu schlebia to, że ludzie umierają w Jego imię? Nie wiem, bracia moi, nie mogę wam na to odpowiedzieć. W każdym razie myślę sobie, że gdyby Bóg miał okna, to już dawno by w nich szyby potłuczono. – Rabin zamknął z hukem modlitewnik i dodał: – Na tym sobotnie czytanie Chumaszu, rozdział z Pięcioksięgu zakończyliśmy, amen i szabat szalom wszystkim.

Zdawało mi się, słowo honoru, że widziałem łzy w jego oczach, w bóżnicy w Kołodźcu nigdy z takim przejęciem nie wygłaszał Słowa Bożego.

## 8

I tak biegly dni, przygotowywaliśmy się pod czujnym okiem feldfebla Zuckerla i mądrym przywództwem porucznika Alfreda Schauera, który pokazywał się rzadko, aż do tej wielkiej godziny, kiedy to zostaniemy wysłani na pierwszą linię frontu i z głośnym „hura” wbijemy bagnet w pierś podłego wroga, a ci z nas, którzy nie oddadzą życia, przyniosą wdzięcznej ojczyźnie zwycięstwo na ostrzach bagnatów i tak dalej.

Ale tak jak wszędzie, każde koszary to dwa rodzaje koszar i to zupełnie niepodobne do siebie. W pierwszych się maszeruje, wykonuje żołnierskie komendy, stoi pod bronią, czyści wyciorami lufy karabinów, ciągnie się kotły z tłustym i niesmacznym gulaszem, ceruje rozprute z powodu bezmyślnego przyklęknięcia żołnierskie bryczesy. Drugi rodzaj koszar był królestwem tkliwości – tam czytało się i pisało liściki, pokazywało zdjęcia ukochanej lub matki; otwartymi, wpatrzonymi w sufit oczyma śniło się o domu, o krowach lub braciszku, a najczęściej – krępuję się to powiedzieć o tak bojowej jednostce jak nasza – największym marzeniem był koniec wojny, która dla nas się jeszcze nie zaczęła.

Jednak samo centrum tego królestwa tkliwości, jego apoteozę lub, lepiej powiedzieć, tron, stanowiły latryny. Był to długi pobielony barak na końcu koszar, gdzie wysoko nad miejscami do kucania znajdowały się małe okienka, coś w rodzaju wywietrzników, a jeśli się stanęło na poprzecznej belce, można było popatrzeć na świat zewnętrzny. A tam, na przeciwległym trotuarze, zbierały się matki i dziewczyny, wykrzykiwano wiadomości: „Masz pozdrowienia od Joszki, prosił, byś mu napisał, czy potrzeba ci coś” i inne podobne, niby nieważne, ale miłe żołnierskiemu sercu wieści. Jeślibyś przeciągnął wzrokiem od trotuaru do latryn, mógłbyś zobaczyć wzruszone lub nawet zapłakane twarze żołnierzy, oczy pełne miłości lub trwogi, usta, które wysyłają bezdźwięczne pocałunki do stojących po drugiej stronie, i jeszcze inne rozczulające obrazy w kwadratowych ramkach okienek. Ale gdyby się zajrzało do środka, w stronę kibli, to zobaczyłoby się inną prawdę, która wyrażała się w szeregu gołych żołnierskich tyłków ze spuszczoneymi portkami. Była to, można rzec, gotowość bojowa na wypadek, gdyby czujny feldfebel Zuckerl zaglądnął do środka. Z tej przyczyny i dla zapobieżenia nieoczekiwanemu atakowi wroga stawialiśmy na czatach przy drzwiach jednego dyżurnego. Wystarczyło, że krzyknął trwożnie: „Zuckerl!”, by w sekundę



potem wszyscy kucali spokojnie, jak przystało zdyscyplinowanej pod każdym względem jednostce bojowej. Feldfebel zaglądał, przypatrywał się szeregowi i niezmiennie mawiał:

– Szybko, nie guzdrać się, to nie sanatorium!

W ten sposób mogłem zobaczyć się z Sarą. Ona stała naprzeciwko ze swoim bratem; rabi Szmul Bendawid miał jakiś status oficerski, mógł więc wychodzić na zewnątrz. Patrzyliśmy na siebie, Sara wydała mi się niezmiernie piękna z ogromnymi, trochę skośnymi oczyma w kształcie migdałów, z szarzielonym blaskiem, z czarnymi, kręconymi włosami splecionymi w ciężki warkocz. Takie, wydaje się, były w starożytnych czasach galilejskich córki Izraela, które czesały swe włosy w pobliżu księżycowego jeziora Genezaret, a na jego dnie poprzez srebrzyste fale odbijało się rozczulone oko Boże.

– Jak się czujesz? – zapytała Sara.

– Dobrze – powiedziałem. – A ty?

Uśmiechnęła się i milcząc, wzruszyła ramionami.

Rozmowa, ma się rozumieć, nie kleiła się. Nie należę do tych, którzy w każdej chwili wiedzą, co dziewczynie powiedzieć. Rebe domyślił się i zaproponował:

– Skoczę do karczmy po papierosy.

Zostaliśmy sami, choć „sami” oznaczało cały szereg matek, dziadków lub sióstr, pod galerią żołnierskich portretów w okienkach, gdzie każdy wołał, każdy chciał wiedzieć, czy ocieliła się krowa. A jednak byliśmy sami, słyszeliśmy tylko nas samych.

– Uważaj na siebie – rzekła Sara.

– Będę uważał – odparłem.

– Oby się szybko wszystko skończyło i żebyście wrócili.

– Tak, oby – potwierdziłem.

– Będę czekać na ciebie – rzekła po dłuższej chwili milczenia.

– Dobrze – odparłem.

I kto rozumie, domyśli się, że w tych słowach i przerwach między nimi ukryta była cała tkliwość Salomonowych *Szir Haszirim*, to jest *Pieśni nad pieśniami*, cała liryka świata, cała muzyka, wszystkie pomysłowe sposoby wynalezione przez tysiąclecia, by wyrazić słówko „miłość”. Ale żebyś nie roztkliwił się zanadto i, nie daj Boże, rozplakał, pozwolę ci zajrzeć do środka latryny, gdzie zobaczysz mnie z gołym tyłkiem i spuszczone spodniami, a wtedy wyparują wszelkie Salomonowe pieśni.

## 9

Znów staliśmy w szyku i wcale nie byliśmy podobni do owej rozbrykanej bandy z początku służby. Byliśmy „dzielnym wojskiem”, toteż porucznik Schauer, który z zadowoleniem oglądał nas, spacerując z rękami założonymi na plecach, obwieścił, że ojczyzna spodziewa się po nas bohaterskich czynów. Dodał jeszcze, że nasz wielki dzień nastanie jutro, kiedy to zostaniemy skierowani na front. Wreszcie orzekł, że już widzi nasze głowy ozdobione laurowymi wieńcami tryumfu. Ja zawsze lubiłem robić z siebie głupca i pomacałem swoją głowę, na której nie było nic takiego jak wieniec laurowy. Feldfebel Zuckerl cicho zasyczał: „Szeregowiec Blumenfeld”. Stałem na baczność.

Rano zagrała trąbka, odtąd mieliśmy słyszeć tylko trąbki do boju i być może, jeśli Bóg pozwoli, fanfary. W pełnym bojowym ekwipunku, na który składały się plecaki, kaski, maski przeciwgazowe, złożone plandeki i aluminiowe manierki, siedzieliśmy na zakurzonej placu koszarowym obok ułożonych w piramidki karabinów i piliśmy ostatnią herbatę. Przy mnie siedział nasz rabin Szmul Bendawid.

– Blady jesteś – zwrócił się do mnie.

- Boję się – odparłem.
- W końcu jesteś jednak mężczyzną – skonstatował. – Wstyd!
- Brzuch mnie boli – pożałem się.
- To ze strachu. Pobiegnij, ulży ci.

Wstałem, obejrzałem się i dostrzegłem feldfebla Zuckerla.

- Panie feldfeblu, pozwólcie oddalić się, boli mnie brzuch, czy mogę się odłączyć?

- Biegiem i nie zwlekać, to nie jest sanatorium!

Pobiegłem do pobielonego baraku i podczas gdy zdejmowałem spodnie, usłyszałem, że ktoś woła od strony ulicy:

- Hej, czy jest tam jakiś żołnierz? Hej, czy słyszycie, czy jest tam ktoś?

Stanąłem na belce i popatrzyłem na zewnątrz. Naprzeciwko stał starszy pan z melonikiem i parasolem.

- Co się stało? – zapytałem.

– Wojna się skończyła, przegraliśmy – powiedział pan z węgierskim akcentem i nie wyglądał na zawiedzionego. – Dopiero co powiadomili, że został zawarty pokój.

W tym, można by rzec, momencie przełomowym dla każdej armii pobiegłem w kierunku placu, trzymając niezapięte spodnie.

- Wojna się skończyła-a-a! – krzyczałem. Podniosłem ręce, ale opadły portki.

Naprzeciwko, groźny jak chmura gradowa, kroczył feldfebel.

– Szeregowiec Blumenfeld, stać! – Niełatwo jest stanąć, zasałutować i trzymać spodnie. – Co ty pleciesz?

- Wojna się skończyła, panie feldfeblu. Dopiero co ogłosili.

Myśl powoli przeniknęła do tajemniczych i niezbadanych zwojów jego mózgu.

- Czy jest to pewne?

- Całkowicie, panie feldfeblu!

Rozpromienił się.

- Znaczą zwyciężyliśmy!

Teraz ja się rozpromieniłem.

- Nie, panie feldfeblu. Przegraliśmy.

On pomyślał, potem uszczypnął mnie w policzek swoim śmiertelnym chwytem.

- *Bist du aber süß!* Lubię Żydów i któregoś dnia zrobię dla nich coś wielkiego!

Okazał się dzielnym mężczyzną i dotrzymał słowa: wiele lat później spotkałem go w obozie Flossenbürg-Oberpfalz, gdzie był sturmführerem.

# DRUGA KSIĘGA IZAAKOWA

## Koniec mojej wojny, czyli jak stałem się Polakiem

### 1

Myślałem, że koniec wojny jest czymś w rodzaju ukończenia szkoły – otrzymujesz świadectwo i fajrant, rzucasz czapką do góry, upijasz się z kolegami szkolnymi jak kozak, a potem, gdy zwymiotowałeś w klozecie, żwawo rzucasz się w fale życia. Tak sądziłem. Okazało się, że przypadek jest tylko częściowo zbieżny, zostawiasz za plecami jedną wojnę, najczęściej dostajesz złe stopnie z historii i geografii, które poczytuje ci się za obowiązek poprawić w czasie następnej wojny, a ona już wygląda zza rogu. Tak oczekiwane zawieszenie broni wcale nie jest początkiem wymarzonego, trwałego pokoju, o nie, to jest tylko przerwa. Radosna, pełna wzruszeń przerwa między dwoma praktycznymi zajęciami z dźgania przeciwnika bagnietem w brzuch, z kopania okopów, wysadzania rzeczy i ludzi w powietrze, z atakowania i kontratakowania, z podpalania obcych wsi, wieszania szpiegów i dezertersów, podczas gdy twój wróg z przeciwległej klasy robi to samo, tylko w odwrotnym kierunku.

Daremnie oczekiwaliśmy demobilizacji, która wciąż i wciąż nie nadchodziła, a nasze życie w koszarach wcale nie zmieniało się na lepsze, wręcz odwrotnie. Zaczęły się deszcze, plac przed koszarami zmienił się w wielką kałużę. Feldfebel Zuckerl był wściekły, zrywał nas w środku nocy na ćwiczenia przeciwgazowe, rozkazywał biec, a potem padać w błocie z tymi wstrętnymi i już zbędnymi maskami na twarzach. Przy tym krzyczał, że dla niego wojna wcale się nie skończyła i że Żydzi, bolszewicy oraz makaroniarze myślą się w swych rachubach. Wygłaszał też inne patriotyczne przemowy przed ustawioną w szeregi, ubłoconą po uszy kompanią. Poza tym, jako deser do głównego dania, dowiadywaliśmy się, że Francuzi to gówniarze, Anglicy – pederasty, a Rosjanie to tępni mężczyźni, którzy gdy wypiją, to zbiera się im na rewolucję. A ponieważ ominęło mnie szczęście trafienia na linię frontu z przyczyn, o których już wiesz, nijak nie mogłem zrozumieć, jak my i nasi niemieccy sojusznicy – cywilizowani, zdyscyplinowani i doskonale uzbrojeni, zaopatrzeni w maski przeciwgazowe i wyglansowane do błysku narodowe doktryny, pod przywództwem takich geniuszy wojennych, jak Hindenburg i Hötendorf, przegraliśmy wojnę przeciw gówniarzom, pederastom i tępym mężczyznom. Zuckerl miał jedno wytłumaczenie, być może nieco sporne, ale godne rozważenia: winni byli Żydzi i tylko Żydzi – o tym czytałem nawet w tej lub innej gazetce, a powtarzane było to tak często, że zaczynało się rozumieć samo przez się i nawet nie było potrzeby udowadniania tego. Opowiadano o pewnym wielkim strategu sztabu generalnego, który analizował w Berlinie przyczyny katastrofalnej porażki wojennej i jasno je formułował z lekkim odchyleniem od schematu – winni są Żydzi i cykliści. Z pogrążonej w ciszy sali odezwał się nieśmiały głos: „A dlaczego też cykliści, panie generale?”.

Ale powróćmy do naszych koszar, wojenne strategie nie są na rozum prostego żołdaka. Kiedy to opowiadam o naszym rozwścieczonym feldfeblu Zuckerlu i o śródnocnych ćwiczeniach w warunkach domniemanego skażenia miejscowości francuskim gazem –

iperytem, powinienem dodać, że feldfelbel do mnie osobiście miał, można by rzec, podejście indywidualne – tak jakbym to ja podpisał, i to „po żydowsku”, kapitulację w tym idiotycznym namiocie w lesie Compiègne, do którego Niemcy mieli wrócić po latach, by zdać egzamin poprawkowy. Feldfelbel niezależnie od tego, czy miał powód czy nie, karał mnie stanem nieruchomo w pełnym rynsztunku bojowym na ulewnym deszczu i próżne były wysiłki mojego cadyka – mówiłem już, że to oznacza mędrca lub opiekuna duchowego – rabina Bendawida, by wyciągnąć mnie z tych niezasłużonych, ciężkich kontrybucji za przegraną wojnę. Z drugiej wszakże strony odnosiłem się do biednego nieszczęśnika z głębokim zrozumieniem: runął sens jego życia, wypełnionego dźwiękami bojowych trąbek i narodową dumą. Na jego oczach znikła świątynia z jedną jedyną ikoną – świetlanym wizerunkiem naszego, o Boże, zmarłego cesarza Franciszka Józefa. Kończył mu się świat z żołnierskim chórem skoszarowanych aniołów i pobrzękiwaniem manierek, trzaskaniem karabinowych zamków i tupotem podkutych butów. Wielkie imperium niknęło gdzieś w niebycie, a dokładniej w czarnej lub być może nawet w czerwonej dziurze znikął radosny i lekkomyślny Wiedeń z owym Dunajem, co do którego Zuckerl, jak większość Austriaków, wciąż jeszcze wierzył, że jest modry. I cała ta antyczna z powodu mrocznej wielkości tragedia, która przydarzyła się ideałom feldfelblów, zawarta była w słowach: „Wojna się skończyła”, i te słowa, wstydzę się ci przypominać, wypowiedziałem właśnie ja. Ostatecznie to właśnie ja byłem owym zwiastunem, który go poinformował o porażce, a wiadomo, że w dawnych czasach miłośnicy, a mądrzy królowie i sułtani jak nic ścinali głowy tym, co przynosili złe wieści. Na tle krwawego średniowiecza moje stanie na deszczu w rynsztunku bojowym było po prostu pieszczotą losu i przejawem wspaniałego miłosierdzia ze strony Zuckerla. Mówiąc inaczej, byłem zupełnym głupcem ze swą lekkomyślną i niczym niespowodowaną radością. Powinienem donieść mu tę smutną wieść uważniej i delikatniej, łącząc się w bólu z powodu tego nagłego nieszczęścia, jak to oczekiwano od starannie wyszkolonego w duchu patriotycznym, wiernego poddanego i żołnierza Jego Wysokości. Tak jak głupiec Mendel, którego obarczono delikatną misją zawiadomienia małżonki, że jej mąż Szlomo Rubinstein dostał zawału serca podczas gry w karty.

– Przychodzę z kawiarni – powiedział jej ostrożnie.

– I zapewne jest tam mój mąż Szlomo?

– Jest.

– I zapewne gra w pokera?

– Gra.

– I zapewne znów przegrywa?

– Przegrywa.

– Niech go szlag trafi!

– Już właśnie go trafił.

Mam na myśli, że w takim szczytowym lub, jak to ujmują pisarze, wzniosłym i tragicznym dla losów imperium momencie powinienem zachować się z większym taktem.

Ale nie tylko nasz feldfelbel cierpiał z powodu porażki – porucznik Schauer coraz częściej zjawiał się zalany w trupa. Próbował przemawiać w tym sensie, że nasze dzieło jak samo cesarstwo jest nieśmiertelne i że przyjdzie dzień... i tak dalej paplał niezrozumiale, ale już nie mówił o złożonym na ołtarzu ojczyzny życiu, nie napominał też o głowach zdobionych laurowymi wieńcami zwycięstwa. Jak to się powiada, historia naniósła lekkie poprawki redaktorskie. A kiedy był trzeźwy lub, z przeproszeniem za grubiańskie wyrażenie, trochę mniej narąbany, szeptał o czymś z feldfelblem, potem wpuszczali na podwórze koszar dorożkę z dwoma podejrzanymi panami i w czwórkę zamykali się w kancelarii. Po tego rodzaju zamkniętych posiedzeniach plenarnych naszemu czujnemu oku nie uchodziło ani tajemnicze znikanie koców, butów i innych rzeczy z obozowego ekwipunku, ani że zupa stawiała się coraz bardziej przezroczysta, a kawałki mięsa w gulaszu coraz mniejsze. Podzieliłem się

sposprzeżeniem z rebem Bendawidem o metafizycznym związku między wizytami panów z dorozki a dramatycznie spadającą krzywą protein w żołnierskich porcjach, na co ten wnikliwie odpowiedział:

– Kradną, mój chłopcze, kradną. Po każdym upadku ideałów przychodzi ogólny upadek obyczajów. Po spaleniu świątyni i zniszczeniu Jeruzalem przez Rzymian również Żydzi oddali się rabowaniu. To jest najzwyczajniejszy i rewolucyjny, w pewnym sensie tego słowa, nowy podział własności. Czyje są koce, powiedz? Nie wierz, że należały do narodu, to są bajki. Należały do cesarstwa. Czy teraz istnieje cesarstwo? Zdaje się, że go nie ma. I co wtedy?

Byłem szczerze oburzony.

– I mówisz to tak obojętnie, ty, rabin! Wszak kradzież jest naruszeniem jednego z dziesięciu boskich przykazań!

– To nic, pozostaje jeszcze dziewięć – pocieszył mnie Bendawid, ale myślą wyraźnie był gdzie indziej. Jakby był nieobecny, a jego duch przebywał daleko stąd.

Dawno zauważyłem, że jakiś robak wlaźł do głowy mojego przyszłego, z Bożym błogosławieństwem, szwagra. Był zamyślony, a dokładniej – skupiony na czymś, na jakiejś niedopuszczalnej i zabronionej myśli, która mu nie dawała spokoju. To tak, jak wówczas, gdy komisarz policji zapytał Saula Kogana z Berdyczowa, czy ma jakieś poglądy na obecną sytuację polityczną, a ten mu odrzekł: „Oczywiście, że mam, ale nie zgadzam się z nimi”. Najwidoczniej i Bendawid nie zgadzał się ze swoimi. Raz nawet spytałem rebego o pewne dziwne spotkanie, które obserwowałem z latrynowego okienka. Właśnie zdjąłem spodnie i zgodnie ze starym zwyczajem wszedłem na belkę, by wyjrzeć przez kwadratowy otwór i wypatrzeć kogoś, kto opowiedziałby ostatecznie plotki, gdy ich zobaczyłem – rabina i Esterę Katz, jak coś do siebie mówili, a potem wstąpili do pobliskiej karczmy. I tak, jak nadmieniałem, zapytałem go prostodusznie i bez krytycznych myśli.

– Mniej się pytaj. W naszych czasach to jest zdrowsze.

Toteż przestałem się pytać, co dokładnie robiła naprzeciw koszarowych kibli Estera Katz. Znałem pobieżnie tę ostrzyżoną po męsku, piękną i kruchą kobietę, która, jak się wydawało, paliła nawet podczas snu. Rzadko pojawiała się ona w naszych galicyjskich okolicach, a mówiło się, że jest adwokatem lub kimś o podobnym fachu. W kawiarni Dawida Lejbowicza gadała z naszymi o tym i o tamtym w jidysz, z rabinem rozmawiała perfekcyjnie po niemiecku, natomiast z moim nauczycielem Eliezerem Pinkusem, niech mu ziemia lekką będzie, perfekcyjnie po rosyjsku. Za nią ciągnęła się jak przezroczysty szal, który niedbale zarzucała na swą delikatną szyję, pogłoska, raz że jest francuskim, a innym razem, że rosyjskim szpiegiem, chociaż nie była ani jednym, ani drugim. Później, podczas różnych wydarzeń, których stałem się świadkiem, okazało się, że nie jest ona żydowską Matą Hari, lecz zwyczajnie bolszewicką funkcjonariuszką z Warszawy – z tych najwierniejszych i najbardziej bezkompromisowych bolszewików, których sami bolszewicy rozstrzelali z największą zawziętością jako trockistów lub japońskich szpiegów. Wszystko to wydarzyło się później i dowiesz się o tym, kiedy przyjdzie czas.

Jak już ci mówiłem, nie uważam się za bardzo mądrego, ale też nie aż tak głupiego, bym nie domyślił się związku między pojawieniem Estery Katz a drukowanymi ulotkami, które się rozpełzały wśród żołnierzy. W nich znajdowały się, przyznam się, dosyć niepokojące i obraźliwe dla naszego wielkiego imperium określenia: świętą wojnę, pod której sztandarami byliśmy zgromadzeni, określano jako imperialistyczną, natomiast nas, żołnierzy, jako mięso armatnie, mowa była o narodach, które stękały pod butem europejskiego żandarma – Austro-Węgier i ich krwawego cesarza; wyobraziłem sobie tego żandarma jako coś pośredniego między feldfeblem Zuckerlem a polskim komisarzem policji, panem Wojtkiem, oczywiście z bokobrodami Franciszka Józefa. Pozostawiając żarty na stronie, tekst tych ulotek wydał mi się poniekąd sprawiedliwy, ale jednak zuchwały i trudny do zrozumienia, niektóre zaś

twierdzenia wprost przesadzone. Nie to, żebyśmy żyli bogato i żeby wszystko miodem i masłem płynęło – wręcz przeciwnie, dla większości była to skromna egzystencja na granicy ubóstwa – ale nie przypominałem sobie, żeby ktoś w naszych okolicach stękał pod czymś butem, a jeszcze mniej pod butem Jego Wysokości, to już było czyste oszczerstwo, bo przecież on nawet nie postawił nogi w Kołodźcu koło Drohobycza. Wuj Chaimle z tego powodu powiedziałby, że to jest po prostu przykład agitacji politycznej jako takiej.

Poprosiłem rebeego Bendawida, by mi wyjaśnił pochodzenie i cel tych ulotek, ale on znów mi odpowiedział:

– Rusz głową, a pytaj mniej.

Ruszyłem głową i w końcu doszedłem do wniosku, że znajdujemy się u progu wielkich zmian, które wywrócą nasze życie tak, jak mój ojciec przewracał na drugą stronę stare kaftany, które przy odrobinie wyobraźni i dobrej woli mogły wyglądać jak nowe. Docierały tu także pogłoski o wydarzeniach w Rosji i to, że podobne rzeczy również zaczynają się i u nas, i w Niemczech.

Już wcześniej, jak światło dalekiego echa błyskawicy, gdzieś spoza gór aż do Kołodźca dotarły również pogłoski o jakimś buncie naszych marynarzy z floty austro-węgierskiej w zatoce Cattaro – przy dalekich adriatyckich wybrzeżach Czarnogóry – czyli w Zatoce Kotorskiej. Ale, jak już ci doniosłem, ja specjalnie się polityką nie interesowałem, za to polityka ze swej strony przejawiała wciąż większe zainteresowanie moją osobą. Być może z tej przyczyny ludzie z policji wojskowej, którzy przyszli szperać pod siennikami, w drewnianych żołnierskich kuferkach i w kieszeniach szyneli, tylko mnie jednego wyprowadzili przed szereg rozciągnięty obok żelaznych łóżek, a nie wpychali rąk jedynie w owo intymne moje miejsce z tyłu. Stałem nagi i zawstydzony, kazali zdjąć nawet uszytą przez mamę bieliznę. Niektórzy żołnierze próbowali zachichotać, ale śmiech zamarzył im w sobie pod strasznym wzrokiem feldfebla Zuckerla.

– Co ostatnio czytałeś? – zapytała jakaś ważna osobistość z policji wojskowej w okularach o grubych szklach, spod których jej oczy zdawały się nienaturalnie szkliste.

Popatrzyłem na niego czystymi oczami dziecka.

– Biblię.

– Pokaż ją.

Co teraz, skoro nie miałem takiej lektury? Ale sytuację uratował rebe Bendawid, który stał nieopodal razem z innymi duchownymi.

– Biblia jest na przechowaniu u mnie, szanowny panie. Ja mu objaśniam poszczególne rozdziały, ponieważ jest trochę nierozgarnięty.

– To dobrze. To nawet bardzo dobrze – pobłogosławiło zwierzchnictwo policji wojskowej, nie tłumacząc, co jest dobrze: to, że jestem nierozgarnięty, czy to, że objaśniam mi Biblię. – A co innego ostatnio czytałeś? Może jakieś ulotki, odezwy, apele?

Udawać idiotę, żeby ocaleć, jest starożytną sztuką żydowską, porównywalną tylko z hellenistyczną architekturą, a dokładniej z Partenonem. Odpowiedziałem więc:

– Panie naczelniku, my w grupie czytamy tylko gazetę pułkową. Tam jest wszystko, czego żołnierz i patriota potrzebuje!

Zwierzchnictwo zdziwione popatrzyło na mnie przez swoje grube peryskopy.

– Czy ty aby jesteś Żydem?

– Tak jest.

Widocznie nie uwierzył, ponieważ podniósł koniuszkiem laski owo moje coś, które zwisa poniżej pępka i wbił w nie swe krótkowzroczne oczy. Jego zdziwienie stopniowo przeszło w zdumienie, milczał chwilę, popatrzył dookoła, pomyślał i w końcu z zadowoleniem klepnął mnie po gołym ramieniu.

– Dobrze, ubieraj się!

Z tryumfującym spojrzeniem szukałem wzroku Zuckerla, ale on przepowiadał jedynie długie i ciężkie stanie w pełnym rynsztunku na deszczu. Najwidoczniej feldfelbel był rozczarowany tym, że pod moimi pachami nie znaleziono *Kapitału* lub przynajmniej zdjęcia Lenina czy Lwa Trockiego na tle powiewających flag.

Rebe Szmul Bendawid rzucił mi przepaszające i wyrażające winę spojrzenie, ledwo dostrzegalnie uniósł ramiona. Miał bogobojnie i pokornie skrzyżowane ręce na piersiach, tak jak i pozostali szamani obok niego – ludzie Boga poza jakimkolwiek podejrzeniem.

## 2

Na wszelki wypadek Zuckerl zaostrzył reżim i ukrócił jakiegokolwiek miejskie przepustki oraz inne tego typu fanaberie, także wizyty w szpitalu wojskowym mieszczącym się w skonfiskowanym domu publicznym, gdzie i tak nie było już ani pań, ani lekarzy. Tylko nasz biedny felczer przepisywał na wszystko – od zwichnięcia nogi do wrzodów dwunastnicy – sól angielską i dezynfekcję łóżka karbolem. I dokładnie w tym punkcie mojej biografii, kiedy prawie cała nasza jednostka wojskowa cierpiała z powodu, można by rzec, epickiej biegunki – spowodowanej prawdopodobnie przez zepsutą koninę, która miała udawać wołowinę – i kiedy połowa składu osobowego znajdowała się prawie bez przerwy w kiblach, właśnie w tym momencie otrzymałem list od Sary. Koperta była już otwierana, a potem ordynarnie zaklejona brązowym klejem szewskim. Czuję się skrępowany, mówiąc ci o tym, ale prawda nade wszystko: wyjąłem list i ukucnąwszy w kiblu, czytałem raz i drugi, a po policzku ściekały mi łzy. A oto i ów wzruszający list, nie chcę niczego ukrywać:

DO ██████████ ENFELDA  
██████████ PUŁK ██████████ KOMPANIA  
M. ██████████, ██████████ OKRĘG  
MÓJ DROGI ██████████  
ŚPIESZĘ DONIEŚĆ CI, ŻE DO NAS ██████████  
PRZYJECHALI ██████████ Z ██████████  
I DO PRZEDWCZORAJ ██████████ ██████████, ALE  
Z DRUGIEJ STRONY ██████████ ██████████ !!!! CZY  
NIE SĄDZISZ ? ██████████ ██████████ ?  
CO DO WYŻYWIENIA JESTEŚMY ██████████  
CHLEB JUŻ SPRZEDAJĄ PO ██████████ I  
TO Z ██████████ A MIĘSA W OGÓLE ██████████  
UCAŁUJ MOJEGO BRATA ██████████ I POWIEDZ MU  
ŻE TO ██████████ ██████████ ██████████  
NA ZAWSZE TWOJA ██████████ ██████████ ██████████  
██████████, ██████████ ██████████ ██████████ ██████████

Czytałem list, siedząc w kucki, jak uściśliłem, pod małymi okienkami, przez które nie można już było zobaczyć ani tych z cielną krową, ani znajomych Joszki, płakałem więc z rozrzewnienia nie tyle nad tym, co napisano lub co wykreślono czarnym atramentem, ile z powodu niezapisanych słów, w których, nie miałem wątpliwości, Sara donosiła, jak bardzo na mnie czeka, jak bardzo jej mnie brakuje, jak piękna i łagodna jest jesień w Kołodźcu i jak marzy, byśmy mogli usiąść na skraju wysokiego brzegu rzeczki, i jeszcze więcej i więcej czułości, czego żaden cenzor nie może przeczytać, a tym bardziej przekreślić.

Pokazałem list rabinowi Bendawidowi. On popatrzył na kartkę uważnie i orzekł:

– Dużo wykreśleń, rozwój polityczny idzie w dobrym kierunku. Im więcej będzie ocenzurowanych słów, tym będzie lepiej!

– Nie rozumiem – powiedziałem – twojej sentencji.

– Właśnie przed świtem, bratku mój, noc jest najbardziej nieprzenikniona. Kiedy cenzura tak zgłupieje z paniki i strachu, że spróbuje przekreślić śpiew słowików, to będzie znaczyło, że koniec jest bliski. Teraz pojmujesz?

– Podoba mi się to – powiedziałem z rozrzuwaniem – o śpiewie słowika.

Wzruszony do głębi serca, objąłem rabiną i dotknąłem ustami jego siwiejącej brody.

– Wybacz mi – powiedział – że publicznie cię nazwałem „trochę nierozgarniętym”!

– Mój Boże, już o tym zapominałem.

– Nie zapominaj, to jest sama prawda. To o słowikach jest alegorią, nie miałem na uwadze mojej siostry, jeszcze mniej ciebie. Słowiki śpiewają o świcie, a ja chciałem jedynie powiedzieć, że próba wykreślenia podobnych znaków jest pewną wskazówką, że zbliża się koniec. A teraz biegnij do latryny, bo czuję, że i twój czas się zbliża.

Zostałem jednak w przekonaniu, że to o słowikach oznacza dokładnie to, co ja zrozumiałem, uznając, że rebe po prostu nie lubi, gdy ktoś go przyłapuje w sentymentalnym nastroju.

I znów nastał wieczór szabatowy, cichy i jakby cudem bez deszczu. Nie było już zakątka z zieloną trawą koło siatki, który pełnił funkcję, można by rzec, *bejt kanisza*, miejsca rytualnych modlitw podczas wojny. Dawno już wszystko zamieniło się w lepką glinę, która przylegając do butów, wydawała specyficzny odgłos. Dlatego my, grupa żydowskich chłopców z naszej jednostki wojskowej, siedzieliśmy na kupce polan przy kuchni, a rabin trzymał otwartą Torę i zgodnie z przepisami powinien był przeczytać *parasza*, wybrany fragment z Pięcioksięgu. Ale jak się wydawało, tym razem Bendawid nie zamierzał tłumaczyć nam pouczających pod każdym względem, lecz uprzykrzonych już historii o siedmiu chudych krowach, które pożarły siedem krów tłustych, a mimo to zostały chude, ponieważ przeszedł prosto do szabatowego kazania:

– Są wiadomości. Nie zwracajcie uwagi na to, że ja udaję jedynie, iż czytam Prawo, i nie podskakujcie z wrażenia. Nie istnieją już Austro-Węgry, jeżeli rozumiecie, co wam chcę powiedzieć. Tej jesieni nauczyciele nie będą gładko i pewnie opowiadać o naszym wielkim cesarstwie, lecz będą się jąkać, pokazując, gdzie biegnie granica Węgier lub Czechosłowacji, wyjaśniając uczniom ukryty sens lub czy w ogóle jest sens w tym, że Słowenia, Bośnia i Hercegowina, Chorwacja i Czarnogóra z jednego zgniętego imperium Habsburgów przeszły do innego, do Karadziordziewiciów. Rosyjscy nauczyciele geografii będą musieli odzwyczaić się od mówienia o Polsce jako o „naszych zachodnich guberniach”, a w krajach nadbałtyckich zdejmą z masztów flagę rosyjską, tym bardziej że sami Rosjanie długo i głośno będą się spierać, jaka ma być ich flaga: trójkolorowa czy cała czerwona. Starzy belfrowie będą się drapać po głowach, kiedy ich pytają, do którego państwa należy południowy Tyrol, Dobrudza, Siedmiogród bądź Galicja i czyimi poddanymi są Mołdawianie bądź Finowie. Historia, przyjaciele, jak zręczny krupier tasuje karty i ponownie je rozdaje. Wszystko od początku, gra zaczyna się od nowa, zakłady już porobiono, a dopiero zobaczymy, kto trzymał asa w rękawie, komu trafią się cztery trefle, a komu samotna treflowa siódemka. To jest prawo naturalne, że silni połykają słabych, ale ich apetyt jest zbyt wielki w stosunku do systemu trawiennego i z tego powodu dostają rozwolnienia i kwasów, które leczą rewolucjami. Te ostatnie powodują chaos, z chaosu zaś rodzą się nowe światy. Oby ten jutrzejszy świat był mniej gówniany od dzisiejszego. I tak do następnego rozdania kart, to jest do następnej wojny. Ona się nie spóźni. Smocze zęby odwetu zostały zasiane w dobrze nawożonej ziemi Europy i dadzą bogate plony, uwierzcie mi! *Szabat szalom*, chłopcy, jedźcie do swych domów w pokoju!



Cały ten galimatias z podziałem imperium, jakby z odartej ze skóry krowy w rzeźni, zakończył się 28 października 1918 roku wraz z powołaniem w Krakowie tak zwanej Komisji Likwidacyjnej, a 14 listopada tego samego roku...

### 3

...nastał dzień, w którym spełniło się moje następne historyczne marzenie, powiedzmy, jeszcze jeden sztych z mojej osobistej narodowej doktryny – zostałem Polakiem. Pęknieś ze śmiechu, ale poszedłem na wojnę jako obywatel Austro-Węgier, a wróciłem z niej jako Polak. Nie to, żebym emigrował do innego państwa lub żebym na przykład uciekł do innego kraju. Nie, po prostu wróciłem do mojego drogiego, starego Kołodźca koło Drohobycza z tą samą zalotną kapryśnicą – rzeczką w dolinie, z tym samym katolickim kościółkiem z jednej strony i prawosławną świątynią z drugiej, z tą samą białą bóżnicą, która przypominała wszystko oprócz świątyni Jahwe, nawet z tą samą kafejką Dawida Lejbowicza, gdzie wcześniej Lowa Weisman pokazywał swoje wzruszające fragmenty filmów. Ale teraz to się znajdowało w granicach Jedynej i Niepodzielnej Świętej Ziemi Polskiej, Odwiecznej Części Matki Ojczyzny. Wybacz, że przesadziłem z dużymi literami, wiem, że to jest jak wrzucenie do barszczu za dużo pieprzu, ale nie mam innego środka, by wyrazić historyczną wzniosłość chwili, w której Niemcy w przesyłce z banderolą dostarczyli nowego naczelnika Polski, Józefa Piłsudskiego, oby Jahwe go przygarnął do prawego kolana.

I tutaj, bratku, zaczną się moje trudności w opowiadaniu, które utraci właściwe sobie winietki, *pizzicato*, kapriole, i ruszy zakurzonymi, jednostajnymi drogami naszego Podkarpacia – trochę w górę, trochę w dół, znów w górę i znów w dół – i tak aż po widnokrąg, bez wielkich przepaści i niebotycznych szczytów. Tak jak rabin Ben Cwi, który wynajął dorożkę, by go zawiozła do sąsiedniego miasteczka. Dobił targu z dorożkarzem i ruszyli w drogę. Przy pierwszej górce dorożkarz poprosił rabina, by wysiadł i popchnął, ponieważ konik jest słabiutki i nie ma siły. Ben Cwi pchał do szczytu, a dorożkarz poprosił go potem, by przytrzymał dorożkę z tyłu, bo akurat zjeżdżali w dół, i tak – z górki do górki Ben Cwi to pchał, to przytrzymał, aż wreszcie dotarli do celu. Przed tamtejszą bóżnicą rabin zapłacił dorożkarzowi, mówiąc: „Rozumiem, mój drogi, dlaczego ja wyruszyłem w tę stronę – mam kazanie w bóżnicy. Rozumiem, dlaczego i ty wyruszyłeś – musisz zarabiać na chleb, nieprawdaż? Nie rozumiem tylko, dlaczego zabraliśmy ze sobą tę biedną szkapę!”

Nie chcę tym powiedzieć, że ty, mój drogi czytelniku, jesteś tą biedną szkapą, którą należy bezmyślnie przeganiać tam i z powrotem po pagórkowatej jednostajności życia, ale, obiektywnie patrząc, tak właśnie wychodzi, proszę o wybaczenie. Tym bardziej że na początku obiecałem, że stanę jak starożytni na dwóch wielorybach, i jeśli pamiętasz, jednym z nich była pierwsza wojna światowa, a drugim druga wojna światowa. A co znajduje się między nimi? Nie mam tu na myśli, że pomiędzy dwiema wojnami, lecz pomiędzy dwoma wielorybami? Woda. Jasne jak biały dzień.

Z drugiej jednak strony, jeżeli popatrzyś przez mikroskop mojego ulubionego nauczyciela, niech mu ziemia lekką będzie, choćby tylko na kroplę wody, zobaczysz, że to jest pozorna pustka i że tam, w tej kropelce wrze życie, jakiego prawdopodobnie nie ma nawet w centrum Lemberga, który obecnie stał się Lwowem. Ameby i inne jednokomórkowce przeżywają swe normalne i pełne napięcia dni powszednie, zbierają się i rozmnażają, poszukują czegoś lub kogoś do zjedzenia. Zapewnie i tam zdarzają się dramatyczne rozłuki – szczególnie gdy jeden pantofelek dzieli się na dwie połówki, które już nigdy w życiu się nie spotkają. A gołym okiem możesz przecież zobaczyć rybki, które niby ze zdziwieniem podczas przypadkowego spotkania ze starym znajomym szykują się powiedzieć

„O!”, choć w rzeczywistości połykają całą kompanię wraz z jej feldfeblem. Ale nie płacz z rozrzewnienia nad wielką tajemnicą natury, to jedyne, co zapamiętałem z lekcji biologii i w tym konkretnym przypadku wykorzystuję to jako metaforę.

Z wyżej wymienionej przyczyny nie chciałbym cię zanudzać drobiazgami z życia ameby czy w ostateczności rybki, która niby ma wymówić „O!”, a w istocie cię pożera, rozumiesz, co chcę ci powiedzieć. To nie wzrusza nikogo i prawdopodobnie nie zmąci uczuciem współczucia oka opatrności bożej. W tym sensie rozumiem i skromnie podzielam poglądy naszych wielkich nauczycieli i proroków z czasów biblijnych, układających wiersz po wierszu, zwój po zwoju, księgę nad księgami, po naszymu Prawo, Torę, którzy wiedzieli, gdzie ich opowiadanie ma popłynąć wolno i szeroko jak wezbrana rzeka, a gdzie wydarzenia mają biec gwałtownie jak rwący rzeczny wodospad i przyspieszać na twoich oczach z zawrotną szybkością. W takich miejscach Biblii, gdzie nie masz nawet czasu zatrzymać się i rozejrzeć po okolicy, moi starożytni nauczyciele tworzenia i opisywania rzeczy ruszyli wielkimi krokami mierzącymi sto stadionów rzymskich. Na przykład: „I poznał Adam jeszcze żonę swą – domyślasz się, że nie chodzi tu o zwykłe zapoznanie się – i urodziła syna, i nazwała imię jego Szet. I były dni Adama po spółdzeniu Szeta ośmset lat; i spółdził synów i córki. A były wszystkie dni Szeta: dziewięćset dwanaście lat; i umarł. A były wszystkie dni Enocha: dziewięćset pięć lat; i umarł. I żył Mahalalel, po spółdzeniu Jereda, ośmset trzydzieści lat...”. I tak dalej, mój drogi czytelniku, nie będę przeciążał twojej świadomości większą liczbą przykładów. Moje słowa dotyczą wielkich kroków moich piszących przodków i proroków, niech przetrwa pamięć o nich na wieki wieków i po wiek ostatni, bo zostawili nam pismo, które można czytać i czytać, i czytać ponownie, a każdy go interpretuje po swojemu i znowu czyta – tysiąc i dwa tysiące, i trzy tysiące lat, a nie jak gazetę, która, gdy jest wczorajsza, nie nadaje się do niczego więcej poza opakowaniem solonej ryby. I nie ośmielaj się, proszę – niech Bóg ci wybaczy, jeśli to uczynisz – rzucić cienia powątpiewania w prawdziwość Pisma, ponieważ dużo jest w nim mądrości, tryska ona jak źródła Dawidowe na pustyni judejskiej i oferuje ci pouczenie na wszystkie przypadki życia. Toteż nie przesadzają prorocy ogarnięci natchnieniem bogów lub chęcią zaszokowania cię, gdy mówią o ludziach, którzy żyli osiemset, a nawet dziewięćset lat. Formalnie rzecz biorąc, z niskiej pozycji zimnokrwistej żaby, to niewątpliwie pozostaje w sprzeczności z nauką, ale myślę, że w tamtych wszechpotężnych czasach opisywanych w Księdze Rodzaju życie było gęste i krzepkie jak ciężkie wino paschalne, a każda pełnia księżyca oznaczała roczny krąg z życia dębów i ludzi. Toteż nasz ludzki czas jest tak współmierny z czasem biblijnym jak rzeczny kamyczek z diamentem lub wróbel z orłem.

Ale znowu się zapomniałem. Teraz z Bożą pomocą spróbuję wziąć zakręt i powrócić na główną drogę, z której zoczyłem jak stary Noe, który się zdrzemnął w międzyrzeczu, a zbudził na szczycie góry Ararat. I tak zejźmy z tego wyniosłego szczytu, gdzie znalazła się arka Noego, udajmy się do Kołodźca obok Drohobycza, gdzie stanąłem zmieszany, lekko uśmiechnięty, z drewnianym kuferkiem u nóg.

Mama rozplakała się i nie przestawała obsypywać pocałunkami mojej zmęczniałej twarzy. Ojciec był surowszy i bardziej powściągliwy, klepnął mnie po ramieniu trochę za mocno, ale ja dostrzegłem, że oczy miał wilgotne.

Mama powiedziała:

– Mój drogi chłopak. Wyobrażam sobie, co żeś tam przeżył, w okopach. Takie okropności opowiadają o Senegalczykach!

– Jakich Senegalczykach? – zapytałem.

– Francuskich, czarnych. Zjadali jeńców żywcem.

– Tak, czasami... – wybełkotałem.

Nie to, żeby próżność wstrzymywała mnie od opowiedzenia całej prawdy, tym bardziej że oprócz mnie był tam i nasz rabin Bendawid, ale po prostu nie chciałem burzyć niewidzialnego, lecz heroicznego pomnika, jaki mi wzniesli moi rodzice.

Dopóki mama krzątała się, przygotowując posiłek – niewątpliwie świąteczną wieczerzę ze słynną faszerowaną rybą *gefilte fish*, której od dziecka nienawidziłem, ale zmuszony jestem podzielać ten ogólny, a nawet podobno światowy prestiż i tryumf judaizmu – my z wujem Chaimem wyskoczyliśmy do kafejki Dawida Lejbowicza. Tam wuj poczęstował wszystkich, którym dopisało szczęście uczestniczyć w tej historycznej chwili, kieliszkiem wspaniałej żytniówki, przy czym uczynił to z takim gestem, jakbyśmy wojnę wygrali i to przede wszystkim dzięki moim bohaterskim czynom.

O co to mnie nie pytano, a ja gotów byłem na wszystko odpowiedzieć – nawet na pytania o Senegalczyków! – ale w tej chwili do kafejki wszedł nasz rebe i powietrze ze mnie uszło jak z francuskiego balonu zwiadowczego przestrelonego przez niemieckiego focke-wulfa. Zainteresowanie kołodzieckich analityków wojennych na czele z listonoszem Awramczykiem, który, jeśli nie zapomniawsz, brał udział w wojnie rosyjsko-tureckiej jako łącznik, przerzuciło się natychmiast na rabina i to właśnie on został zasypany pytaniami.

Nie chcę powiedzieć nic złego o Żydach, niech Bóg broni – wiesz, że jestem jednym z nich – ale zapewne i ty zauważyłeś tę niezwykłą pasję, powiedziałbym obsesję, z którą zadają oni pytania i wcale, ale to wcale nie są zainteresowani odpowiedziami, ponieważ znają je wcześniej lub tak im się wydaje. I biada ci, jeśli twoja odpowiedź nie jest taka, jakiej oczekiwali: wówczas otoczą cię lawiną argumentów, przygniotą górami lodowymi dowodów i ostatecznie wykończą, przyklejając cię do ściany jak tapetę cytatem albo z Biblii, albo z Karola Marksa. Gdy kiedyś w życiu zdarzy ci się to, mogę dać ci pewną radę. Jeśli Żydzi zasypują cię pytaniami, wysłuchaj ich spokojnie i wyjdź do sąsiedniego pokoju na papierosa – oni w ogóle nie zauważą, że cię nie ma, a pokłócą się ze sobą. Jest też inne wyjście – można niezwłocznie, w tej samej sekundzie zgodzić się z nimi, a pod żadnym pozorem nie należy wszczynać katastrofalnej awantury, sprzeciwiając im się. Ten wariant zresztą jest może nawet lepszy. Tak jak to było z rabinem, którego zapytali: „Rabi, jaki jest według ciebie kształt Ziemi?”. „Ziemia jest okrągła” – odpowiedział rabin. „Dlaczego okrągła? Czy możesz tego dowiedzieć?” „No dobrze, niech będzie kwadratowa. Czyja się upieram?”

W naszym przypadku rabi Bendawid postąpił jednak, przyznam, nieco podstępnie: spokojnie wysłuchał pytań, którym towarzyszyły komentarze, odsyłanie do źródeł historycznych i odpowiednie cytaty-dowody, i ani odpowiedział, ani się zgodził, ani się przeciwstawił, lecz wspaniałomyślnie wskazał ręką na mnie:

– Dlaczego pytacie mnie, jedynie, można by rzec, przyfrontowego szczura? Kogoś w rodzaju zaopatrzeniowca lub magazyniera Bożego słowa, który nawet nie wziął broni do ręki. Proszę, jego pytajcie, on wojował, niech opowie wam, jak strzeże się ojczyzny w pełnym rynsztunku bojowym, z bagnietem na broni, z maską gazową wśród skażonej przez Francuzów okolicy i w czasie ulewnego deszczu!

Wszystkie twarze jak na komendę zwróciły się ku mnie, a ja odczytałem w nich podziw i uwielbienie, a nawet, choć może nieco przesadzam, ubóstwienie. Chwała Bogu, o tej porze w kafejce Dawida Lejbowicza znajdowali się sami Żydzi i to tacy jak ci, o których już mówiłem, i nikogo nie interesowały odpowiedzi na zadane pytania.

#### 4

Nie myśl sobie, proszę, że umyślnie opóźniam spotkanie z Sarą, stosując zużyte chwytły literackie, by wywołać napięcie – to napięcie istniało jako zjawisko naturalne, moja dusza

leciała do Sary, tęskniła do niej, setki razy w myślach rozmawiałem z nią o wszystkim, co się nagromadziło w moim sercu. „Miła – mówiłem do niej ptaszku mój jedyny! Marzenie moich snów, piwonio rozkwitła, moja cicha sobotnia radości! Twoje piersi” – zaczekaj, to o piersiach jest od króla Salomona i nie odnosi się do Sary! Wykreślam to, ale nie będę zaczynał od nowa, bo skądkolwiek bym zaczął, też się ześlizgnę po starożytnych koleinach i znów wpadnę w objęcia Sulamitki. Aleja nie ją kochałem, lecz Sarę, niech mi wybaczy autor *Pieśni nad pieśniami*.

Z Sarą spotkaliśmy się następnego ranka, ja niby przypadkowo odprowadzałem Bendawida do bóżnicy, a może było na odwrót, rabin niby przypadkowo napomknął, bym go tam odprowadził. Potem jakby od niechcenia zapytał:

– Nie wejdiesz na herbatę?

Wzruszyłem niedbale ramionami na znak zgody i... wtedy ją zobaczyłem: niosła na boku kosz z praniem, miała zawinięte rękawy, na bosych nogach pantofelki, jej mokra koszula była rozpięta i odkrywała część tego, co by nie uszło nawet spojrzeniu króla Salomona.

Patrzyliśmy na siebie jakby całkiem ogłupiali, a rabin, tak mi się wydawało, rozkoszował się naszym zmieszaniem. W końcu Sara, wytarłszy dłoń o spódnicę, podała mi ją, mówiąc:

– Jak się masz?

– Dobrze – odparłem. – A ty?

– Ja też. Proszę bardzo, wejdź.

– Dobrze – powiedziałem.

Zapomniałem o ptaszkach, o rozkwitłych piwonkach i o cichych sobotnich radościach. Nie wiem, dlaczego ludzie krępują się odkryć przed światem swoje skłonności, najmocniejsze i najczulsze naturalne przyciąganie, udają dumnych i obojętnych, lecz nie domyślają się, szczególnie gdy są młodzi, że Bóg odmierzył piasek życia co do ziarenka, że każda beztrasko utracona miłosna chwila bezpowrotnie ginie w wieczności. I czy młodzi się nie domyślają, że w tym głosie serca ukryta jest cała siła ludzkości, cały boski sens jej istnienia z piramidami, Homerem i Szekspirem, *IX Symfonią* Beethovena i *Błękitną rapsodią*, z całym wzruszającym pięknem Sulamitki i Julii, i różnymi Nefretete, Mona Lizami i Madonnami!

Tak czy inaczej, siedzieliśmy przy stole w małym pokoju gościnnym Bendawida, przy czym ja i Sara nie mieliśmy odwagi spojrzeć na siebie. A teraz, póki drogi rabin nalewa herbatę, pokażę ci pogładowo, ile trwa jeden biblijny stadion: dokładnie dziewięć miesięcy i dziesięć dni od chwili, gdy zamieszałem herbatę łyżeczką, został obrzezany nasz synek, który dumnie będzie nosił imię mojego ojca – Jakuba vel Jaszy Blumenfelda! Czyli jak się to mówi: „Urodził się chłopak i błogosławieństwo Boże rozpostarło się nad ziemią”.

Całą noc grałem albo, jeśli wolisz, piłowałem na skrzypcach, a dobrzy Żydzi i Żydówki w ciężkich butach tańczyli i śpiewali stare pieśni, klaskali w takt, podczas gdy ja, mój ojciec i matka, a także wuj Chaimle i siwiejący już Szmul Bendawid tańczyliśmy ukraińskiego hopaka. Przyszedł pan Wojtek, który nie był już komisarzem policji, lecz burmistrzem Kołodźca, przyniósł ogromny, okrągły, biały chleb, przykryty haftowaną, białą serwetką. Także inni sąsiedzi – Polacy i Ukraińcy – wpadali, by wypić kieliszek za zdrowie Jaszy. Nie przyszedł tylko ksiądz, który i tak był prawdziwym antysemitą, oraz prawosławny pop Fiodor, z powodu tej odwiecznej waśni, już wiesz jakiej, tej związanej z nieporozumieniem, które zmieniło los ludzkości, a mianowicie tego, że nie Chrystus pocałował Judasza w czoło, lecz odwrotnie. Ale to inna historia, która nie ma nic wspólnego z antysemityzmem, a chociaż jest całkowicie naszą wewnętrzną sprawą, kogo mamy krzyżować, a kogo nie, o ile Jezus Chrystus i Judasz są naszymi Żydami, oczywiście nie z Kołodźca, to fakt taki niczego tutaj nie zmienia. Najwyżej tyle, że pop nie przyjdzie.

W każdym razie zarówno podczas tego cudownego dnia, jak i następnej długiej nocy po „ósmym dniu”, gdy to nasz rabin Szmul Bendawid, położywszy na poduszce z fioletowego aksamitu swego małego płaczącego siostrzeńca, obrzezał go, by mógł dołączyć do łona

Abrahamowego, podczas gdy sąsiedzi przybywali i przybywali jak mędrcy do Chłopcica w jaskini obok Bet Lechem, a po waszemu Betlejem, ja, objawszy czule Sarę, najgłębiej sobie uświadomiłem, że wszystko jedno, czy to naród żydowski, polski, czy nawet weźmy Buszmenów z pustyni Kalahari, wszyscy stworzeni są przez Boga, chwala Mu za to, by się kochali, a nie walczyli ze sobą. To był prawdziwy koniec mojej wojny, a początek wielkiego i prawdziwego pokoju, który zawarłem w mej duszy ze wszystkimi ludźmi, niech ich Bóg ogarnie dobrocią, mądrością i da im swe błogosławieństwo.

Będzie jeszcze jedno obrzezanie – mój drugi syn Jezua jakby czekał schowany za drzwiami i pojawił się natychmiast po swoim bracie. Mówiłem ci już, że Jezua, czyli Jeszu, znaczy tyle co Jezus, a zawinili tu Grecy, ponieważ nie wymawiają wielu dźwięków, i w ten sposób wprowadzili ludzkość w błąd, ale to już inna kwestia. Nie chcę dotknąć nikogo, jedynie przypominam, że i chrześcijański Syn Boży Jezua tak samo został obrzezany na fioletowej poduszce. I z tego powodu też naprzykrzam ci się z owym starym kawałem o Mordechaju, który nie mógł się nadziwić, dlaczego jego sąsiad Polak wysyła swego syna do seminarium duchownego.

– Dlatego – powiedział sąsiad – żeby mógł zostać księdzem.

– Eee, co z tego? – zdziwił się Mordechaj.

– Potem może zostać kardynałem!

– Eee, i co?

– I może któregoś dnia zostać papieżem!

– Eee, i co?

Sąsiad krzyknął zdenerwowany:

– Jak to co?! Papieżem! Chyba nie chcesz, by został Bogiem?

– Dlaczego? – powiedział Mordechaj. – Czyż jeden z naszych chłopców nim nie został?

Z Sarą i dziećmi mieliśmy mały domek z ogródkiem warzywnym niedaleko zakładu mojego ojca, pamiętasz pewnie „Mode parisienne”. Ma się rozumieć, pracowałem tam, ale już niejako czeladnik, lecz w charakterze równoprawnego współnika, toteż mój ojciec daleki był od tego, by lać mnie po głowie drewnianym „łokciem”. Z jednej strony moja bohaterska przeszłość podczas wojny zmieniła jego stosunek do mnie, a z drugiej – ja dawno już nie byłem tym naiwniakiem, który się rozgląda za fiakrami i damami w różu.

## 5

I tak biegło moje życie obywatela Rzeczypospolitej, to znaczy obywatela polskiego – raz w górę, raz w dół, i znów w górę i w dół po szarej, jak już mówiłem, górzystej codzienności, biegło na nicowaniu kaftanów, na uprawianiu żydowskiej sztuki krawieckiej, na szyciu z powierzonego materiału, który ledwie ledwie starczał na garnitur, a jeszcze udawało się uszyć kamizelkę. Zdarzało się wymierzyć jeden czy drugi symboliczny policzek Jaszy bądź Jeszu, którego wszyscy nazywali po rosyjsku Szurą, za to, że coś przeskrobali, za co z kolei ich matka, Sara, obdarzała mnie spojrzeniem pełnym wyrzutów. Sara, mój Boże, jak ja ją kochałem. Jak wypełniała moje życie bez reszty – miła, dobra, milcząca, wierna. Obecnie, na stare lata, kiedy piszę te słowa, a jej dawno już nie ma, oczy napełniają mi gorzkie łzy skruchy, ponieważ nigdy jej tego nie powiedziałem, nigdy – nawet wtedy, gdy wyjeżdżała do łaźni mineralnych z dziećmi i... Nie, o tym później, jeszcze jest wcześniej mówić o łaźniach i o wszystkim, co nastąpiło! Skoro zatem rumaki mojej opowieści niecierpliwie i żwawo pociągnęły do przodu w czasie, niewiele brakowało, bym pominął pewne wydarzenie z naszego życia z Sarą lub, jeśli wolisz, kamień milowy, zza którego wygląda miła, piegowata

twarzyczka z włosami rudymi jak moje i oczami szarzielonymi jak oczy Sary, to była nasza dziewczynka Zuzanna, która urodziła się trzecia.

Rodzina się powiększyła, należało więc zamówić u stolarza Goldsztajna nowy, większy stół, gdyż podczas wieczoru szabatowego zbierało się więcej osób: mój ojciec, moja matka oraz wuj Chaimle, który i tak nie założył własnej rodziny, ja i Sara, dzieci, a nierzadko – gdy nie był zajęty swymi dziwnymi i nieco tajemniczymi sprawami – nasz drogi rabin Szmul Bendawid, również od czasu do czasu wpadała moja siostra z mężem, pomocnikiem aptekarza, Sabetajem Krańcem ze Lwowa. Mowa była o stolarzu Goldsztajnie, i niech cię to nie dziwi, w naszej skromnej i biednej okolicy znajdowały się łańcuchy górskie Goldbergów, Goldsztajnów i Zylbersztajnów było zaś na kopy, nie mówiąc już o całych wysypiskach szlachetniejszych kamieni, jak rubiny. I to całe bogactwo rozlokowało się we wspaniałych, kwiecistych ogrodach Rosenbaumów, Blumów i Krańców, Lilienthalów i, za przeproszeniem, Blumenfeldów. Był też jeden Eisberg, Izydor Eisberg, ale przyrzekam, że nie miał on nic wspólnego z zatonięciem „Titanica”. A najuboższą, być może, mieszkanką Kołodźca była wdowa Gołda Zylber, tak się nazywała – złoto i srebro, a sprzedawała na bazarze za grosze opiekane pestki z dyni. Nie myśl, proszę, że i tym razem starym żydowskim zwyczajem zbaczam z opowiadania, żeby przejść krótszą drogą przez Odessę do Berdyczowa, ale chodzi o nasz nowy stół szabatowy. A podczas tych sobotnich wieczorów, które, jak już wyjaśniłem, odbywały się w piątek wieczorem, po kolacji i wszystkich innych czynnościach zgodnych z obowiązującym rytuałem jedliśmy pestki z dyni, nie ze słonecznika. Słonecznikowe były specjalnością Ukrainek stojących przy parkanach, które wyłuskiwały pestki z fantastyczną szybkością, wykonując wszystkie operacje technologiczne wyłącznie językiem, a potrafiły, wypluwając łupinę, trafić cię prosto w czoło z odległości dwóch wiorst rosyjskich. Inaczej Żydzi, siedząc wokół stołu w szabatowy wieczór, jedzą pestki z dyni – powoli i z godnością rozprawiając o sprawach życiowych. Nie jestem w stanie wyliczyć, jaką ilość informacji wymieniano podczas jednego takiego wieczoru w Kołodźcu wokół świątecznych stołów, gdy łuskano pestki, a rzadkie sekundy ciszy wypełniało niegłośne i zamyślane grzechotanie pestek między zębami, jakby drewnianka cichuteńko trzaskające w kominku. Niektórzy nazywali te wieczory „żydowską gazetą”, ale według mnie było to zubożające, ponieważ ilość wiadomości, pogłosek, plotek, wszelkiego rodzaju informacji – zaczynając od wieści o Rosji Radzieckiej, a kończąc na komecie, która według jakiejś jasnowiedzki z wściekłą szybkością leciała w kierunku Ziemi i miała spowodować nieuniknioną katastrofę – nie mogłaby się pomieścić w żadnej gazecie na naszym globie. I jeżeli do tego dodać zawsze dyżurne historie służące poprawie samopoczucia, z reguły zdobne w fantastyczne i wprost nieprawdopodobne detale, owoc kołodzieckiej wyobraźni o bankierze Rothschildzie, lordzie Disraelim oraz o tym, czy Leon Blum także jest Żydem, bądź też na odwrót, i te tłumiące zbyt dobre samopoczucie o tym antysemicie, równym Nabuchodonozorowi, oraz wszystkim nam niezycliwym razem wziętym, który, zdawało się, sięgnie po władzę w Niemczech, chociaż jest austriackim feldfeblem lub kimś podobnym, Adolfem Schicklgruberem, zrozumiesz, że nie przesadzam, porównując sobotnią wymianę myśli i wiedzy podczas jedzenia pestek z dyni z Biblioteką Aleksandryjską z papirusami, pergaminowymi zwojami i tabliczkami pisma klinowego. Bo nie mniejsza tragedia od spalenia się Biblioteki Aleksandryjskiej rozegrała się owego piątku, kiedy to na bazarze jakiś polski pan z Tarnowa kopnął koszyk starej Gołdy Zylber, ponieważ stanęła mu na drodze. Pestki rozsypały się w błocie, wprost na oczach wstrząśniętych mieszkańców Kołodźca obok Drohobycza. Wtedy zginęły setki papirusów z wiadomościami, plotkami i wiedzą, tysiące zwojów pergaminowych i arabskiego papieru czerpanego, tony tabliczek z pismem klinowym zawierających chochmy i żarty, kilometry taśmy telegraficznej niosącej wieści z Rosji Radzieckiej, z informacjami o lecącej ciągle ku Ziemi komecie, o baronie Rothschildzie i owym mordercy i filistrze Adolfie Schicklgruberze, a wszystko to – zamknięte w owych niby nic nieznaczących pestkach, z taką pogardą

nazywanych „żydowską gazetą”, obecnie walających się w błocie przed płaczącą i zrezygnowaną Gołdą. Nie jest ładnie chwalić się dobroczynnością – ona jest czymś duchowym i dyskretnym – ale powiem ci jednak, że zebraliśmy pieniądze i pokryliśmy stratę Gołdy, a nawet burmistrz, pan Wojtek zaklął po rosyjsku pod adresem tamtego idioty z Tarnowa i złożył swój datek. Skądinąd nie wiem, dlaczego my wszyscy – Żydzi, Ukraińcy i Polacy – przeklinaliśmy po rosyjsku. Dużo, dużo później, po drugiej wojnie światowej, gdy odwiedziłem państwo Izrael – zarówno z powodu pracy, jak i tak po prostu, żeby zobaczyć ziemię przodków – ponownie zauważyłem ten fenomen: Babilon jest niczym rozdwierkane przedszkole w porównaniu z językowym zamieszaniem w tym nowym państwie, niech Jahwe mu ześle pokój, tam każdy mówi w języku przywiezionym w bagażu, każdy ma własne zdanie we wszystkich zagadnieniach politycznych, w sprawach wojny i życia, ale gdy dochodzi do przeklinania – natychmiast tworzy się narodość, można by rzec, monopolistyczna jedność – wszyscy przeklinają po rosyjsku. Dlaczego tak się dzieje, nie potrafię powiedzieć, niewykluczone, że jakiś językoznawca rozwiąże zagadkę, na czym polega to unikatowe pod względem bogactwa i wspaniałości środków wyrazu zjawisko.

A jednak znowu pojechałem przez Odessę do Berdyczowa, lecz powiedz mi, bratku, czy można zmienić to, co od Boga jest ci dane, i co, można by powiedzieć, masz we krwi? Czyż można zmusić tygrysa, by jadł trawę, lub rybę, by uwiła gniazdo na topoli, albo powstrzymać Żyda, by nie zbaczał z prostej ścieżki swego opowiadania raz tu, raz tam – czasem zerwać żółty kwiatek, kiedy indziej zwyczajnie rozejrzeć się, zaczerpnąć świeżego powietrza, podzielić się z tobą refleksją, jak piękny jest ten świat Boży, opowiedzieć ci, z takiego lub innego powodu, chochmę lub anegdotę? Albo też zboczy Żyd, by popatrzeć na stado krów, i zaraz udzieli cennych rad pasterzowi, choć w życiu nie wydoił ani jednej krowy. Lubi doradzać, szalenie lubi dawać rady, to też ma we krwi. Z tego powodu zachował się komentarz starożytnych talmudystów z babilońskiego sanhedrynu dotyczący zagadki, dlaczego Jahwe stworzył mężczyznę i kobietę dopiero na końcu, szóstego dnia. Odpowiedź mędrców jest jednoznaczna: ponieważ Adam i Ewa są Żydami, gdyby więc zostali stworzeni na początku, doprowadziliby Stwórcę do szaleństwa swymi radami. Opowiadają też – ale nie wiem, czy to prawda – że podczas operacji synajskiej w okopach, przed każdym izraelskim żołnierzem widniał napis: „W czasie ataku żołnierzom surowo zabrania się udzielać porad głównodowodzącemu!”. Ale, o czym to była rozmowa? O nowym stole zamówionym u mistrza Goldsztajna.

Pewnego sobotniego wieczora zebraliśmy się wokół rzezonego stołu. Palily się świece. Ojciec jeszcze nie zdążył odczytać świątecznej modlitwy, *beracha*, kiedy przyszedł mój szwagier, brat Sary – rebe Bendawid. Ale nie przyszedł sam, z nim była – czy zgadłbyś kto? – z nim była Estera Katz, ta adwokatka z Warszawy, która kiedyś, bardzo dawno temu, przyniosła do koszar buntownicze ulotki, z powodu których musiałem stać nagi przed szeregami jednostki wojskowej. Cały wieczór była powściągliwa i milcząca – wspominałem już, że mówiła wszystkimi językami, jakby to sama je wymyśliła. Nie miała więc problemu i z żydowskim, odpowiadała jednak krótko i uprzejmie, nieustannie rzucając spojrzenia rabinowi. Wyczuwało się w niej jakieś napięcie, odnosiłem wrażenie, że ta krucha i wojownicza kobieta jest w rzeczywistości wstydliwym człowiekiem, oddanym całkowicie jakimś sprawom, które niezbyt dobrze rozumiałem. Kiedy przeszliśmy do pestek i wyczerpaliliśmy temat komety, wuj Chaimle, będąc poinformowany o wszystkim po trochu, zwrócił się do niej, ku mojemu zdumieniu, wprost „towarzyszko Katz”, chociaż według mnie ani wówczas, ani później nie miał nic wspólnego z tą sprawą, a jedynie demonstrował, że jest poinformowany. Zwrócił się więc do niej z dyżurnymi pytaniami o sytuację w Rosji Radzieckiej. Odpowiadała niechętnie i krótko, mówiąc jedynie, że tam dokonują się wielkie rzeczy i że gazety w pańskiej Polsce kłamią. Znowu rzuciła spojrzenie rebemu Bendawidowi i zamilkła.

Wówczas Bendawid ostrożnie podchwycił:

– Czy Estera będzie mogła dzisiaj u was zanoć? Rozumiecie, że u mnie w bóżnicy byłoby to kłopotliwe. Tym bardziej że jestem starym kawalerem.

– Zaśmiał się sucho i nieco sztucznie.

Ojciec i matka wymienili krótkie, trwożne spojrzenia, potem ojciec szybko odpowiedział:

– Oczywiście, pokój Icka – mnie miał na myśli – jest wolny. Oczywiście!

– Nie, że coś jest... – od niechcienia znów zaczął rabin – ale nie trzeba robić szumu, że Estera tu przenocowała. Rozumiecie?

Ojciec i wuj Chaimle konspiracyjnie kiwnęli głowami, chociaż wątpliwe, czy rozumieli dokładnie, o co chodzi.

Kiedy następnego dnia przyszedłem do pracy w zakładzie, Estera już wyjechała, a ojciec wyjaśnił, że jeszcze było ciemno, gdy Bendawid przyszedł po nią.

Wiele lat później, kiedy już zjadłem dostatecznie dużo główek śledzia, domyślasz się, przyszło mi do głowy, że tej nocy albo przyjechała nielegalnie z Rosji albo tam właśnie się udawała. Myśl ta, powtarzam, przyszła jednak dużo później, kiedy bolszewicy rozstrzelali Esterę Katz.

Jeszcze jeden stary znajomy wstąpił do Kołodźca – Lowa Weisman, pamiętasz, ten, którego austro-węgierska armia zawsze szła niepowstrzymanie do przodu. On dyskretnie szeptał ludziom, że zwołuje zebranie tylko dla Żydów, w kawiarni Dawida Lejbowicza, z bardzo ważnym porządkiem dnia, ale nie zdziw się, kiedy ci powiem, że przyszło tylko siedem osób, w tym ja i rabin Bendawid. Pozostali albo zwąchali, że chodzi o politykę, albo właśnie wtedy rozboleł ich przekłety ząb bądź celiła się im krowa, popękały dachówki, zbierało się na deszcz lub też znowu nie było komu zostać w kiosku z serem i śmietaną. Nie myśl, że ci, co nie przyszli, dużo stracili, ponieważ Lowa Weisman oznajmił to, o czym wszyscy wiedzieliśmy, a mianowicie, że nad Europą zbierają się ciężkie chmury, że Hitler, to jest ten sam Schicklgruber, ogłosił w Linzu przyłączenie naszej byłej ojczyzny, Austrii, do tysiącletniej Trzeciej Rzeszy, i tym podobne. Mówił o konieczności zjednoczenia żydowskiej socjaldemokracji, lecz rabin wzburzony sprzeciwił się podobnym, jak je nazwał, „syjonistycznym ukłonom”, że nie należy oddzielać żydowskiego proletariatu od innych jego braci, z którymi dzieli podobny los i tak dalej. Nie wiem, kto miał rację, być może obaj, a może żaden z nich. Znasz historię o rabinie, do którego udali się Mendel i Berkowicz, by rozstrzygnął ich spór. Rabin wysłuchał Mendla i rzekł: „Masz rację”. Potem wysłuchał Berkowicza i znów powiedział: „I ty też masz rację”. Z kuchni odezwała się jego żona: „Nie może i jeden, i drugi mieć racji”, a rabin odrzekł: „I ty masz rację”. W każdym razie spór, który zagrażał pogłębieniem podziału wśród zwartych szeregów naszych siedmiu osób, nie rozgorzał, jako że do kawiarni wszedł burmistrz, pan Wojtek. Uprzejmie się przywitał, usiadł i zamówił herbatę z trzema łyżeczkami cukru. Potem oświadczył:

– Dawno pan już nie wyświetlał filmów, panie Weisman. To jest pożyteczna rozrywka i pod każdym względem godna poparcia, jeżeli na polityczne zebrania najpierw się prosi zezwolenie z urzędu. Nie to, żebym miał coś przeciw waszym żydowskim organizacjom, panie Weisman, ale prawo należy szanować i je przestrzegać.

Widocznie władze nie bardzo się przejmowały podobnymi socjaldemokratycznymi inicjatywami, które łączyły lub dzieliły ludzi. Wszyscy, jeden po drugim, ulotniliśmy się, został jedynie rebe Bendawid, który też zamówił herbatę z trzema łyżeczkami cukru.

Z wyżej wymienionych przyczyn związek socjaldemokratyczny Żydów w Kołodźcu koło Drohobycza nie powstał, ale ten fakt wcale nie zaciążył na rozwoju światowych wydarzeń.



Wydarzenia następowały jedno po drugim, a pogłoski stawały się coraz bardziej mgliste i niepokojące. Wiedzieliśmy już na pamięć, gdzie znajduje się Teruel i co wydarzyło się nad Chałchyn-Goł między radzieckimi i japońskimi jednostkami wojskowymi, i na czym polegał problem Alzacji i Lotaryngii, a także wiedzieliśmy, że Linia Mannerheima wcale nie jest zwykłą kreską na mapie. Dokładnie w tym samym czasie zjawiała się w Kołodźcu pewna niemiecka rodzina: Fritz i Elsa Schneiderowie – nazwisko brzmiało całkiem po żydowsku, ale nie byli z naszych, przeciwnie, byli czystymi Aryjczykami. Nie mówili dużo, tym bardziej że nawet ich imiona trudno było wymówić w którymkolwiek języku słowiańskim, ale z nami jakoś się porozumiewali, bo mówiłem już, że nasz jidysz jest szlachetną mieszkanką różnych języków, z przeważającą obecnością ogryzków z niemieckiego. Schneiderowie nie mieli nic wspólnego z krawiectwem, po prostu takie mieli nazwisko. Założyli niewielki warsztat naprawy rowerów i wszelkiego rodzaju silników. Trochę później, kiedy nasze dobrosąsiedzkie stosunki się umocniły, a nawet odwiedził ich rabin, z którym rozmawiali nie tylko przyjacielsko, ale też w najczystszy niemieckim, stało się jasne, że uciekli w nasze strony z powodu nieprzepartej antypatii do Führera. Dzieliły ich jakieś różnice w poglądach na życie.

Nasz rabin był nimi zachwycony i twierdził, że brunatni wytrzymają z góra miesiąc, dwa, ponieważ są bandą dzikusów wywołującą powszechny sprzeciw narodu niemieckiego, który dał światu coś tam i kogoś tam. Nie ma potrzeby wyjaśniać, jak daleki od prawdy był mój szwagier, przypuszczam, że już zrozumiałeś historię ludzkości nie tylko jako miłe wspomnienie o wielkich mężach, ale dowiedziałeś się nieco więcej także o narodach, które dały światu to i owo, ale zdolne były też wyciąć taki numer, że przeklinasz dzień własnych urodzin. Przypomniałem sobie o hydrauliku Nachumie Weisie z Drezna, który jeszcze jakoś się trzymał na powierzchni, ale oczekiwał w każdej chwili, że zostanie wezwany z dziesięcioma kilogramami osobistego bagażu jako osoba pochodzenia niearyjskiego, czyli po prostu żydowskiego. Kiedy jego wciąż jeszcze niewyłączony telefon zadzwonił i gruby głos zapytał: „Czy mówię z obergruppensturmführerem Ottonem Schulzem?”, biedny Nachum Weis smutno odpowiedział: „O, gdyby pan wiedział, jak bardzo pomylił pan numer!”. Tak i nasz wysoce wykształcony rabin – który orientował się zarówno w zawiłościach chasydyzmu i wywodów jego przywódcy duchowego Baal Szem Towa, jak i w poglądach Karola Marksa – tak bardzo pomylił numer w związku z mającym nastąpić upadkiem Hitlera, ale wówczas, niestety, nawet nie podejrzewaliśmy, jak bardzo się pomylił.

Nie chcę opowiadać ze szczegółami o wydarzeniach, które nastąpiły, wystarczy zajrzeć do jakiegokolwiek książki, by zrozumieć, z jaką prędkością w łonie Europy ponownie zbierał się ropny wrzód, który musiał pęknąć przy najbliższym zetknięciu z kolcami jakiegokolwiek międzynarodowego problemu. Tym razem wcale nie chodziło o bananową skórę w Sztokholmie ani o zabójstwo jakiegoś arcyksięcia, ponieważ, powtarzam, gdy wojna musi wybuchnąć – wybucha, a powód nie ma tu żadnego znaczenia. W tym przypadku zdaje się nie chodziło o coś, czego Niemcy domagali się od Polski, a sojusznicy Polski nie chcieli tego dać, bo już oddali Austrię i Sudety, oraz co tylko zażądano od nich, i z przodu, i z tyłu, skoro ten idiota Chamberlain przysięgał w Monachium wieczną przyjaźń z nazistami, a Mołotow i Ribbentrop całowali się jak pederasci! Nie myśl, proszę, że to są moje ówczesne poglądy, nie byłem dostatecznie uświadomiony, by myśleć w ten sposób, ale czas kładzie swe przezroczyście warstwy jedna na drugą, przybliżając lub oddalając wydarzenia jak przez lornetkę, przez którą patrzysz raz z jednej, raz z drugiej strony, toteż i na sprawy, które w przeszłości były niejasne, kładą się twoje dzisiejsze rozważania, a nawet dzisiejsze pomyłki.

W końcu wszystko się skończyło lub może lepiej byłoby powiedzieć, że zaczęło od nowa z udziałem mocno podstarzałego sprawozdawcy wojennego z kampanii rosyjsko-tureckiej, listonosza Awramczyka, który znów przyniósł mi żółtą kartkę z mniej więcej takim samym tekstem w rodzaju „w terminie siedmiu dni od otrzymania niniejszego...” i tak dalej, domyślasz się już. W ten sposób moja ojczyzna, Polska, święta ziemia przodków i tak dalej, wzywała mnie „pod sztandary”!

Tym razem powołanych było wielu, Żydów, Ukraińców, i Polaków. Nie jest kaprysem literackim ani Bóg wie jakim zbiegiem okoliczności, że powołany został też mój szwagier, mądry rabin Szmul Bendawid. Nie będę opowiadał o tym, że Sara płakała, a ja głaskałem ją po głowie i tłumaczyłem, że ta wojna będzie krótka, nie podejrzewałem nawet, jak blisko byłem prawdy. Tak więc następnego dnia powinniśmy byli wyruszyć na zachód, w kierunku granicy niemieckiej, gdzie straszna wojna już rozgorzała.

17 września 1939 roku, już zaopatrzonej przez jednostkę z Drohobycza w kompletny ekwipunek bojowy, dokładnie o siódmej zero zero rano, stawiłem się na placyku przy bazarze – tam, gdzie Gołda Zylber przeżyła zniszczenie Biblioteki Aleksandryjskiej i gdzie gromadzili się powołani z Kołodźca. W tym przypadku godności duchownego rabina Bendawida nie uszanowano specjalnie, wyglądał trochę dziwnie, a nawet śmiesznie – ogolony i ostrzyżony, w mundurze wojskowym. Kobiety gromadziły się z boku, niektóre płakały, popłakiwała też Sara, która przyszła z dziećmi. Byli tam też mój ojciec i moja matka. Brakowało muzyki wojskowej, za to osobiście przyszedł nas odprowadzić burmistrz, pan Wojtek, który był w podniosłym nastroju, mając pełną świadomość historycznej dla ojczyzny chwili.

A teraz trzymaj się, byś nie spadł z krzesła: pomimo podniosłego nastroju nie było mi pisane przynieść zwycięstwa na ostrzu bagnetu lub choćby położyć kości na panteonie ojczyzny, ponieważ dla mnie osobiście, tak jak i dla mojego drogiego szwagra Bendawida, jak zresztą dla wszystkich mężczyzn zebranych na placyku w Kołodźcu, wojna znowu się skończyła, zanim się zaczęła.

Rzecz w tym, że ja, Sara i dzieci, rebe Szmul Bendawid, mama i tata, a także wszyscy moi mili sąsiedzi – pan Wojtek, Polacy, Ukraińcy, Żydzi, a nawet niemiecka rodzina Fritza i Elsy Schneiderów – wszyscy łącznie z księdzem i popem dokładnie tego ranka doczekaliśmy się spełnienia kolejnego narodowego ideału lub, jak poinformował nas komisarz polityczny Nikanor Skidanenko, stojąc na rosyjskim czołgu T-34, zostaliśmy wyzwoleni z niewoli pańsko-obszarniczej Polski i przyłączeni do robotniczo-chłopskiej ojczyzny, do wielkiego Związku Radzieckiego.

I tak, bratku mój, marzenie, którego nawet nie podejrzewałem, że jest moje, spełniło się, jak to zwykło się pisać w sprawozdaniach związków zawodowych, w stu procentach, a ja już byłem świadomym obywatelem mieszkającym w radzieckim Kołodźcu, niegdysiejszym austro-węgierskim powiecie Lemberg, byłym polskim województwie lwowskim, a obecnie w przednim posterunku światowej rewolucji.

# TRZECIA KSIĘGA IZAAKOWA

## Rotfront, czyli pięciolatka w skróconych terminach

### 1

Wybacz, że zaczynam chochmą, czyli, jak domyślasz się, chasydzką przypowieścią, która nawet nie jest śmieszna, ale przy odrobinie wysiłku zrozumiesz być może jej naukę. Chodzi o ślepcę Josela, którego nawet dzieci, skądinąd skłonne naigrawać się z każdego nieszczęśnika, z szacunkiem przeprowadzały przez ulicę. Otóż ten właśnie Josel pewnego razu, stukając laską, udał się do rabina i zapytał:

– Rebe, co teraz robisz?

– Piję mleko.

– Jak wygląda mleko, rebe?

– To taki biały płyn.

– Co znaczy „biały”?

– No... biały jak łabędź.

– A co znaczy „łabędź”?

– Taki ptak z wygiętą szyją.

– Co to znaczy „wygiętą”, rebe?

Rabin zgiął rękę w łokciu.

– Proszę, pomacaj i zrozumiesz, co znaczy „wygiętą”.

Ślepy Josel obmacał ostrożnie rękę i w końcu orzekł:

– Dziękuję ci, rebe. Teraz już wiem, jak wygląda mleko!

Dokładnie tak samo i ty, drogi i cierpliwy czytelniku, nie daj się zwieść ani zgięciem mojej ręki, która pisze te słowa, ani moimi skromnymi próbami wyjaśnienia ci rzeczy. Nie ludź się, że jak ślepy Josel zrozumiesz, jak wygląda mleko lub, powiedzmy, moja nowa ojczyzna ZSRR. Ja też nigdy się nie dowiedziałem, czy to, co dzieje się w Kołodźcu obok Drohobycza, podobne jest do tego, co na przykład dzieje się w Tambowie lub Nowosybirsku i czy przez pojęcie „radziecki” rozumiemy jedno i to samo, tu i tam, lub nawet w jurtach gdzieś na pustyni Kara-kum. Dlatego i dziś bywam poirytowany, gdy jakiś młody zagraniczny dziennikarz wpada na trzy dni do Moskwy, by potem zgodnie z własnymi sympatiami politycznymi tonem znawcy wyjaśniać ciemnym i ślepym ludziom, jak wygląda mleko, nie uświadamiając sobie, że pomacał jedynie zgięty łokieć Moskwy, że dobro może być kłamliwe i pozorne, a pozorne zło, z którego śpieszno nam się wyzwolić, może się okazać niezrozumianym lub niedocenianym dobrem. Szczególnie jeżeli sobie wyobrazisz, jak bardzo obszerna jest moja nowa ojczyzna – tak bardzo, że są miejsca, skąd bliżej jest wpaść do Japonii i kupić pół kilograma mięsa, aniżeli udać się do sąsiedniego radzieckiego miasta. Nie mówiąc już o tym, że problemy z mięsem nie polegają tylko na bliskości Japonii, gdyż właśnie z dalekich syberyjskich stron przyszła aż do nas, do Kołodźca, opowieść o obywatelu,

który wszedł do radzieckiego sklepu mięsnego i zapytał: „Czy mogę prosić o zważenie mi pół kilograma mięsa?”. Odpowiedziano mu uprzejmie: „Oczywiście, przynieście je tutaj”.

Z wyłożonej powyżej przyczyny nie oczekuj ode mnie oszłamiających uogólnień, z jednej strony dlatego, że jestem całkowicie niezdolny do tego rodzaju sądów – pamiętasz, że i sam rabin mówił, że jestem nieco tępawy – a z drugiej, ponieważ nie zrozumiałem wielu rzeczy, nad którymi i dziś, będąc w podeszłym już wieku, łamię sobie głowę. Nie oczekuj również, że zgodnie z modą będę opluwać tę moją trzecią ojczyznę, jako że, jeśli zauważyłeś, jakoś mimowolnie wypowiedziałem ostrą lub krytyczną uwagę o dwóch poprzednich ojczyznach, za co przepraszam, choć nie pozwoliłem sobie na obelżywe słowa ani na wyrażanie się bez szacunku. I nie myśl, że teraz, jako obywatel radziecki, a zatem bojownik z awangardy postępującej ludzkości, natychmiast tak się zmieniłem, że mnie nie poznasz. Nie bądź jak ów głupiec Mendel, który spotkawszy kogoś na ulicy, wykrzyknął:

– Jak się zmieniłeś, Mojsze, bez brody i wąsów.

– Ja nie jestem Mojsze – rzekł nagabnięty – lecz Aron.

– Popatrz! I imię zmieniłeś!

Moje imię pozostało niezmienione, ale zgodnie z rosyjskim wzorcem teraz stałem się obywatelem Izaakiem Jakubowiczem Blumenfeldem – choć to fakt, który, słowo honoru, w żadnym razie nie uczynił mnie kimś innym.

Skądinąd ogół rzeczy zmienił się dość zasadniczo. Mówiąc innymi słowy, nasze przejście z Austro-Węgier do Polski było łagodniejsze i delikatniejsze, bez szczególnych wstrząsów. Dawid Lejbowicz zwyczajnie zdjął w kawiarni portret Franciszka Józefa, a nieco później, gdy sytuacja się wyjaśniła, powiesił na jego miejsce Piłsudskiego, natomiast pan Wojtek z komisarza policji awansował na burmistrza. Dla większej wyrazistości można przedstawić to tak: mój ojciec, Jakub Blumenfeld, wetknął igłę z jednej strony kaftana jako Austro-Węgier, a przeciągnął nitkę na drugą stronę jako Polak. No, może i było trochę lekkich wstrząsów, jak zabójstwo prezydenta Narutowicza albo, powiedzmy, powstanie w Krakowie, niemniej to wszystko minęło spokojnie i przeszło jak wiosenny katar. Natomiast obecnie sprawy zmieniały się radykalnie, można nawet powiedzieć rewolucyjnie, inaczej cała ta strzelanina w październiku siedemnastego roku nie miałyby sensu, a Lenin w takiej sytuacji mógłby całkiem spokojnie jechać pierwszą klasą pociągiem relacji Berlin-Petersburg, a nie, jak opowiadają, w zapieczętowanym wagonie towarowym, by potem wsiąść do taksówki, zamiast wspinać się po pancerniku. Dam ci tylko jako przykład równie radykalnej lub, jeśli bardziej ci się podoba, rewolucyjnej zmiany – zdjęcie szyldu „Mode parisienne”. Ta paryska moda wydała się nowym naczelnikom, którzy przybyli bądź z głębi kraju, bądź też z polskich więzień, zacofana i nieodpowiadająca nowoczesnym tendencjom robotniczo-rolniczym, toteż my – czyli mój ojciec i ja – staliśmy się szeregowymi pracownikami „Artelu nr 6 Ukrgławgorpromtrestu”. Nie dziw się tej trudnej do wymówienia abrewiaturze, nie pamiętam, czy brzmiała dokładnie tak czy jakoś podobnie, ale jest ona po prostu dziecinną zabawką w porównaniu z niektórymi bardziej złożonymi i rewolucyjnymi zestawami, które składają się z dziewięciu lub nawet z dwudziestu trzech wyrazów. Po próbie wymówienia ich przez pół godziny rozwiązujesz sobie język z marynarskich węzłów, w które się zaplątał. Trudne do wytłumaczenia w tym przypadku jest to, że nieraz podobny skrót radziecki jest dłuższy od słów, z których został utworzony – fenomen, którym powinien się zająć Instytut Paranormalnych Zjawisk Fizycznych w Leningradzie. Podobny fenomen odkrył też Szymon Finkelsztajn, twierdząc, że zobaczył węża długiego na metr dwadzieścia od głowy do ogona i dwa metry od ogona do głowy. Na sprzeciw Mendla, że podobne zjawisko jest niemożliwe, Finkelsztajn odpowiedział: „A jak, według ciebie, jest to możliwe, że od poniedziałku do środy masz dwa dni, a od środy do poniedziałku pięć?”.

Zmiana nazwy i statutu naszego zakładu doprowadziły w następstwie do usunięcia z witryny, która, jeśli pamiętasz, była na poziomie trotuaru, wyblakłych już pań w różach oraz

panów we frakach, a zastąpienia ich wezwaniem: WYKONAJMY PIĘCIOLATKĘ W CZTERY LATA! I w tej kwestii, tak jak z paniami i panami ze strasznej przeszłości burżuazyjnej, na witrynie postawiono coś trwałego, nieprzemijającego. I chwała Bogu, ponieważ nie ma tu mowy, o którą pięciolatkę chodzi ani też, w jakim to terminie powinniśmy ją – ja i mój ojciec – wykonać.

Rzecz jasna byłoby naiwnością uważać, że to była jedyna zmiana, którą nowa rzeczywistość radziecka wlała w skromne życie małej zapadłej prowincji. Może nawet to wszystko wyda ci się przesadzone, ale, mimo że w pewnym sensie nasze życie stało się trudniejsze, szczególnie pod względem zaopatrzenia, to jednak nasze samopoczucie poprawiło się, wypełniała nas bowiem świadomość, że jesteśmy częścią czegoś, jedną, być może maleńką, ale ważną śrubką wielkiego, choć niezupełnie zrozumiałego mechanizmu, czegoś w rodzaju maszyny czasu, mam na myśli, czasu przyszłego, z własnym miejscem, a nawet rolą w gigantycznej chochmie historycznej, która rozgrywała się na światowej scenie. Uwierz mi, że było tak, iż większość naszych ludzi uwierzyła w radziecką władzę lub też chciała w nią wierzyć – nawet wtedy, gdy uświadamiała sobie jej błędy czy nawet oszustwa. Zatem, jeśli jesteś człowiekiem wierzącym, zrozumiesz mnie, ponieważ i Pan Bóg, niech się święci Jego imię, nieraz cię zwodził, obiecując rzeczy, które może i miał zamiar spełnić, ale zajął się innymi sprawami i zapomniał. Jednak ani na chwilę nie zwątpiłeś w Jego wielkość, szukałeś słów usprawiedliwienia i pociechy w rodzaju: „Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy”, „Boże młyny wolno miały”. Czyż nie tak właśnie jest?

Toteż skoro mowa o Bogu, mogę uroczysto cię zapewnić, że nierozważna decyzja polskich władz wojskowych, by ostrzyć i ogolić mądrego rabina Szmula Bendawida, przyspieszyła proces jego ostatecznego wyboru: został przewodniczącym Klubu Wojujących Ateistów, który mieścił się w jednym z kątów Domu Kultury „Zorza Październikowa”. Jeśli ponownie się zdziwisz, skąd w naszym Kołodźcu narodziła się ta zorza, odpowiem ci zwyczajnie: to była kawiarnia Dawida Lejbowicza, którego zatrudniono na stanowisku instruktora kulturalno-oświatowego ze stałą pensją radziecką. Pan Wojtek, a ściślej obywatel Wojtek został zatrzymany i był przesłuchiwany jako były burmistrz, ale tylko dwie godziny, ponieważ lojalni obywatele Kołodźca zeznawali przychylnie dla niego, otrzymał więc stanowisko kierownika ZAGS-u, czyli urzędu stanu cywilnego, zapisywał do ksiąg rady kołódzkiej śluby i rozwody, nowo narodzonych i zmarłych, a zwrot „pokój ich prochom” dotyczył tylko zmarłych.

Nie wpytuj mnie o innych wspólnych znajomych – każdy z nich zadziwiająco szybko, jak na ociężałą radziecką biurokrację, zajął swój bojowy posterunek w nowej rzeczywistości. Musimy jednak trochę uwagi poświęcić towarzyszeniowi Lwu Sabatajewiczowi, pamiętasz Lowę Weismana z filmami, ponieważ został redaktorem naczelnym gazety „Czerwona Galicja” i jego przypadek okazał się nie tak prosty. Dlatego że, jeśli sobie przypominasz, chciał zjednoczyć żydowską socjaldemokrację, a to ostatnie słowo, szczególnie w połączeniu z przedostatnim, działa na bolszewików jak czerwona płachta toreadora na rozjuszonego byka. Biedny Lowa Weisman musiał na ogólnym zebraniu z udziałem przedstawicielki Centrum, towarzyszki Estery Katz, złożyć głęboką i szczerą samokrytykę. Jeśli się zastanawiasz, co może oznaczać „centrum”, podpowiem ci, że jest to mgliste radzieckie sformułowanie, które zwyczajnie miało budzić respekt i mogło oznaczać wszystko – od miejskiego komitetu w sąsiednim Truskawcu do wyższych instancji w nieskończonej partyjnej lub państwowej drabinie, od Lwowa, Mińska i Kijowa do dalekiej Moskwy. Mam nadzieję, że wiesz, co to jest samokrytyka: trzeba samemu się zarznąć, obedrzeć ze skóry i podać ją naciągniętą na ramię lub, jak w Biblii, posypać głowę popiołem, podrzeć koszulę, a prezydium zebrania z dużym wysiłkiem powstrzymuje cię, byś nie wyrwał sobie wszystkich włosów. Dam ci pewną radę, jeśli coś podobnego spotka i ciebie w życiu: w żadnym wypadku nie przeciągaj, nie bierz winy na siebie, tak jakbyś zażywał gorzkie lekarstwo

łyżeczka po łyżeczce, lecz odważnie rzuć się w ocean skruchy i wyznaj wszystkie grzechy bądź błędy od czasów Pierwszej oraz Drugiej Międzynarodówki aż po dzień obecny, jeśli zaś w ciszy usłyszysz stukanie ołówkiem w stół i rosyjskie „mało, mało” wprost i bez zbędnego drobnoburżuazyjnego kręcenia połóż na szalę współczucia także własną winę za zagładę Herkulanum i Pompei. Wtedy jesteś uratowany i możesz być spokojny o swoją karierę przez następne dwie, trzy pięciolatki, ponieważ Rosjanin jest z natury wrażliwy i emocjonalny, jeśli więc wzruszy się twoją szczerością, może nawet zaprosić cię do domu na herbatę, ale nie dostaniesz herbaty, jest to bowiem zakodowana nazwa innego płynu, dlatego po pierwszej butelce pocałuje cię w czoło i nie tylko powie, że cię kocha, ale nawet szanuje.

Nie byłem obecny podczas rehabilitacji, ponieważ nie byłem członkiem partii ani działaczem jak mój szwagier Bendawid, ale to on mi właśnie opowiedział, że Estera Katz większość czasu milczała, gdyż ciężko znosiła głupców, szczególnie mając na uwadze biednego, porządnego Lowę Weismana, którego towarzysze z Centrum przyjechali sprawdzać.

W ogóle nasze przejście z drobnoburżuazyjnych, klasowo nieświadomych niewolników kapitału – mam na myśli kapitał w kasie Rothschilda, a nie *Kapitał* Karola Marksa – do światowej awangardy ludu pracującego, odbyło się bez szczególnego dramatyzmu. Z jednym wyjątkiem, którego do dziś nie mogę zrozumieć i dalej daremnie poszukuję w nim logiki: niemiecką rodzinę, Fritza i Elbę Schneiderów, radzieckie organy uprzejmie poprosiły, by spakowali swój bagaż, a jak dowiedzieliśmy się później, odprowadziły do granicy i przekazały władzom hitlerowskim. To stało się, opowiadają, na mocy jakiegoś układu radziecko-niemieckiego, ale, przepraszając za brzydki wyraz, pieprzę taki układ, na mocy którego przekazuje się uciekinierów z jednego reżimu w ręce tego samego reżimu po to, by ich wysłano do obozów lub rozstrzelano. Jak mówili moi rodzice, „sprawy Boskie nie mają ani końca, ani dna, ani jest nam dane ogarnąć je rozumem”. Nawet Estera Katz bezradnie wzruszała ramionami.

– Nie wiem... Być może są hitlerowskimi agentami.

– I dlatego z reklamacją zwracają towar producentowi? – sceptycznie zapytał rebe Bendawid.

Estera Katz przełknęła przygotowaną odpowiedź, która, jak się wydaje, nie była przekonująca nawet dla niej samej.

## 2

Piękny, srebrzysty i niesforny pęk wił się jak kołodziecka rzeczka w kruczoczarnych galilejskich włosach mojej Sary, która wciąż z miłością i oddaniem patrzyła na mnie swymi szarzielonymi oczami i mimo mojego rozdrażnienia uparcie kładła mi do talerza z barszczem najlepszy kawałek mięsa, który, zgodnie z judejską tradycją patriarchalną, należał się mojemu ojcu. Starszy syn, Jasza, studiował w Kijowie prawo, co wpisywało się – wraz z muzyką lub medycyną – do tradycji żydowskiej. I nie wierz, proszę cię, w ów mit, że handel jest żywiołem Żydów. Być może kiedyś, w starożytności fenickiej tak było, ale dzisiaj każdy przeciętny Ormianin, Syryjczyk lub Grek trzykrotnie kupi i sprzeda żydowskiego handlarza, a ten się nawet nie zorientuje. Gdyby było inaczej, Kołodziec byłby światowym centrum handlu. Ale i ty mógłbyś mi przeciwstawić ten oczywisty fakt, że też i nie było nadmiaru osobistości w rodzaju Dawida Ojstracha czy doktora Wassermanna. Nasz młodszy syn, Jeszua, chyba jeszcze w kołysce był usypiany *Międzynarodówką*, toteż jako członek Komsomołu okazał się całkowicie pochłonięty działalnością w DOSAAF-ie – stowarzyszeniu na rzecz współpracy z armią, lotnictwem i flotą, był też zwariowany, proszę sobie wyobrazić,

na punkcie latania szybowcem. Zarówno Sarę, jak i moją matkę – starą Rebeke – ogarniało przerażenie z powodu tych zajęć, dopóki nie zabroniłem im wtrącać się w życie młodych, zaliczając do tej liczby mnogiej również jego siostrę, Zuzannę, która podpuszczona z kolei przez swego brata skakała na spadochronie i nawet dostała jakiś sportowy medal.

Ojciec postarzał się bardzo i nie widział już dobrze, nie był więc w stanie kontynuować swych krawieckich umiejętności w nicowaniu kaftanów z takim samym powodzeniem jak dawniej, zresztą nie mógł nawet odnaleźć wpiętej igły. Pomimo moich usilnych próśb, by więcej odpoczywał, nadal przychodził do zakładu rankiem, a opuszczał go, gdyśmy już zamykali – była to siła nawyku, czy też głębokie przekonanie, że trzeba mi będzie służyć fachowymi radami. Tym bardziej że część ludzi sędziwych w jakiś naturalny sposób odsunęła się od „Zorzy Października”, to znaczy dawnej kawiarni Dawida Lejbowicza, i przeniosła do nas, tworząc, można by rzec, drugie, żydowskie ognisko kulturalne. Nie zajmowaliśmy się w nim rolą europejskiego proletariatu w światowym procesie rewolucyjnym, ale przede wszystkim rodziną barona Rothschilda i jego niemałymi problemami, a tak samo prognozami bliskiej klęski Hitlera i tym, co na ten temat powiedział Churchill – dziedziną, w której głównym specjalistą był listonosz Awramczyk, już na emeryturze, dumnie noszący honorową odznakę Komisariatu Poczty i Łączności. Lubili starszycy Churchilla i Anglików, jakiś niewytłumaczalny magnetyzm kierował ich myśli ciągle w tamtą stronę, ale z całkowicie zrozumiałych odruchów, przyrodzonych Żydom jeszcze z czasów Izabeli Hiszpańskiej i wielkiego inkwizytora Torquemady, delikatnie unikali komentowania sytuacji ekonomicznej Związku Radzieckiego lub, powiedzmy, ostatniego wywiadu Stalina z korespondentem „Timesa”, dotyczącego stosunków radziecko-niemieckich. Podobne wywiady i różne doniesienia TASS lub też artykuły z „Prawdy” starannie przedrukowywane przez Lowę Weismana w „Czerwonej Galicji” powtarzały do obrzydzenia jedno i to samo, a mianowicie, że nasze stosunki ze Szwabami są dobre, a nawet coraz lepsze, i że nie ma żadnej koncentracji wojsk na granicach, co mądrzy starszycy pozostawiali bez komentarza, kwitując zagadnienie wymianą spojrzeń i szybkim przejściem do wiecznie aktualnego tematu o baronie Rothschildzie.

Nie myśl, że przyciągająca siła tego barona i stosunkowo ważne miejsce, jakie jego osoba zajmowała w kołódzieckim życiu, były przypadkowe – on bowiem dawał nadzieję i ufność, umacniał niezłomny optymizm żydowski oraz wiarę w całkowicie realną szansę wzbogacenia się tudzież zostania milionerem, wiarę porównywalną z bezspornym faktem, że każdy sprzedawca popcornu w Stanach Zjednoczonych ma szansę zostać prezydentem. Kołodziec koło Drohobycza był naturalnie dość daleko od Ameryki, toteż podobne oczekiwania nie mogły dotyczyć na przykład Gołdy Zylber, sprzedawczyni pestek, nie tylko dlatego, że na prezydenta Stanów Zjednoczonych nie wybiera się kobiet, ale także z wielu innych przyczyn, nie wyłączając zdolności kołódzieckich nestorów do rozróżniania tego, co możliwe i prawdopodobne, od tego, co niemożliwe i nieprawdopodobne, by nie dać się porwać fantazji. Jak w tej historii, gdzie podekscytowany kapłan powiedział któregoś razu Mendlowi: „Wiesz, kogo spotkałem wczoraj w berdyczowskim metrze? Nie uwierzysz. Karola Marksa we własnej osobie!”. Na co Mendel, w zasadzie sceptyczny wobec wszelkiego rodzaju fantazjowania, słusznie odpowiedział: „Głupstwa opowiadasz, w Berdyczowie nie ma metra!”.

W piątek pod wieczór zakład pustoszał i wszyscy śpieszyli się do swoich domów, ponieważ władze radzieckie, przynajmniej na razie, były tolerancyjne dla lokalnych tradycji, a zatem związki zawodowe nie przeszkadzały Żydom świętować szabatu, tak jak się należało. Wówczas mama i Sara nakrywały białym, lnianym obrusem stół, zrobiony kiedyś przez stolarza Goldsztajna, a mój ojciec drżącą ręką zapalał świece, z trudem trafiając w knoty, potem zaś wygłaszał modlitwę, mechanicznie mamrocząc po hebrajsku. Nasi dwaj świeżo upieczeni komsomolcy, złożywszy pobożnie dłonie, próbowali się podśmiewać i mrugać do

siebie porozumiewawczo, ale napotkawszy surowe spojrzenie matki Sary, uspokajali swe ateistyczne porywy.

Może wyda ci się dziwny ten stop władzy radzieckiej z chasydyzmem, ale nie wykluczam możliwości, że to sam Karol Marks, którego ów kapłan spotkał w Berdyczowie, zapalił siedmioramienny świecznik podczas kolacji z Żenią ubiegłego piątku. Religijno-mistyczna mgiełka wokół tego świętego dla Żydów wieczoru dawno się rozproszyła, przekształcając w narodowy rytuał – coś w rodzaju malowania wielkanocnych jajek przez dynastyczne rodziny komunistów, mające przecież poważne wątpliwości na temat Zmartwychwstania lub, powiedzmy, masowe upijanie się do utraty pamięci z okazji 1 Maja – pewną równie wrzuszającą tradycję, w której dawno już nie ma ani żdźbła wiary.

Przychodził do nas każdego szabatowego wieczoru – raz z kawałkiem mięsa, innym razem z ogromnym, nie wiadomo skąd zdobytym karpem lub nawet z siateczką rzadkich w naszych okolicach gruzińskich mandarynek, mój drogi szwagier Szmul Bendawid, zarejestrowany teraz nie wiadomo dlaczego jako Samuel Dawidowicz Zwaskan. Być może było to z powodu owego patetycznego dążenia niegdysiejszych syberyjskich zesłańców z czasów carskich, by ich nazwiska brzmiały mniej po żydowsku, a możliwie bardziej rewolucyjnie po rosyjsku, dążenia, z powodu którego przemianowano Lejbę Bronsteina na Lwa Trockiego. A być może robiono to ze względów konspiracyjnych, co wszakże z trudem tłumaczy przeistoczenie mojego szwagra Bendawida w Dawidowicza, tak samo Weisa w Bielowa, Silbersteina w Sieriebrowa lub Mojsze Perlmana w Iwana Iwanowicza. Tutaj widocznie istnieje jakaś inna przyczyna, ale nie moją sprawą jest ją odnaleźć. Gdybyś mnie nie odwoził bez przerwy od opowiadania, to dodałbym, że były rabin przybywał często w towarzystwie Estery Katz, która zawsze z zażenowaniem przeproszała za niezapowiedzianą wizytę. Patrzyłem na nich z czułością – ci dwoje niemłodzi już ludzie oddali innym najlepsze lata swego życia i to, co najcenniejsze z siebie, z mesjanistyczną obsesją roztrwonili swą młodość na błakaniu się po nieprzebytych niebiańskich i ziemskich ostępach w poszukiwaniu wielkich prawd. Te prawdy zaś tak często okazują się, niestety, efemeryczną i złudną fatamorganą wody na pustyni lub fałszywymi złotymi monetami, które rdzewieją przy pierwszym zetknięciu z ziemią. Ale być może w tym jest jakaś opatrność boska – w poszukiwaniu, a nie w znajdowaniu – być może więc ich młodość nie została roztrwoniona, lecz hojnie zasiana na polu przyszłości, by przynieść bogate zniwo. Nie wiem. Obserwowałem ich i wydawało mi się, że ta dwójka poszukiwaczy prawdy, ona bez reszty poświęcona nowej religii, on próbujący z trudem pożenić starą religię z *Kapitałem*, nareszcie zbliżyli się do szczęścia – jeśli nie do powszechnego, to przynajmniej do małego, osobistego – i nie byli sobie obojętni, a może nawet zdarzyło się coś więcej. Nie było jednak dane zbliżającym się ku sobie duszom złączyć się w jedną, ale o tym dowiesz się później.

Pały się świece szabatowe. Siedzieliśmy wokół stołu i rozkoszowaliśmy się sobotnim pokojem, który jak Boże błogosławieństwo ścielił się nad radzieckim Kołodźcem, a gdzieś w oddali z gramofonu rozchodziła się po okolicy melodia piosenki o trzech czołgistach – trzech wesółych towarzyszach, załodze maszyny bojowej. Wówczas była to bardzo popularna piosenka. Ponieważ sprawy z Japończykami na Dalekim Wschodzie nie szły dobrze, w piosence opowiadano, jak to samuraje przekroczyli granicę na rzece oraz w jaki sposób załatwili ich na cacy. To zresztą jest istotna nić mojego opowiadania i do niej powrócę później, kiedy moja radziecka ojczyzna powoła mnie „pod sztandary”, wysyłając na święty bój z wymienionymi wyżej japońskimi samurajami.

Po mojej prawej stronie jak zawsze siedział wuj Chaimle, który dożywał swych ostatnich przed emeryturą lat pracy na stanowisku naczelnika komunalnego wydziału „Czystość” i odpowiadał za jedyną furmankę z koniem, która zbierała miejskie śmieci. Furmanem i równocześnie głównym śmieciarzem był nie całkiem normalny albinos Awrom Morgenroth. Wuj Chaimle powiedział:



– Usłyszałem nowy dowcip. Zapytano bankiera Nachuma Zismana, dlaczego już nie gra w pokera z hrabią Galickim, a ten odparł: „Czy wy chcielibyście grać w pokera z notorycznym oszustem!?”. „Nigdy!” – odpowiedzieli. „No właśnie. I hrabia Galicki też nie chce!”

Roześmieliśmy się, choć dowcip nie był nowy, ale nic nie mogło przeszkodzić Żydom w tym, by się pośmiać. Nie uśmiechnął się tylko nasz były rebe, który był jakoś zamyślony i zaniepokojony, jego duch błędził daleko stąd. Stryj Chaimle kontynuował:

– Powiedziałem to między innymi. Szmul, czyż nie mamy dziś szabat?

Były rabin wstrząsnął się, jego duch wrócił tam, gdzie było jego miejsce.

– Sądzę, że tak właśnie jest. Dlaczego? O tak, wiem, co masz na uwadze. Wskażcie mi, komu mam przekazać klucze, to je oddam.

– Jakie klucze? – zapytała moja matka.

– Klucze od bóżnicy – rozgniewany wyjaśnił wuj Chaimle. – Zamknął ją, a do tego wszystkiego założył jeszcze kłódkę.

– W środku są srebrne przedmioty, Chaim – tłumaczył się Bendawid.

– Nie chodzi o srebrne przedmioty, lecz o twoje złote usta, Szmul – spokojnie wtrącił mój ojciec. Widocznie ten temat był omawiany, zatem mimo woli stawaliśmy się świadkami spisku, który miał na celu sprowadzenie byłego rabina na łono Jahwe. – Chcemy tu i teraz usłyszeć: kto jutro odmówi modlitwę w *bejt kaniszta*?

Nasz były rabin milczał długo, rzucił spojrzenie na towarzyszkę Esterę Katz i w końcu rzekł cicho, ale zdecydowanie:

– Ja... nie. Może kto inny, ale nie ja. Nie mogę być waszym rabinem, to by było nieuczciwe.

– Tak, tak – złośliwie powiedział stryj Chaimle.

– A możesz być przewodniczącym Klubu Ateistów i to jest uczciwie, czy tak? A co ci szkodzi przyjąć równocześnie, jak to się mówi po radziecku, stanowisko rabina? Co ci przeszkadza, pytam?

– Względy moralne. Znajdźcie kogoś innego – nalegał Szmul Bendawid.

– Więc kto będzie prowadził nasze plemię przez pustynię? – ponuro zapytał wuj Chaimle i z jego ust powiało pustynnym wiatrem chamsinem.

– Nasi ludzie nie chcą kogokolwiek – powiedział ojciec – lecz ciebie, rebe, Szmula Bendawida! Ciebie i nikogo więcej, jeżeli rozumiesz, co się do ciebie mówi.

Bendawid oczywiście rozumiał, gdyż mówiono do niego w jidysz, ale cicho zaklął po rosyjsku, przy czym natychmiast, podobnie jak zbłąkana owca znajdująca swą zagrodę, powrócił do języka ojczystego.

– Coście się wszyscy na mnie uwzięli? I ty, Chaim, od kiedy to stałeś się takim chasydem, skoro ostatni raz byłeś w bóżnicy podczas obrzezania? Pustynia! Patrzenie go, antyradziecki Mojżesz! Ty ich przeprowadź przez pustynię, ty rozdziel Morze Czerwone!

– Głupstwa opowiadasz – spokojnie powiedziała Estera Katz.

Ale były rabin już złapał wiatr w żagle.

– Tak, ty idź, Chaimle! Ja nie chcę tracić czasu z powodu kilku pobożnych idiotów.

Estera Katz położyła dłoń na jego rękę.

– Nieładnie jest tak mówić!

Ja milczałem, ponieważ, uczciwie mówiąc, nie należałem do tych, których rozboli brzuch, jeśli nie pójdą w sobotę do bóżnicy. Ale nieoczekiwanie do boju, który porównałbym z teoretyczną dysputą pomiędzy zgorszonymi sadyceuszami i talmudycznymi pisarzami, włączył się mój syn Jezua. Widocznie uznał, że jest godny wziąć udział w takiej rozstrzygającej o losach kołodzieckiego żydostwa dyspacie, skoro już leciał radzieckim szybowcem. Powiedział więc:

– Stryj Szmul po stokroć ma rację. Czy słyszeliście o czymś takim jak „opium dla ludu”? Słyszeliście? Należy położyć kres tej chasydzkiej średniowiecznej tępocie!

Nastała cisza, po czym Sara cichutko powiedziała:

– Jeszua, wyjdź... Słyszysz? Powiedziałam, wyjdź!

Ale on nie wyszedł, wbił tylko oczy w talerz.

– A ten, który wierzy w Tego, Który Jest? A wierzy siedem razy, i siedem razy siedem? – spokojnie spytał ojciec, ale stopniowo podnosił głos, w którym słyszałem dalekie trąby jerychońskie, toteż poczułem gniew i siłę starożytnych praojców. – Ja na przykład, jeśli wierzę w jedyne i straszne Boga Żydów, Adonaja, czy jestem idiotą? Ciebie pytam, Szmulu! Lub średniowiecznym chasydzkim tępakiem? Pytam ciebie, Jeszua!

Nie uderzył piorun biblijny ani nie zapalił się krzew, ale nie wiem, skąd się wzięła taka siła w starczej ręce, że talerz z barszczem poleciał, rozbił się o białą ścianę naprzeciwko, a czerwona od buraczków zupa ściekła jak krew.

Popatrzyliśmy na siebie z Sarą, ona smutno i jakoś z poczuciem winy, jakby przeproszała za słowa brata.

Bendawid wstał i stłumionym głosem obwieścił:

– Przepraszam, przepraszam cię, Jakubie. Wszystkich. Nie wyraziłem się dobrze, rozumiem. Wybaczcie mi. Jutro przyjdę, otworzę bóżnicę i odmówię modlitwę. A ty, Icek, odczytasz ten fragment z Trzeciej Księgi Mojżeszowej, o posągach. Przepraszam.

Uklonił się z szacunkiem i wyszedł, a Icek, jeśli pamiętasz, to właśnie ja. Estera zmieszana powiedziała:

– Nie gniewajcie się na niego, proszę was...

### 3

Nasi ludzie z tryumfem, jakby wygrali małą wojnę, przybyli, nałożywszy obowiązkowe czapeczki jarmułki i zarzuciwszy białe szale zwane tałasami. Sobotnie nabożeństwo się odbyło. Rabin Bendawid wymamrotał pokrótce *Baruch ata Adonai elokejnu...*, bądź błogosławiony, jedyny Boże nasz.

Nie powiedziałbym, żeby bóżnica była przepełniona tak jak w czasach przedradzieckich – brakowało głównie młodych ludzi, a i dorośli nie zjawili się w komplecie. Niektórzy, myślę, nie przyszli z powodu przekonań lub po prostu nie odczuwali takiej duchowej potrzeby, ale nie wykluczam także ich nieobecności z bardziej pragmatycznych względów, na przykład naboru nowych członków do partii lub choćby z powodu najzwyczajszego strachu, co do którego mam szczególne zdanie, ponieważ w ostatnich czasach sporo się nim spekuluje. Nie powiedziałbym też, że władza radziecka przepadała za naszymi nabożeństwami i religijnymi obrzędami, a wręcz przeciwnie, ale czasy, kiedy na to patrzono złym okiem i głoszone zjadliwe obrazoburstwo, minęły, w każdym razie w Kołodźcu niczego takiego nie zauważyłem. Być może w Nowosybirsku lub na pustyni Kara-kum było inaczej, nie śmiem twierdzić, ale wiem, że kryjówką strachu jest ludzka dusza. Dlatego naprawdę gardzę tymi, którzy dziś mówią, że nie szli na spotkanie z Bogiem ze strachu. Gdybym był Bogiem – rozumiesz, podaję to tylko jako przykład i nie mam podobnych aspiracji – prędzej bym wybaczył poganinowi i pobłogosławiłbym temu, który nie ukrywa, że nie wierzy we mnie, aniżeli innemu, który ukrywa swą wiarę, boi się ją wyznawać i rozgląda się, czy nie ma innego oka, prócz oka opatrności. Albo przypomina sobie o mnie tylko od święta i szybko się wykupuje „na wszelki wypadek” grosikiem do chrześcijańskiej kościelnej skarbonki, świeczką lub pospiesznie wymamrotanym „amen” w bóżnicy, podczas gdy ukradkiem patrzy i się zastanawia, jakim to sposobem Menachem Rozenbaum zaopatrzył się w te nowe buty z elitarniej produkcji dla wybranych towarzyszy partyjnych, zrobionych w fabryce „Czerwony

Proletariusz”. Takich – wybacz mi ordynarne wyrażenie – tchórzliwych skunksów i religijnych obłudników wysłałbym do piekła, jeśli podobna instytucja w ogóle istnieje.

Odczuwasz zapewne w moich poglądach wpływ rabina Szmula Bendawida lub dostrzegasz, że bezpośrednio go cytuję, i tak dokładnie jest, gdyż to on nauczył mnie wątpić w wiarę, a wierzyć w wątpliwość. On nauczył mnie patrzeć na prawdy niebiańskie prosto w oczy i, jeśli Bóg zakłopotany nie spuszcza oczu, to znaczy, że obaj myślimy jednakowo, przynajmniej w danej sprawie. Co się tyczy prawd ziemskich, rebe niczego mnie nie nauczył, ponieważ sam uważał się za początkującego, który dopiero co wkuwa alfabet nowej i jeszcze nienapisanej Tory, z nową Mojżeszową Księgą Wyjścia, która będzie opowiadać, jak ludzkość przeszła przez męki dzisiejszej pustyni i dotarła nareszcie do Ziemi Obiecanej, błogosławionego Kanaanu przyszłości.

Trochę odbiegłem od tematu, ale jeśliś zapomniał, gdzie byliśmy, naprowadzę cię: znajdujemy się w bóżnicy w Kołodźcu koło Drohobycza, rebe Szmul Bendawid, lub, jeśli chcesz, Samuel Dawidowicz Zwasman, dopiero co odczytał, a ściślej odśpiewał i wymamrotał modlitwę, a teraz przyszła moja kolej. I tak, zgodnie ze wskazówkami zacząłem nizać słowa trzeciej księgi Mojżesza jak sznur ejlackich diamentów: „Nie uczynisz sobie posągu ani żadnego obrazu tego, co na niebie wysoko, i co na ziemi nisko. (...) Nie będziesz się im korzył, ani służył im; gdyż Ja Wiekuiesty, Bóg twój...”. I tak dalej, znasz to na pamięć. Czytałem z uczuciem, ale myśl moja ulatywała gdzie indziej. Dlaczego rebe wybrał właśnie ten rozdział? I o czym chciał napomknąć?

Teraz, kiedy piszę te słowa wiele, wiele lat później po tamtej sobocie w kołodzieckiej bóżnicy, to myślę, że wiem: jego bogami były Prawda i Służba ludziom, one go niepokoiły i zaciemniały przejrzystość wiary, jej prostą ludzką prawdę, która tak zlewała się z niebiańską, że obie stawały się jedną jedyną prawdą – niepokoiły go też posągi, o których czytałem w Torze. Mówiąc jaśniej, na nasz nowo połączony kraj radziecki spadła ulewa portretów Stalina i Lenina, głównie Stalina, popiersi i pomników Stalina i Lenina, znowu głównie Stalina, tablic z cytatami, niezliczonych popiersi i odlewów wodzów, *en face* bądź z profilu; bo czyż nie były to owe zakazane bożki i kamienie rzeźbione, o których jest mowa w Prawie i którym to właśnie nie powinniśmy byli się kłaniać? One to naśladowały kropka w kropkę Onego, chwala Jemu, który twierdzi na dość mętnych zasadach, że nie ma innego oprócz Niego. Jestem przekonany, że Bendawid był gotów wyrzec się wszystkich bogów, ziemskich i niebiańskich, by pozostawić swoje serce wolne dla Prawdy, która w rzeczywistości jest tylko jedna, a oprócz niej nie ma innej. A czy był w ogóle sens wyrzekać się jednych posągów, których uważasz za zużyte i niesprawiedliwe, żeby, będąc zapatrzonym w przeszłość przodków, uderzyć się w nos – dla innych, nowszych, co do których rebe Bendawid tak samo odczuwał męczące wątpliwości, ponieważ i z nich unosił się w powietrzu wyraźny zapach siarki.

Gdy nadszedł czas na szabatowe kazanie, rabin powiedział:

– Poszukiwałem Boga w tym domu, zwanym Bożym, i nie znalazłem Go, wy też nie szukajcie, ponieważ tam go nie ma. Poszukajcie Boga w waszych sercach, bracia, a jeśli Go tam odkryjecie, niech one staną się waszą bóżnicą, waszą świątynią, ołtarzem i tablicą przykazań. Jeśli bowiem Bóg jest miłością, to miejscem miłości są serca, a nie kamienie. A z czego jest ten budynek, jeśli nie z kamieni? I czym byłyby nasze serca, gdyby przestały być skarbnicą lub, nazwijmy ją po naszymu, Arką Przymierza miłości do człowieka, rozumiejąc przy tym nie miłość do jednego człowieka, a do wszystkich ludzi, różnego koloru skóry, rozmaitych plemion i języków, ze wszystkich lądów i mórz – od krajów wiecznego upału do krajów wiecznego mrozu – ponieważ jedynie wszyscy oni razem są Bogiem. I nie ma innego oprócz tego właśnie Boga. Bracia moi, czekają nas straszne wydarzenia, które spowodują moc okropnych cierpień; zdejmijcie spojrzenia z nieba, a spójrzcie na nogi, żebyście się nie potknęli o ziemskie męki bliźniego lub żebyście się nie zapadli w pierwszy wilczy dół

obojętności. Wielcy przodkowie zostawili nam w spadku niezliczone duchowe skarby Słowa, początek wszystkich początków, strzeżcie ich, szanujcie, ponieważ są niewidocznym spoiwem naszego rozproszonego plemienia, które ocalało przez wieki i tysiąclecia, podczas gdy inne plemiona powstawały, rozwijały się i na zawsze znikwały. Odnoście się z szacunkiem do cudzej wiary, ale nie bądźcie pokorni i posłuszni wobec własnej, dlatego że właśnie tego będą wymagać od was płatni kapłani wymyślonych bogów – niebiańskich i ziemskich. Oni to będą chcieli uczynić z was niewolników i posługaczy pańskich stołów, ślepców w mrokach niewiedzy i kłamstwa, a nie ludzi wolnych, zdążających w stronę światła, które jest wrogiem wszelkiej ciemnoty. Nasz wielki ojciec i prorok Mojżesz przyniósł z góry Synaj tablice, w nich kryje się otchłań mądrości i dlatego one stanowią Prawo – podporządkowujcie mu się, ale rozumnie, a nie jak bydłota, żebyście się nie stoczyli w tę otchłań, nie lękajcie się też złamać litery tego Prawa w imię jego ducha. Nie bądźcie posłusznymi jego wykonawcami, lecz zuchwałymi sędziami. I jeśli któryś z bliźnich posiada pałace, zbudowane z kamieni zagrabionych z waszych chat – wówczas, bracia, zażyczcie sobie pałaców bliźniego i zróbcie z nich wasz wspólny dom! A jeśli on uwiedzie wasze kobiety, nie przyjmujcie tego jak niewolnicy, ale wy też uwiedźcie jego kobiety! Amen i szabat szalom!

Doprawdy, jaka szkoda, że Karol Marks nie mógł usłyszeć tego talmudycznego komentarza do Ksiąg Mojżeszowych!

#### 4

Może wyda ci się dziwne, ale starcy nie szemrali przeciwko szabatowemu kazaniu rabina, nawet przeciwnie – rozeszli się zadowoleni, że bóżnica ponownie stała się *bejt haknesset*, czyli domem spotkań dobrych Żydów z Kołodźca. Widocznie nie chodziło im o sens kazania, ale, jakby powiedział wuj Chaimle, o samo kazanie jako takie, a to pozwala mi wyjaśnić sobie głośną aprobatę lub nawet entuzjazm, z jakim niektórzy słuchają przemówień posłów w swoich knesetach, nie wnikając w sens słów. W każdym razie Bendawid przepełniony współczuciem dla bliźnich zgodził się tymczasowo spełniać równocześnie funkcję cadyka, duchowego pasterza zarówno w bóżnicy, jak i w Klubie Ateistów – w pierwszym przypadku dla wierzących w Boga, a w drugim – dla wierzących w Marksa. I powiem, że znakomicie dawał sobie radę w skomplikowanej misji niesienia pomocy ślepym duchem, w nauczaniu ich, by nie stawali się bezwolnymi sługami niewolniczych uczt, w przeprowadzaniu ich przez gąszcz wątpliwości, nie dopuszczając, by żyli w zaślepieniu, pokazując, że zgięty łokieć, szczególnie gdy jest zakończony zaciśniętą groźnie pięścią, bez różnicy ludzki czy boski, jest całą prawdą o mleku.

Dawno już przebrzmiały październikowe uroczystości z okazji 23. rocznicy rewolucji i to, co z początku zdawało nam się nowe, nieobyczajne lub niepojęte, stopniowo zamieniało się w radziecką codzienność, w rzeczywistość, toteż i my dostosowywaliśmy się do niej i jej wymogów. W związku ze zbliżającym się świętem 1 Maja nawet został przekazany – czyli „spuszczony”, dosłownie tak się właśnie mówiło: „spuszczony” – nowy plan, według którego nasz zakład w artelu nr 6 i tak dalej, nie skręcajmy sobie języków tamtą abreviaturą, powinien zwiększyć wydajność pracy o 4,2%. Plany, żebyś wiedział, były „spuszczane”, a w tym było coś majestatycznego i tajemniczego, gdzieś z bardzo wysoka, z przestworzy nad chmurami, skąd jakieś niewidzialne bóstwo spuszczało je jak tablice na górze Synaj, teczki z procentami, terminami i obietnicami według zdolności, których spełnienie potem dostosowywano do potrzeb. Tak jak to się zresztą dzieje i z owymi starożytnymi tablicami z dziesięciorgiem przykazań, według których na przykład kradzież, jeśli jest szczególnie dużych rozmiarów, może zostać zakwalifikowana jako przekroczenie planu legalnych

zysków, a zabójstwo, jeśli jest większych rozmiarów, jako wypełnienie planu ochrony interesów narodowych. Długośmy z ojcem mędrkowali, ale w końcu niczego nie zdołaliśmy zrationalizować i zmienić oprócz zmiany pochodzenia igieł, które dotychczas importowane z Niemiec zostały zastąpione igłami rodzimej produkcji, troszeczkę zbyt grubymi, ale za to łatwo dającymi się przysposobić do potrzeb obronnych. Nawet nie wiem, czy udało nam się zwiększyć wydajność pracy o 4,2%, ponieważ nie mogliśmy ustalić przedrewolucyjnego stanu wyjściowego, ale otrzymaliśmy trójkątną chorągiewkę, która może i do dziś wisi gdzieś tam na ścianie, ze złotym napisem na czerwonym tle: WYRÓŻNIAJĄCY SIĘ W PIERWSZOMAJOWYM WSPÓŁZAWODNICTWIE. Z napisu na chorągiewce wynika, że braliśmy udział – ojciec i ja – we wzmiankowanym współzawodnictwie, chociaż nie było jasne, z kim dokładnie współzawodniczyliśmy i w jaki niepojęty dla mnie sposób się wyróżniliśmy, ale w tym, jeśli pojmujesz, było coś w rodzaju przyłączenia się zakładu krawieckiego do czegoś wielkiego, wspólnego i znaczącego, podczas gdy w starym kształcie zakład „Mode parisienne” był samotnym pyłkiem w krawieckiej galaktyce, igłą zagubioną w górze kaftanów, zakładzikiem w suterenie, gdzie jedynym godnym zauważenia wydarzeniem, które go łączyło z wielkim światem, było uszycie czerwonego munduru jakiemuś huzarowi z lejbgwardii Jego Wysokości – ojcowski mit porównywalny z *Odyseją*, *Kalewą* lub *Pieśnią o Nibelungach*.

I dokładnie na tym, można by rzec, świątecznym pierwszomajowym szczycie, odnotowanym trójkątną czerwoną chorągiewką, wydarzyło się nieszczęście: po Kołodźcu jak błyskawica rozeszła się nowina, że dziś rano został aresztowany przez organ NKWD, co oznacza Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych lub – po waszemu – policję polityczną, nasz współobywatel, uczestnik wojny rosyjsko-tureckiej, udekorowany honorowym odznaczeniem Poczty i Łączności, Abraham Mordechajewicz Apfelbaum, bardziej znany jako Awramczyk. Pierwszym, a być może jedynym zachwyconym tą wiadomością okazał się nasz katolicki ksiądz, który, jak już cię powiadomiłem, był zaklętym antysemitą i każde nieszczęście spadające na którąkolwiek żydowską głowę odbierał jako karę bożą i przejaw wyższej sprawiedliwości. Ale wkrótce co po osiągnięciu przez jego promienny uśmiech apogeum, a jeszcze zanim zaczął on chylić się ku perygeum, sam ksiądz został aresztowany, jak się mówiło, za współudział. Współudział w czym – nikt nie wiedział. A już następnego ranka został aresztowany i pan Wojtek, były policmajster, burmistrz i także były już naczelnik Urzędu Stanu Cywilnego i tak dalej. Ostatni przypadek był nieco bardziej zrozumiały. Kazus, można by rzec, rozprzestrzenił się szeptem, z ucha do ucha. A kazusem okazała się półlitrowa butelka wódki, którą obywatel Wojtek zaniósł po cichu w kieszeni, ponieważ w klubie „Październikowa Zorza”, w odróżnieniu od drobnoburżuazyjnych porządków, kiedy ten klub był kawiarnią Dawida Lejbowicza, zabroniona była konsumpcja alkoholu, a nasz Wojtek cichcem wlewał sobie z butelki do szklanki, że niby pił wodę. Ale nie za to NKWD go aresztowało – u nich pełno było nosicieli tarczy i miecza rewolucji, którzy zalewali się tym samym płynem w podobnych szklankach, robili to potajemnie, przy drzwiach zamkniętych i prawdopodobnie dlatego nazywano ich „bojownikami cichego frontu”. Nie, nie za to, ale dlatego, że po dwóch i pół szklanki, co jest dokładnie radzieckim standardem na półlitrową butelkę wódki, obywatel Wojtek oświadczył, że Stalin jest gównem, że sprzedał Polskę niemieckim łajnom za połowę wartości. Z punktu widzenia prawa z jednej strony tym twierdzeniem podrywał prestiż osoby urzędowej, a towarzyszył Stalin bez wątpliwości był właśnie taką osobą, z drugiej zaś obrażał państwo sąsiedzkie, z którym ZSRR utrzymywał stosunki dyplomatyczne i, można by rzec, przyjacielskie. Oznaczało to, według kołodzieckich znawców prawa, otrzymanie kary nie mniejszej niż publiczna nagana, a przy większej surowości władz – mandat do wysokości pięciu rubli. Co jednak mogła mieć wspólnego wpadka Wojtka z aresztowaniem Awramczyka i księdza, na razie nikt nie mógł powiedzieć. Pozostało uzbroić się w cierpliwość i poczekać do jutra, kiedy to obywatel Wojtek

niewątpliwie opuści areszt, po tym jak dostanie naganę lub zapłaci pięć rubli za nierozważne słowa wypowiedziane po pijanemu. Być może wtedy wyjaśni nam, jaki był związek między pijanym Polakiem, starym Żydem a katolickim księdzem – poza faktem, że wszyscy trzej byli lojalnymi obywatelami radzieckimi i mieszkańcami miasteczka Kołodziec koło Drohobycza. Nie wiadomo, kto rozpuścił jakąś inną pogłoskę, a mianowicie, że Awramczyk – gdy był jeszcze urzędnikiem poczty – otrzymał i bezprawnie zainkasował czek na sto tysięcy wysłany przez barona Rothschilda rodakom z Kołodźca, i po cichu gdzieś w dworcowych barach przepił te pieniądze razem z księdzem i naczelnikiem Urzędu Stanu Cywilnego, obywatelem Wojtkiem. Tylko nieliczni jednak uwierzyli w tę wersję, zmyśloną widocznie przez skrajnych wielbicieli barona, mieszając swe marzenia z surową, można by rzec, radziecką rzeczywistością. Pogłoska o barach dworcowych była jeszcze bardziej niewiarygodna, a to z takiego powodu, że w naszym kraju, aż po Truskawiec, każdy karczmarzki rachunek przewyższający dwa ruble – a wyjątkowo w przeddzień 1 Maja lub rocznicy rewolucji październikowej trzy ruble i pięćdziesiąt kopiejek – uiszczony przez jedną osobę za wieczór, wywoływał uzasadnione podejrzenia o nieczyste transakcje, nielegalne dochody lub fakt, że płatnik wyżej wymienionego rachunku jest kasjerem, a być może nawet szpiegiem, z jedną nogą w więzieniu.

Tak czy inaczej nie wiedzieliśmy, o jakie przewinienia chodzi, ale że władza działała szybko i zdecydowanie, nie było wątpliwości. Nawet opowiadają o przypadku, kiedy to w Berdyczowie Mendel zadzwonił z telefonu ulicznego.

– Halo, czy to NKWD?

Z drugiej strony odpowiedzieli mu:

– Tak, to jest NKWD. Słuchamy.

– Źle pracujecie! – powiedział Mendel i trzasnął słuchawką.

Po minucie zadzwonił z innego telefonu ulicznego.

– Halo, czy to NKWD?

Ktoś klepnął go po ramieniu i rzekł:

– Dokładnie tak, obywatelu Mendel, NKWD. Pracujemy tak, jak możemy.

Następnego dnia rankiem, ku naszemu zdziwieniu Wojtka jednak nie zwolniono, ani też nie było nic słyhać o pięciu rublach kary, które według dobrze poinformowanych z naszego zakładu krawieckiego miał nieuchronnie zapłacić. Całkiem zdezorientowany pobiegłem do bóżnicy, w której podwórzu znajdował się, jeśli pamiętasz, domek naszego rebege.

– Nie pytaj mnie, nic nie wiem! – Ponuro podniósł rękę Bendawid, zanim w ogóle go zapytałem.

– Dobrze – powiedziałem – nie będę pytać. Ale dlaczego aresztowali starego Awramczyka? Przecież on ma osiemdziesiąt lat.

– Po pierwsze, jednak mnie zapytałeś. A po drugie, jeśli ktoś został aresztowany, to za czyn przestępczy, a nie za wiek.

– Ty wierzysz, że Awramczyk jest zdolny do takiego czynu?

– Ja powiedziałem „ktoś”, a nie Awramczyk. I bądź łaskaw zrozumieć, co do ciebie mówię: nic nie wiem! Nie pytaj mnie, bo i tak jestem w podłym nastroju!

Milczeliśmy, rabin przesunął cukier w moją stronę i nalał herbatę. Wśród ciszy łyżeczki w porcelanowych filiżankach stuknęły jak dzwoneczki.

W pewnej chwili, przełknąwszy herbatę jakoś krzywo, zakrztusiłem się i, kaszląc, podniosłem zażawione oczy na rebege.

– Wprost nieprawdopodobne, by się wmieszał w taką kaszę. Przecież jest starcem...

– Osiemdziesięcioletnim – pomógł mi rebe.

– Moim zdaniem to jest jakieś wstrząsające nieporozumienie, nie ma innego wytłumaczenia. No dobrze, ale aresztowanych jest trzech!

– To oznacza trzy wstrząsające nieporozumienia – sucho rzekł rebe. – Dziś rano o szóstej Estera wyjechała pociągiem do Lwowa. Ona wyjaśni ten przypadek, jeśli i tam nie nastąpiła klęska wstrząsających nieporozumień.

Wówczas nie rozumiałem tego wszystkiego, ale kiedy towarzyszka z Centrum wróciła ze Lwowa, sama była jeszcze bardziej zdezorientowana ode mnie.

– Czy możliwy jest aż taki spisek? – powiedziała.

– Prerażające, we Lwowie zaczęły się masowe aresztowania, a uwięzieni zaczęli się przyznawać do winy. Nie uwierzycie, ale aresztowano, czy wiecie kogo?

– Wiem – powiedział rabin – Lowę Weismana. Zgadłem?

Nie zdziwiła ją nawet przenikliwość Bendawida, przyjęła ją jako coś naturalnego. Nie gorzej od rebego wiedziała, co w oczach prawowiernego bolszewika oznacza to ostatnie słowo w połączeniu z przedostatnim, niezależnie od złożonej samokrytyki i naciągniętej na ramię własnej skóry. Na podobne polityczne porywy, nawet jeżeli były w czasach dalekiej i naiwnej młodości, patrzono jak na wirus, który na długi czas został unieszkodliwiony lub nawet jest martwy, ale przy sprzyjających warunkach i odpowiedniej temperaturze otwiera jedną powiekę, najczęściej prawą, rozgląda się, a potem piorunem wybucha epidemia.

– Wykryty został duży trockistowsko-zinowiewowski spisek. Przygotowywano szkodliwe działania w czasie żniw. Ślady prowadzą do obcego państwa – referowała rzeczowo.

– Panie Boże! – wydałem okrzyk. – Awramczyk i żniwa! Awramczyk i trockistowsko-zinowiewowska grupa terrorystyczna!... Ksiądz i pan Wojtek... dobrze, rozumiem...

– Dlaczego „dobrze”? I co rozumiesz? – sucho spytał rebe i popatrzył na mnie ze zdumieniem.

– Chciałem powiedzieć – wymamrotałem – że ci dwaj, ksiądz i Wojtek, są Polakami. Obce ciało, można by rzec.

– A więc tak? – powiedział rebe. – Znaczy, że oni są obcym ciałem. Dla kogo obcym, jeśli mogę spytać? Ponieważ Awramczyk jest Żydem, dla kogoś i on może być obcym ciałem. Oj, oj, Icek, wstydę się!

Powiedzieć ci szczerze? Zawstydzilem się i ja.

## 5

Moje dzieci – ten entuzjasta śmigłowców Jeszua i spadochroniarka Zuzanna – przyjęły bez zastrzeżeń działania władzy radzieckiej i twardo, po komsomolsku ją wspierały w wyrwaniu z korzeniami... i tak dalej, nie będę ci zaprzętał głowy głupstwami. Ojciec z matką milczeli i tylko spoglądali raz na jedno, raz na drugie z rozmawiających przy stole Goldsztajna, ponieważ starzy tyle się znali na polityce, ile król Salomon na normach moralnych życia seksualnego. Wuj Chaimle był całkowicie po stronie władzy albo przynajmniej tak mówił – nie zapominaj, że był radzieckim urzędnikiem, a do emerytury zostało mu niewiele. Sara zaś milczała, a kiedy podnosiła wzrok na mnie, jej szarozielone oczy wyrażały smutek i niejasną trwogę.

Prawdopodobnie się zdziwisz, jeśli ci powiem, że jedynymi, którzy nie uwierzyli ani jednemu słowu, ani nawet jednemu przecinkowi z tego, co mówiono lub pisano w gazetach, okazali się wiekowi Żydzi, w dalszym ciągu zbierający się w zakładzie. Ci mądrzy naiwniacy, żeby tak powiedzieć, byli poza nawiasem i tak im bezgranicznie obcej mitologii, jak powiedzmy prawowierny syn Izraela, któremu próbujesz wpierać historię owego Jeszu, który niby zmartwychwstał, odsunął kamień z grobu i wzniósł się ku niebu. Oczywiście okazali się dostatecznie ostrożni, by nie komentować ani słowem, a wymowną wskazówką oceny

wydarzeń były jedynie wymieniane spojrzenia i ów pośpiech, z którym rzucali się na biednego Rothschilda jak sfora wygłodniałych wilków.

Pan Wojtek, ma się rozumieć, nie został zwolniony ani następnego dnia, ani następnego miesiąca, ale chwała Bogu, zaoszczędził swoje pięć rubli, ponieważ dostał piętnaście lat zsyłki na Syberię z odpowiednim pozbawieniem praw obywatelskich. Awramczyk i ksiądz, jako zwykli współuczestnicy, nie wiadomo czy i w czym, dostali lżejszą karę – zaledwie po pięć lat.

O nieszczęsnym Lowie Weismanie nie usłyszeliśmy niczego więcej – zniknął, rozpląnął się w powietrzu jak poranna mgiełka i wyparował.

Ja zaś do dziś jestem wciąż jeszcze pełen skruchy, jako że wówczas niepostrzeżenie stałem się sługą cudzego, niewolniczego stołu, jak mówił nasz rabin Bendawid, bo samym tylko dopuszczeniem możliwości, że aresztowani Polacy są winni, w ciemności swej duszy uległem podstępny, błędzącym ognikom, które prowadzą do ciepłego, wygodnego łoża współudziału. Współudział, także nieświadomiony, zawsze zaczyna się od przekonania, że ci, których najlepiej znasz, są niewinni i wszystko, co ich dotyczy, jest wynikiem nieporozumienia lub złośliwego donosu, podczas gdy inni... A jeśli chodzi o innych, szczególnie najdalszych i najbardziej nieznanymi, to sądzisz, że to właśnie oni są prawdziwymi szkodnikami i agentami obcych sił. Zresztą cokolwiek byś mi powiedział, nie ma dymu bez ognia... I czy nie uświadamiasz sobie, głupcze, że ten najbliższy, dla którego jesteś gotów przysiąc, iż jest niewinny, dla innych okazuje się nieznanym i właśnie on może być dla nich prawdziwym szkodnikiem? Czy nie domyślasz się, głupcze, że tak nakręca się mechanizm podejrzliwości w stosunku do innych, a innych w stosunku do ciebie?

Zarówno wtedy, jak i podczas kolejnej fali wykrytych przestępstw i procesów nie mogłem zrozumieć, nigdy później nie zrozumiałem i nigdy nie zrozumieć ukrytego sensu, tajemniczego i niepojętego celu tej irracjonalnej, szalonej, powiedziałbym mistycznej pasji zbiorowego samounicestwienia, tego wszechogarniającego i krwiożerczego Molocha, do ognistej i nienasyconej paszczy którego wchodziły pokorne tłumy, czasami jakby spowite dymem tajemniczych szamańskich ziół – wchodziłi zwartymi szeregami, gdzieniegdzie nawet śpiewając pochwalne psalmy, fala za falą, dużymi kęsami złożonymi z dziesiątków tysięcy osób, a każdy z osobna – ofiarny baranek na ołtarzu przyszłości.

Było też, rzecz oczywista, dużo takich, którzy się szarpali, nie przyznawali do winy, przeklinali, zaklinali się bądź szlochali tchórzliwie, lub też chcieli pisać i zawiadomić nic nie podejrzewającego, jak sobie wyobrażali, Stalina, by opowiedzieć mu, co się dzieje za jego plecami, ale kolejka tych za nimi równym krokiem wpychała ich w ognistą paszczę. I ci zatem, których misja polegała na popychaniu innych do przodu, wiedzieli już, ulegli i opętani jak średniowieczni biczownicy – owi ogarnięci przez demony katolicycy fanatycy, którzy samobiczowali się do krwi – że oni sami z kolei zostaną popchnięci przez tych za nimi. A być może w każdym tliła się jakaś iskierka nadziei, że właśnie jego ominie ów kielich goryczy. Być może, nie wiem.

Przypominam ci, że wiele tych moich uczuć i rozważań przyszło o wiele później, kiedy dużo przeżyłem i dowiedziałem się o rzeczach, o których wówczas ani jeszcze nie wiedziałem, ani nie mogłem wiedzieć, ale niech ci powtórzę, że czas kładzie swe przezroczyste warstwy jedna na drugą, a przez uzyskane w ten sposób szkło powiększające lepiej widzisz prawdę o starych iluzjach lub, znów powtarzam, gromadzisz nowe.

Gazety i radio donosiły falami o wykrytych spiskach, o pełnych i szczerych przyznaniach się do winy, o procesach, wiecach i zaklęciach, które niezauważalnie oplatały nas jak lepka i trująca pajęczyna. Powiedziałem „radio” z przyzwyczajenia – podobnego sprzętu ludzie w Kołodźcu nie posiadali, u nas były „megafony” – ścięte stożki z czarnego kartonu, powieszzone gdzieś na ścianie, z których dna wydobywały się wiadomości, muzyka, przemówienia, artykuły i komentarze. Nie możesz ani uciec, ani wybrać innej stacji – na



odwrót, ta jedna wybierała ciebie na ofiarę i prześladowała, chwytła za tyłek, gdziekolwiek byś się schował – w sypialni pod łóżkiem, w kuchni, a nawet na ulicy, gdzie te same stożki, ale już metalowe, wisiały na słupach, nad wejściami domów i na dachach. O ile dobrze sobie przypominam, tylko w publicznych wucetach nie było podobnych czarnych tub. Ocenialiśmy to, i jest w tym cząstka prawdy, jako wielką i przy tym bezpłatną zdobycz, znacznie większą aniżeli gramofony wuja Chaima, ale z nich – mam na uwadze te tuby – wypływała i zalewała nas falami nie tylko muzyka Czajkowskiego i Prokofiewa, nie tylko *Trzy siostry* Czechowa lub wiersze cenionego przeze mnie Majakowskiego, ale także informacje o wykrytych spiskach, o wiecach i rezolucjach, procesach i wyrokach, szczerych wyznaniach winy i skruchy, a wszystko to związane z trockistowsko-zinowiewowskimi zdrajcami oraz wszelki mi innymi grupami szkodników i dywersantów. Bezustannie czytano rezolucje kolektywów robotniczych i jednostek wojskowych do towarzysza Stalina, w których wyrażali niezłomną wolę całego narodu radzieckiego, podkreślam: całego – z czego logicznie wynika, że także moją i mojej rodziny, łącznie z moją matką Rebeką i moim ojcem Jakubem Blumenfeldem – aby przetrwać kręgosłup imperialistycznym spiskowcom. Czy mam dodać owych zagranicznych pisarzy i dziennikarzy? Wśród nich znaj dowali się rzeczywiście wybitni i zasługujący na szacunek ludzie, których zapraszano na procesy, żyli na rachunek państwa radzieckiego w hotelu „Metropol” i obżerali się czarnym astrahańskim kawiozem, a potem pisali – niektórzy z nich być może naiwnie dali się wprowadzić w błąd – o znakomitym oskarżycielu Andrieju Wyszynskim i szczerym przyznawaniu się oskarżonych. Pozwolisz, że nie wspomnę w charakterze przykładu, o dowodach i nazwiskach oskarżonych, żeby nie skazywać ich, ich następców bądź wielbicieli na przeżywanie żalu i wstydu, podobne do tego, które wciąż nie daje spokoju moim samotnym nocom.

A teraz znów pytam cię, ponieważ nie mam odpowiedzi na moje pytanie: Jaki w istocie był cel, ukryty sens lub nawet, jeśli chcesz, zwykła korzyść z tego wszystkiego? Może był to gigantyczny eksperyment Tego, Który Jest, na nas, mrówkach zamieszkujących Ziemię i naiwnie uważających się za panów swego bytu i losu. A czyż dane jest mrówce wnikać w sens i cele Bożych eksperymentów? Chociaż, szczerze mówiąc, jeśli wszystko to bawiło Go, osobiście wziąłbym udział w wybijaniu Mu okien!

Ale popełnisz błąd, jeśli pospiesznie odpowiesz na moje pytanie ogólnikami lub jeśli nie zauważyłeś bądź nie chciałeś zauważyć, że obok tego świata strachu, bezprawia i ponurej niepewności istniał inny, równoległy świat, który to powoduje moje zmieszanie i być może powodował konfuzję u zagranicznych pisarzy i dziennikarzy z hotelu „Metropol”. W tym drugim świecie z oddaniem i najwyższym poświęceniem wybitni naukowcy pracowali nad unikatowymi odkryciami, dzieci uczęszczały do szkół, młodzież studiowała na uniwersytetach, powstawały znakomite książki i śpiewano szczere pieśni, rodzili się światowej sławy matematycy i poeci, przenikano do głębi wszechświata i jądra atomu, w nim działał Moskiewski Teatr Artystyczny, Teatr Bolszoj i Galina Ulanowa, po bilety na koncerty stano w kolejkach długich na pięć przecznic; istniał Ermitaż, był Szołochow, byli też niezwykłeni szachiści, Papanin stanął na biegunie, Czkałow przeleciał ocean, Eisenstein rozpoczął nową erę kina, ZSSR był najwięcej czytającym i najbardziej młodzieżowym krajem na świecie. Coś z tego można było osiągnąć, stosując przemoc, nie przeczę, ale najważniejsze, wielka sztuka wymagała wolnego ducha – ponieważ niewolnicy nie byłiby zdolni do stworzenia takich arcydzieł. I znowu popełnisz błąd, jeśli uwierzysz ówczesnej antyradzieckiej prasie, że cały naród przeklinał Stalina: w dniach i latach, które wkrótce miały nadejść, ludzie rzucali się do boju i umierali z jego imieniem na ustach – oby imię jego było siedem razy przekłete i siedem razy siedem. Nawet ci, których rozstrzelowano na jego rozkaz, ostatnie słowo wypowiadali ku jego sławie. Czy było to zbiorowe szaleństwo, nie wiem, ale tak było. Tak było, to mówię ja, Izaak Jakub Blumenfeld, przyszedł ZEK 003-476 W kołymskiego obozu koncentracyjnego w północno-wschodniej Syberii, jeśli więc masz

odpowiedź na tę największą zagadkę, która, uwierz mi, będzie rozdzierać ludzkie sumienie jeszcze sto i dwa lata, i jeśli wiesz naprawdę, jak wygląda mleko, napisz mi o tym, a będę ci wdzięczny!

## 6

Węzeł wątpliwości w sprawiedliwość lub niesprawiedliwość tego wszystkiego, co działo się wokół nas i z powodu czego zadreślałem się pytaniami, na które nie było odpowiedzi, został przecięty jednym jedynym ciosem: wczesnym rankiem po trzech schodkach do zakładu zszedł rebe Bendawid, blade jak niedopieczony praśny chleb, z drżącymi wargami opadł na krzesło, ale długo nie mógł wydobyć z siebie słowa.

Cicho spytałem:

– Esterę także?

Kiwnął twierdząco głową.

– Co teraz? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

Mój ojciec oderwał wzrok od ilustrowanego pisma radzieckiego „Ogoniok”, które tylko przekartkował, ponieważ z trudem czytał po rosyjsku, chociaż jak większość ludzi z naszej miejscowości jakoś mówił, i spojrzął znad grubych szkieł okularów.

– Co jest, Szmul?

– Nic, nic – powiedział rebe.

Ojciec niedośłyszał, ale zrozumiał, że sprawa go nie dotyczy, ponownie więc zagłębił się w oglądaniu obrazków.

– Co teraz?

– Nie wiem.

– Znaczy – powiedziałem – wszystko jest wielkim złudzeniem, pogonią za wiatrem, niczym i cieniem niczego.

Rebe popatrzył na mnie ociężałymi, zaczerwienionymi z niewyspania oczami.

– „Widziałem wszystkie sprawy, które się dzieją pod słońcem, a wszystko to jest marnością i gonitwą za wiatrem... I postanowiłem szczerze poznać mądrość i wiedzę, szaleństwo i głupotę; lecz poznałem, że i to jest gonitwą za wiatrem...” Myśl, którą chciałeś wyrazić, Icek, uchwycił przed tobą inny nasz współplemieniec, żałuję, bo wyprzedził cię o kilka tysięcy lat. Ale on dopowiedział jeszcze: „Kto zważa na wiatr, nigdy nie będzie sią; a kto patrzy na chmury, nie będzie żał”.

– I ty, mimo wszystko, wciąż jeszcze wierzysz, że to, co zasiewała towarzyszka Katz, było dobre? Skoro wiesz, co ona teraz zbiera?

Mój Boże, pierwszy raz przy nim nazwałem bez ironii Esterę Katz „towarzyszką”, stało się to spontanicznie, jak krzyk rozpacz, a może przez to chciałem przybliżyć się do mojego dobrego rabina, dać mu do zrozumienia, że nie jestem obojętny na jego ból, a może chciałem wyrazić współczucie i swój stosunek do małej i kruchej, choć ostrzyżonej po męsku kobiety całkowicie oddanej jednej sprawie, mającej pełne zaufanie do kraju, który stał się naszą ojczyzną i który teraz odplącał się jej tak niesprawiedliwie.

– Nie wierzę w przemoc, nawet w imię szlachetnych celów. Tak jak nie wierzę, że z kukułczego jajka zniesionego w cudzym gnieździe wykluje się coś innego oprócz kukułki. Z tyranii wykluwają się tyranie, z dyktatury, nawet w rewolucyjnym gnieździe wykluwają się dyktatorzy. Tak myślę, niech mi wybaczy ten nasz brodaty chłopak, który uwierzył, że dyktatura w imię sprawiedliwości i braterstwa zrodzi sprawiedliwość i braterstwo – powiedział rebe Bendawid, nie odpowiadając na moje pytanie.

Tego samego wieczoru rabin odwołał swój odczyt w Klubie Ateistów na temat „Religia a nauka Darwina” i poszedł do bóżnicy, gdzie nikt go nie oczekiwał, i tam wygłosił swoje kazanie.

– W czasie Wyjścia, kiedy nasz wielki patriarcha Mojżesz wyprowadzał nasze plemię z niewolniczej ziemi faraonów, łudzili się nasi bracia, oczekując, że za żywiołem morza, które pochłonęło wrogie rydwany, znajdują się zielone pastwiska Kanaanu, jego wartkie potoki oraz winnice z ciężkimi kiściami winogron. Oni byli szaleńcami, gdyż wierzyli, że przejście przez morze jest końcem ich udręki. A to był zaledwie początek. Byli szaleńcami, ponieważ nie dostrzegli, że Ziemia Obiecana, to nie darowana, lecz zasłużona w przyszłości ziemia, i że dotrze się do niej dopiero po długiej, bezkresnej drodze przez pustynię, po męczarniach i ciężkich doświadczeniach, po wielu meandrach i cierpieniach. Wiecie, bracia, z wielkich Ksiąg Mojżeszowych, jak słabi duchem, chciwi szybkich i łatwych owoców, w rozpacz i gniewie porzucili swego Boga i przewodnika przez pustynię, jak powrócili do wierzeń pogańskich i znów zaczęli się kłaniać „złotym cielcom” ze swej niewolniczej przeszłości. Starajmy się ich zrozumieć, nie przeklinając i nie wyśmiewając. Zostawmy dla nich przy stole wolne miejsce, chleb i wino, bo nie nam, nie nam jest dane ich sądzić. Droga, bracia moi, jest ciężka, a trwać będzie nie rok lub dwa, nie przez jedno lub dwa pokolenia. niesprawiedliwe, a nawet okrutne będą doświadczenia na tej drodze. Nasze niewolnicze dusze nie są jeszcze bowiem gotowe, wyzwolone z niewoli faraonowego omamienia, i nie przyjęliśmy prawdziwości owej drogi, która sama w sobie jest celem i wiarą w cel! A ci, którzy utracili tę wiarę, którzy ją zagubili, tak jak niepostrzeżenie gubią się drobne koraliki bagdadzkie z zerwanego naszyjnika, utracą tak siłę, jak i wolę, by iść naprzód. Zatem wkrótce, pozostawszy bez kierunku i celu, zmęczeni bezsensownym błędzeniem postawią swe czarne, beduińskie namioty, by pozostać na zawsze niewolnikami pustyni – pomiędzy przeszłością i przyszłością. A suche wiatry nasypią w ich dusze piasku, w którym bieleć będą kości martwych ideałów. Kanaan, bracia, jest daleko, bardzo daleko, toteż pomódlmy się za tych, którzy teraz nie są z nami i cierpią na swej trudnej drodze. Z dwóch garści lejmy w nich nadzieję jak wodę źródlaną, niech piją. I tymi mokrymi dłońmi pogłaszczmy ich udręczone twarze i dotknijmy ustami ich czoła jako na znak błogosławieństwa, wierności, współcierpienia. Niech i oni, jak my, bracia, nie tracą swej wiary, że Kanaan tam jest, że Kanaan istnieje! Idźcie w pokoju i szabat szalom wszystkim. Amen!

Myślę, że nikt poza mną nie zrozumiał, że to kazanie było także modlitwą za Esterę Katz. A być może wielkim samooszukiwaniem się, mirażem na pustyni, nie wiem.

## 7

Był środek czerwca, gorący i suchy, zboża wokół Kołodźca wypełniały się złotem, a wiatr kołysał je ciężkimi falami. Sara dostała bólów krzyża i to nie pierwszy raz, jej nerki też nie były w porządku, toteż ja zdecydowanie, nawet ze złością sprzeciwiałem się jej pokornej gotowości, by znieść swe cierpienie milcząco; żeby było komu opiekować się rodzicami, gotować dzieciom i podlewać georginie w ogrodzie.

W rejonowym szpitalu w Drohobyczu napisali, że obywatelka Sara Dawidowna Blumenfeld wymaga leczenia sanatoryjnego, i dali jej skierowanie do jakichś źródeł mineralnych gdzieś na północy, w kierunku Równego. Nie chciała jechać, skrzepowana tym, że rzadko opuszczała Kołodziec. Serce miała ściśnięte złymi przecuciami, a ja, głupiec, złościłem się i nalegałem, by koniecznie jechała. W końcu Sara zgodziła się, choć niechętnie, ponieważ dzieci zaproponowały, że ją odwiozą. Był, jak powiedziałem, środek czerwca, a w naszych stronach wakacje szkolne zaczynały się wcześniej – z powodu żniw i podobnych

względów – dlatego Szura i Zuzanna podjęli się zawiezienia jej do sanatorium. Pomylił się, jeśli sądzisz, że czynili to całkiem bezinteresownie. Chociaż kochali swą matkę, ich plan przewidywał w drodze powrotnej wizytę u cioci Klary i jej męża Sabetaja Krańca, żeby zaznać nieco wielkowiejskiego żyda we Lwowie, z jego teatrami i salami koncertowymi. Przypominasz sobie, że mój szwagier, pomocnik aptekarza, był jako taki niekwestionowanym autorytetem w rodzinie, jeśli chodzi o wszelkie problemy ludzkiego zdrowia i medycyny. Podobnie jak sławni i drodzy lekarze żydowscy, którzy, jeśli mieszkają w Austrii, przepisują lekarstwa, do których wykupienia musisz zaciągnąć pożyczkę, oddając pod hipotekę odziedziczony po babci majątek, łącznie z jej ślubnym pierścieniem; jeśli zaś mieszkają w Rosji, to polecają ci nalewkę z irlandzkiego mchu, byś odwiedziwszy wszystkie apteki w okolicy, dowiedział się, że takie lekarstwo ostatni raz przywieziono za panowania cara Mikołaja II i że nie jest ono niczym więcej aniżeli sentymentalnym wspomnieniem minionych czasów. I podobnie, chcę powiedzieć, jak tamci nasz domowy farmaceuta Sabetaj Kranc gorąco polecał zastąpienie kąpieli mineralnych i tym podobnych bzdur sokiem ze świeżych cytryn, których już dawno nie widzieliśmy w Kołodźcu, zmieszany z oliwą z greckich oliwek. Jedyną dostępną częścią składową tego niewątpliwie cudotwórczego leku był radziecki atlas geograficzny z najdokładniejszym wskazaniem, gdzie leży Grecja. Ten fakt w dużym stopniu przechylił szalę na stronę sanatoryjnego leczenia wodą mineralną.

Na dworcu oczy Sary wypełniły się łzami i oboje naszych komsomolców przytuliło uprzejmie swoje twarze do jej głowy w oknie wagonu i z nieukrywanym samopoczuciem młodej gwardii ludu pracującego głąskało ją, tłumacząc, że już niedługo noga ludzka stanie na Księżycu, podczas gdy Równe jest znacznie bliżej. Ja zaś, stojąc na peronie, niby z zamiarem rozładowania atmosfery, opowiedziałem pewien straszliwie stary kawał o Róży Szwarz, która wyjeżdżała z dziećmi do wód mineralnych, a jej mąż Salomon Szwarz, odprowadziwszy ich na dworzec, powiedział:

– Jeśli zaczną padać deszcze, wracajcie natychmiast!

– Dlaczego mamy wracać? – odezwała się Róża Szwarz. – Jeśli zaczną padać tam, będzie padało i tutaj.

– Tak, ale tutaj deszcze są tańsze!

Dzieci spojrzały na siebie, Sara ledwo się uśmiechnęła: mój żart widocznie przeleciał im koło uszu i rozmazał się na przeciwległej ścianie przedziału.

Minęły trzy minuty – tyle trwał postój pospiesznego do Lwowa – i pociąg bezszelestnie ruszył. Ja im pomachałem, oni pomachali mnie, spojrzeliśmy z Sarą na siebie i w jej szarzielonych oczach wyczytałem głęboki, niczym niedający się wytłumaczyć niepokój.

## 8

Było to, powtarzam, około połowy czerwca, kilka dni później dwudziestu trzech mężczyzn z Kołodźca otrzymało wezwania, by stawić się „pod sztandary”. Pokazałem moje wezwanie rebemu, on zaś z kolei pokazał mi swoje, gorzko się uśmiechając, ponieważ austro-węgierska i polska historia się powtarzała. Nasze losy były ze sobą powiązane. Rebe, ma się rozumieć, nie był powołany ani jako rabin, ani nawet jako prezes Klubu Ateistów, lecz jako zwykły szeregowiec radzieckiej piechoty, która, jak wiesz, jest królową boju. A dokąd dokładnie skierują jej wysokość i do jakiego boju, wyjaśnił mi przenikliwy w rozwiązywaniu podobnych wojennych i innych tajemnic bytu rebe Bendawid.

– Bez wątpliwości ze Lwowa skierują nas na Daleki Wschód. Niegrzeczni Japończycy znów rozrabiają przy naszej granicy.

– A gdzie dokładnie, żebym mógł napisać Sarze? – zapytałem idiotycznie.

– Słyszałeś kiedyś walca *Na wzgórzach Mandżurii*? – ponuro spytał rebe. – Tam gdzieś. Jest taka płyta gramofonowa, możesz ją wysłać mojej siostrze.

Może ci się wydać dziwne, ale ja odczuwałem wzruszenie, można nawet powiedzieć, że swego rodzaju patetyczny wzlot: Mój Boże, Mandżuria, na drugim końcu świata! W moich uszach dźwięczały trąby bojowe i bębny epoki, do nich dołączyły potężne bas-barytony kazachskiego chóru prawosławnego, który wykonywał cerkiewną interpretację *Międzynarodówki* – ówczesnego hymnu mojej ojczyzny.

Ma się rozumieć, nie wysłałem Sarze dokładnego adresu ani nie wskazałem konkretnego wzgórza – z jednej bowiem strony nie zostało nam to oficjalnie powiedziane, z drugiej zaś nie byłem wczorajszy, przez moją głowę, jeśli pamiętasz, przeszły nie jedno i nie dwa wojenne doświadczenia, dobrze więc wiedziałem, co to takiego tajemnica wojskowa. Sarze napisałem tylko, że to prawdopodobnie będą rutynowe manewry, a w najgorszym wypadku drobne pograniczne incydenty, które wiadomo, jak się skończą – zmiżdżeniem Japończyków jednym uderzeniem, tak jak zabicie syberyjskiego komara, który usiadł na twojej szyi. Przynajmniej tak rzeczy wyglądały na filmie. Napisałem jej jeszcze, żeby się nie martwiła i spokojnie piła wodę mineralną, bo zanim miną wyznaczone jej trzy tygodnie, nie jest wykluczone, że i my już wrócimy do Kołodźca, udekorowani samurajskimi trofeami i girlandami z mandżurskich kwiatów. W liście napisałem jeszcze, że nie wykluczam także takiej możliwości, iż japońscy proletariusze dobrowolnie przejdą na naszą stronę, odmawiając wędki przeciwko robotniczo-chłopskiemu Związkowi Radzieckiemu. Wtedy nie jest też wykluczone, że niektórzy z nich zechcą przybyć z nami do Kołodźca i zamieszkać na zawsze ze swoimi żydowskimi, klasowymi braćmi. W ostatnim zdaniu, oczywiście, próbowałem zażartować: mam nadzieję że pamiętasz, jak jeszcze od najmłodszych lat lubiłem udawać głupiego, a to zawsze dostarczało tyle przyjemności Sarze, która podczas moich błazeńskich występów łagodnie i z miłością uśmiechała się i pukała w głowę.

22 czerwca 1941 roku, dokładnie o szóstej zero pięć, staliśmy na dworcu w oczekiwaniu na pociąg osobowy do Lwowa. „Dworzec”, szczerze mówiąc, jest nieco pretensjonalnym określeniem dla tego białego budynekczku z napisem „Stacja Kołodziec” otoczonym rozkołysanymi, złotymi łańcuchami zbóż, gdzie ciemny pas wikliny podkreślał kapryśną marszrutę naszej kołodzieckiej rzeczki. Zakurzona, polna droga prowadziła przez niwy i sady, stąd można było w oddali zobaczyć spiczastą dzwonicę kościoła katolickiego. Jeślibyś miał jakieś pytania co do miejsca Kołodźca w światowej sieci kolejowej, to powiem ci, że nasze miasteczko rodzinne nie było Paryżem, dlatego pociągi stąd z reguły odjeżdżały, jeszcze zanim się zatrzymały. A jednak potrafiłszy go przechytryć, wrzucając bagaż, a zaraz za bagażem i samych siebie, przez okna, dlatego zanim maszynista się zorientował, że to stacja Kołodziec, najszybsi z nas, rozsiadłszy się wygodnie w przedziale, otwierali już butelkę z bimbrem.

I tak pociąg osobowy należący do tych, o których się mówi, że zatrzymują się po trzy sekundy przy każdym grajdołku, stukał leniwie w cichym, słonecznym poranku między zbożem z rozrzuconymi tu i tam jaskrawoczerwonymi wysepkami rozkwitłych maków. Przeszedł konduktor, a że tych dwudziestu trzech bohaterów bojowników przeciwko japońskiemu militarystom, którzy w ułamku sekundy zaatakowali i zdobyli pociąg, nie posiadało biletów, toteż z nieukrywaną dumą powołanych „pod sztandary” niedbale pokazywali oni wezwania. Za bilety służyły nam te małe kartki mobilizacyjne z drukowanym tekstem i wielokropkami, odręcznie wypełnione fioletowym atramentem, które oprócz skierowania do Lwowa zawierały instrukcje zabrania ze sobą zapasowego kompletu bielizny, skarpetek, szczoteczki do zębów i innych przedmiotów codziennego użytku na okres prawdopodobnie krótkotrwałej, ale zwycięskiej wojny, którą w komunikatach zwykle określano jako pograniczny incydent. I tak, najpierw Lwów, a potem długa, bezpłatna i najważniejsza – przyjemna podróż. Z tego powodu przypominałem sobie o Mendlu, który też

postanowił wybrać się w podróż i pojechać z wizytą do Odessy przy okazji Rosz Haszany. Jest to takie żydowskie święto. Ponieważ nie miał prawa podróżować jak my, bezpłatnie, ustawił się w ogonku przed kasą biletową na stacji w Berdyczowie. Kiedy przyszła jego kolej, najprzejmiej poinformował się u towarzyszkę kasjerki, ile kosztuje jeden bilet drugiej klasy do Odessy. Dziewczyna odpowiedziała: „Siedemnaście rubli”. Wówczas Mendel wepchnął głowę w półokrągłe okienko i dyskretnie zapytał: „A co towarzyszka powie na dwanaście rubli?”. Rozgniewana kasjerka odparła: „To nie jest miejsce na żydowskie targi. Siedemnaście rubli i ani kopiejki mniej! Proszę zwolnić okienko, ludzie czekają w kolejce!”. Mendel niedbale zagwizdał i ponownie stanął na końcu ogonka, a kiedy przyszła jego kolej, znów wepchnął głowę do okienka: „Po raz ostatni, piętnaście rubli, towarzyszko?”. Kasjerka rozłościła się nie na żarty: „Proszę natychmiast odejść, czy towarzysz słyszy?”. On ponownie zajął miejsce w kolejce, ale w tym czasie pociąg do Odessy zagwizdał i ruszył. Wówczas Mendel pochylił się nad otworem i z zabójczą złością zapytał: „A teraz kto stracił piętnaście rubli, droga towarzyszko?”.

Możliwe, że była ósma rano, kiedy do pociągu wtargnął nowy wesoły tłum powołanych z okolicznych wsi, udających się do różnych jednostek wojskowych, końcowym celem jednak była daleka Mandżuria lub gdzieś tam, a wraz z nowymi wlał się potok informacji o wydarzeniach w owych miejscach. Doniosę ci od razu, że nasz rebe, inaczej niż zazwyczaj, był ponury i zamknięty w sobie, a jego życzliwość i gotowość włączenia się do każdej rozmowy – cecha tak bardzo żydowska, jak gotowość udzielania rad we wszystkich sprawach, o czym już ci opowiadałem – ulotniła się. Milczący patrzył na zewnątrz, a ja wiedziałem, że duchem jest nie tu, lecz towarzyszy Esterze Katz w jej samotnej i strasznej drodze „przez pustynię”. Nowo przybyli żywo zaś opowiadali o walkach nad rzeką Chałchyn-Goł i jeziorem Chasan, że wprost zgniatiliśmy tam samurajów, a dokonały tego nasze straszne czołgi T-34, a gdyby nie zdrada marszałków Tuchaczewskiego i Blüchera, to już dawno suszylibyśmy onuce pod kwitnącymi wiśniami u stóp Fudzi-jamy.

I dokładnie w tym miejscu mojej opowieści przypomnę ci o Mahomecie, który skoro nie przyszedł do Fudzi-jamy, to Fudzi-jama przyszła do niego, zdaje się w oryginale nie było dokładnie tak, ale za chwilę zrozumiesz, o co mi chodzi. Dlatego że nagle, z ogłuszającym rykiem nad nami przeleciały samoloty i po chwili dookoła spadł dywan bomb. Pociąg zatrzymał się, wokół płonęły zboża, ktoś grzmiał:

– Wychodzić z wagonów, paść do rowu! Do cholery, wyskakiwać szybko przez okna!

Chwała Bogu, dawno przyswoiliśmy sobie typową rosyjską sztukę wykorzystywania okien pociągu jako arterii wejściowo-wyjściowych, ponieważ chwilę później, podczas drugiej fali nalotu kilka wagonów rozleciało się na kawałki. Wydawało się wprost nieprawdopodobne, że Japończycy tak szybko dotarli aż do Drohobycza, na drugi koniec naszego wielkiego kraju, a my nic a nic o tym nie słyszeliśmy. Teraz wiem, że część winy za nieco spóźnione informacje ponosiły owe ścięte czarne stożki, zwane „megafonami”, które dość często głośno głośno wiadomości ze świata o kilka godzin, czasem nawet o kilka dni lub kilka miesięcy później, jeśli w ogóle je wygłaszały.

Teraz co ci mam opowiadać, bratku, jesteś domyślny i zapewne znacznie wcześniej zrozumiałeś już, o czym jest mowa i co wysypało się nad naszymi głowami. Wiesz, że dokładnie w tej godzinie, kiedy wagony pociągu, rozleciawszy się na części składowe, latały w powietrzu, Mołotow ogłaszał wiarołomne wtargnięcie niemiecko-faszystowskich wojsk i wzywał naród radziecki do świętej wojny. O tym, oczywiście, nie mogliśmy ani wiedzieć, ani słyszeć wśród płonących zbóż i gęstych obłoków dymu. Zaledwie kilka godzin później stało się ostatecznie jasne, że przeciwnik nie przekroczył rzeki Chałchyn-Goł na Dalekim Wschodzie, lecz rzekę Bug na drugim geograficznie końcu. Z tej samej przyczyny walca *Na wzgórzach Mandżurii* wyraźnie zastępowało zaproszenie do tanga *Lili Marlene*.

Moja pierwsza myśl dotyczyła Sary – musiałem znaleźć jakieś połączenie z Równem i pomóc jej wrócić do domu, do Kołodźca. Nie nazywaj mnie, proszę cię, głupcem – nie żebym to kwestionował, ale nie wiem, czy Kreml lub osobiście towarzysz Stalin zdawał sobie w tym momencie sprawę z apokalipsy, która się właśnie zaczynała, dlatego wybac mi ów naiwny pomysł, że mógłbym kupić bilet na pociąg, by pojechać do Sary. Tym bardziej że byłem „pod sztandarami” i uchylanie się od tego zaszczytu w kraju radzieckim było surowo karane. A wystarczyło spotkać wzrok mojego rabina, niewyrażający nic oprócz pogodnej rezygnacji wobec mojego bezdennie głupawego optymizmu, żeby zrozumieć, jak bardzo nie miały racji nasze dzieci, zapewniając matkę, że podróż do Równego jest o wiele łatwiejsza od przyszłej – według komsomolskich wyobrażeń w bliskiej przyszłości – podróży na Księżyc.

Cudem w owym nieoczekiwanym ataku z powietrza nie było ofiar, natomiast podróżni, a w tym również ci powołani udający się do swoich jednostek, tworzyli grupki, które rozpięchły się w panice wywołanej następną falą nisko lecących samolotów, zostawiających po sobie za górzystym horyzontem serię kolejnych eksplozji – trafione zostały prochnie, zbiorniki z benzyną lub czymś podobnym.

Do dziś nie wiem i prawdopodobnie nigdy się nie dowiem, czy owe wezwania do wojska były związane tylko z pogłoskami, będącymi zapewne świadomie rozgłaszaną dezinformacją o mających nastąpić operacjach wojennych na Dalekim Wschodzie, czy też jedynie dymem w niebieskie oczy Niemców i jakąś dyskretną formą mobilizacji, a Hitler po prostu uprzedził wydarzenia. A może władze radzieckie zostały rzeczywiście przyłapano w kalesonach i były całkowicie zaskoczone niemiecką napaścią? Czy przypadkiem nie one same usypiały się optymistycznymi deklaracjami TASS, że wszystko jest w porządku, pani markizo? Nie wiem, ale jeśli to drugie jest prawdą – pamiętając, jak niemieckie czołgi, samoloty oraz oddziały szturmowe wbiły się w nieprzygotowaną ziemię radziecką, tak jak gorący nóż wchodzi w osetkę masła – to zadaję sobie pytanie: Czy na Kremlu mogli nie wiedzieć i nie przewidzieć tego, o czym wiedzieli lub co przewidywali nasi dobrzy starcy w Kołodźcu, podczas gdy nawijali i rozwijali kłębek z problemami rodziny Rothschildów?

Nie jest wykluczone, że wiedzieli, ponieważ, jak okazało się dużo później, zostali uprzedzeni przez Sorgego, naszego człowieka w Tokio, przez nasz wywiad w Berlinie, a także przez pewnego wysoko postawionego generała bułgarskiego, którego rozstrzelano ze względu na to, że ich poinformował o dniu i godzinie napaści. W takim razie, czy Stalin do ostatniej chwili w sposób najbardziej idiotyczny nie oczekiwał, że kolega Adolf przemyśli i wreszcie spełni hołubiony zarówno przez Niemców, jak i przez Rosjan zamiar inwazji na Anglię? Dokładnie tak samo, ten sam Adolf do ostatniej chwili, gdy rosyjskie bomby spadały wprost na jego bunkier w Berlinie, wierzył i oczekiwał, że siły anglo-amerykańskie skierują się przeciw Rosji, a w rozliczeniu uda mu się zapłacić jedynie karę za parkowanie czołgów za granicą na niedozwolonych miejscach.

Jeśli nie zawodzi mnie moje wewnętrzne poczucie, to jednak nieco tu zboczyłem, natychmiast wracam więc do palących się zbóż.

Panika i zamieszanie, jakie nastąpiły w całym kraju, były nie do opisanego, toteż w mojej pamięci zachowały się jedynie fragmenty z koszmarnego snu, kawałki drobno pociętego obrazu, w którym nie można już rozpoznać, ani „co jest co”, ani co jest u góry, a co na dole. Jasne było jedynie, że musimy za wszelką cenę dotrzeć do Lwowa, i tylko dzięki rebemu Bendawidowi, który zachował równowagę ducha, zdołaliśmy wymknąć się bez szwanku z ognistego żywiołu, który otaczał nas smolistym dymem pochłaniającym zboża i wioski. Z naprzeciwką zakurzonymi, wyboistymi drogami płynęły pierwsze potoki uciekinierów podążających na wschód, a w odwrotnym kierunku ciągnęły wojskowe kolumny piechoty,

końskie zaprzęgi i kawaleria, niekończące się szeregi ochotników – wciąż jeszcze po cywilnemu, prawie bez broni – albo stare kołchozowe ciężarówki, wypełnione źle ubranymi obrońcami ojczyzny, często bez mundurów, tylko z czerwoną opaską na rękawie. Nie było ani muzyki, ani marszów, ani nawet piosenki o trzech czołgistach – trzech wesołych przyjaciółach – ludzie szli do boju w milczeniu, skupieni i ponurzy. Pogłoski zasłyszane od uciekinierów mieszały się i przeczyły sobie – raz mówiły, że nasi skierowali się już na Warszawę, innym razem, że Niemcy zbliżają się do Kijowa lub że całe dywizje Niemców poddały się, ulegając tej samej złudnej idei, iż proletariusze wszystkich krajów, którzy każdego ranka łączyli się w nagłówku „Prawdy”, nie podniosą ręki przeciwko radzieckiej klasie robotniczo-rolniczej. W każdym razie pogłoski te w większości były pomyślnie – rozumiesz, że w takiej chwili ludzie chętniej uwierzą w najbardziej nieprawdopodobne, ale upragnione kłamstwo aniżeli w gorzką prawdę.

Nasza grupa ostatecznie się rozproszyła i stopniała w chaosie. Obaj z moim dobrym rabinem przenocowaliśmy w jakiejś budce prawdopodobnie przeznaczonej dla strażników pola, co zdaje się było jeszcze cytatem z innej, pokojowej piosneczki, ponieważ na polu tym wciąż jeszcze lekkomyślnie, dużymi jaskrawożółtymi kwiatami kwitły dynie. Noc pełna była zakochanych świerszczy, zalotnie mrugały robaczki świętojańskie, z oddali od czasu do czasu dochodziły stłumione pokosy z karabinów maszynowych – tak dalekie, jakby w lesie trudził się dzięcioł. Rebe znikł i po jakiejś godzinie wrócił z dużą pajdą czarnego wiejskiego chleba i kawałkiem sera. Teraz dziwię się sobie, że nawet nie zapytałem, skąd je zdobył, w tym koszmarnym, surrealnym świecie nie zdumiałbym się szczególnie, gdyby rebe wrócił na motocyklu ubrany w liturgiczne szaty rabina lub, powiedzmy, w czerwony mundur politykomisarza wojsk pancernych. Wyczerpany zwałił się na pryczę uplecioną z gałązek wierzbowych, nakrytą podartą ukraińską derką, i bez słowa podał mi jedzenie. A ja, głupiec, łakomie gryzłem chleb i ser, nawet nie zapytawszy, o jakie płoty, ciernie czy druty podrapał ręce i podał ubranie. A gdybym zapytał, jaki to by miało sens? Z tego powodu przypominam sobie Abramowicza, który powróciwszy z uciążliwej drogi, pogniewał się na żonę podczas oglądania pęcherzy na swoich stopach.

– Nawet nie zapytałaś mnie, jak się czuję!

– No dobrze – powiedziała jego żona. – Jak się czujesz?

– Oj, oj, nie pytaj!

## 10

Czasem okazyjnymi furmankami obozowymi, rzadziej wojskowymi ciężarówkami, a najczęściej pieszo po zakurzonych drogach wiejskich, wycieńczeni do granic wytrzymałości, dowlekliśmy się wreszcie do Lwowa. Nastął wieczór, na ulicach nie było oświetlenia, miasto dudniło od wybuchów, na północy niebo było czerwone od pożarów. Żołnierze radzieccy biegli dokądś, ciągnąc ciężki karabin, dwie sanitariuszki opatrywały rannego w głowę obok nasyconych olejem i zapalonych szmat, które dawały więcej dymu niż światła, one zaś nawet nie odpowiadały na nasze pytanie, co dokładnie dzieje się w mieście.

Nie było potrzeby się przekonywać, że w tej wieczornej godzinie jedyną możliwością stanowiło dotarcie w jakiś sposób do mojej siostry i jej męża, aptekarskiego pomocnika, gdzie być może jeszcze przebywali Szura i Zuzanna – naiwni romantycy, którzy przyjechali aż z Kołodźca, by obejrzeć *Otella* i posłuchać Rachmaninowa, nie podejrzewając, że zastaną przyszykowany nieco inny spektakl.

Przechodziliśmy obok wywróconych i spalonych tramwajów, zaplątanych we własne druty, obok jeszcze dymiącego samochodu osobowego z czterema otwartymi drzwiami, który



nie wiadomo jak się znalazł pośrodku fontanny. W centrum bulwaru zobaczyliśmy przygotowany do uroczystego koncertu fortepian „Petroff”, który uciekający prawdopodobnie chcieli zabrać, ale po drodze się rozmyślili. Na podwórzu gimnazjum cementowy odlew statuy Lenina z wepchniętym pod kamizelkę palcem jednej ręki i drugą ręką wskazującą świetlaną przyszłość, leżał przewrócony, nawet ta „przyszłościowa” ręka była już częściowo odłamana, a ze środka dość prozaicznie wyglądała żelbetowa armatura. Wewnątrz wybebeszonego i spalonego sklepu obuwniczego bez przerwy dzwonił oszalały telefon. Taki obrazek, bratku, spustoszenia i panicznej ucieczki, która – tak sobie wyobrażam – w komunikacie TASS została prawdopodobnie przedstawiona jako „planowa i zorganizowana ewakuacja ludności”, a którą radio Berlin określało jako „niezwykle entuzjastyczne powitanie wojsk niemieckich wyzwolicieli”.

Na którejś przecznicy ponownie obok nas przebiegli trzej żołnierze z karabinem maszynowym, postawili go na bruku i przypadli do ziemi w oczekiwaniu, a ja serdecznie zawołałem:

– *Zdrawstwujcie towarzysze!*

Żołnierze nawet nie odpowiedzieli, a ja właśnie szykowałem się, by zapytać o sytuację, o to i owo, gdy mój rabe ścisnął mnie do bólu nad łokciem i pociągnął dalej.

– Głupcze! – zasyczał. – Czy nie widzisz, że to Niemcy?

Jak miałem to zobaczyć w tych ciemnościach, tym bardziej że w kinie widywałem przeważnie japońskich samurajów, a nie niemieckich żołnierzy? Szybko oddaliliśmy się, ale za naszymi plecami ktoś zawołał łamanym rosyjsko-niemieckim:

– Hej, ruski, *halt!* Stój! Stój!

Za nami ciężko zastukały podkute buty. Zatrzymaliśmy się, ale baliśmy się odwrócić, spodziewając się strzału w plecy. Złowieszczy strzał jednak nie padł, a żołnierz, który nas dogonił, zdyszany zapytał:

– Macie zapaliki? Zapaliki!

I dla większej jasności potarł palcami jednej ręki o palec wskazujący drugiej.

Rabin sięgnął do kieszeni, podał mu pudełko i z salonową uprzejmością, dość nieobyczajną dla naszego Kołodźca, powiedział:

– *Bitte, mein Herr!*

Wydawało mi się, że jego ręka lekko drżała, ale okazało się, że chłopak otrzymał dobre wychowanie z domu, ponieważ powiedział miło: *Danke* i ciężko pobiegł do swoich, którzy nie wiadomo dlaczego przypadli do ziemi, biorąc pod uwagę, że dokoła panowała martwa cisza. Nie wiem na pewno, ale myślę, że po raz pierwszy i ostatni podczas drugiej wojny światowej przedstawiciel zwycięskiego, hitlerowskiego Wehrmachtu oraz pewien rabin podjęli taki uprzejmy i życzliwy dialog.

Wreszcie trafiliśmy do starego, wielopiętrowego domu, w którym mieszkali moi krewni. Z trudem żeśmy wchodzili po ciemnej klatce schodowej, nie mając już nawet zapalek, by zaświecić, trafić na odpowiednie piętro i znaleźć drzwi wejściowe. Tak czy inaczej zorientowałem się, że dzwonek oczywiście nie działał, bo zamilkł już dawno temu i, jeśli dobrze pamiętam, podczas całego radzieckiego okresu swojego życia rodzina Krańców oczekiwała majstra, który miał naprawić dzwonek, a który zapewne i tak by się nie pojawił aż do pełnego tryumfu komunizmu. Pukaliśmy długo, dopóki nie oblało nas żółtawe światło. Drzwi sąsiedniego mieszkania uchyliły się, jakiś człowiek na progu podniósł wysoko nad głowę lampę naftową, która go oślepiła, i dopiero gdy nas obejrzał, zadał pytanie:

– Kogo panowie szukają?

Od razu zwróciłem uwagę na słowo „panowie”, tak obce w życiu radzieckim, że działało jak wyjęte ze sztuki Czechowa. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że pan Kranc, pomocnik aptekarza, został powołany do wojska, a moja siostra ewakuowana razem z polikliniką, w której pracowała jako pielęgniarka. Jeśli zaś chodzi o moich komsomolców – „młodego pana

i panienkę”, którzy gościli tutaj, o ile mu było wiadomo – to jeszcze pierwszego dnia wojny zgłosili się jako ochotnicy. Milczeliśmy, stojąc na podeście klatki schodowej przed ruinami ostatniej nadziei znalezienia kontaktu ze swoimi, podczas gdy sąsiad, ponownie podnosząc lampę, obejrzał nas i spytał:

– Kim wy dla nich jesteście?

I oto siedzieliśmy w dużym, wyposażonym we wspaniałe, zabytkowe meble pokoju gościnnym – z tych wysokich, z gipsowym sufitem wykonanym w rozrzutnych czasach austro-węgierskich. Ukradkiem rzuciłem okiem na katolicki krzyż w ściennej niszy, z porcelanową figurką Madonny pod nim.

– Zapewne przychodzicie z daleka? – zapytał pan domu.

Chyba nie trzeba było zbyt tłumaczyć, co wydarzyło się podczas długiej drogi ku Mandzurii, ponieważ w żółtym świetle lampy z dużego lustra po przeciwnej stronie patrzyły na nas dwa wygniecione, zakurzone i dość podejrzane subiekty. Podczas gdy – niech mi wolno będzie dodać – pan domu ubrany był w kraciasty tużurek, miał gładko zaczesane, srebrzyste włosy, kiedyś jasny blond, oraz wysokie, blade czoło. Krótko mówiąc, wyglądał na polskiego arystokratę ze starego drzewa genealogicznego, który nie wiadomo jak ocalał spod ciosów rewolucyjnych siekier.

– Zapewne jesteście głodni? – zapytywał taktownie.

My z rebem spojrzeliśmy na siebie, ja byłem gotów wybąkać jakieś kłamstwo w rodzaju „Dziękuję, proszę się nie fatygować”, wpisane w kodeks dobrego zachowania mieszkańców Kołodźca koło Drohobycza, ale rebe Bendawid z niekłamaną szczerością potwierdził:

– Tak, bardzo. Nic nie jedliśmy od wczoraj.

Tak oto dostaliśmy jajka sadzone i parówki, a pan domu obserwował nas z nieukrywanym zaciekawieniem.

– Panowie jesteście Żydami, prawda? Skoro państwo Krancowie są waszymi krewnymi...

Kiwnąłem głową potwierdzająco, a po przełknięciu ja z kolei zapytałem:

– A pan jest Polakiem?

Uśmiechnął się.

– Można poznać po akcencie? Jestem Polakiem, profesorem oftalmologii w tutejszej klinice. Moja żona też jest lekarką, obecnie przebywa na specjalizacji w Leningradzie i jeden tylko Bóg wie, kiedy znów będziemy razem... A jakie są panów plany? Przepraszam, to nie jest przejaw zbędnej ciekawości, ale sądząc po tym, co nadają niemieckie radiostacje, to Lwów jest już za linią frontu i do jutra opór waszych w mieście się załamie.

Mój system sygnalizacyjny odnotował owo „waszych”, dlatego spojrzałem na rebego, gdy pan domu zaproponował, byśmy u niego przenocowali. Nie wiedziałem, czy to nie jest zbyt lekkomyślne ze strony mojego dobrego rabina, ale on z ochotą propozycję przyjął. A ja, przyznaję, nie byłem pewny, czy ten, można by rzec, obcy element nie otworzy okna i nie zawoła niemieckich żołnierzy z ulicy – tych, którzy winni byli nam pudełko zapalek. Wkrótce jednak miałem możliwość przekonać się, że rebe Bendawid miał niezawodny instynkt w rozpoznawaniu porządných ludzi, który zasadniczo rozmijał się z klasowymi wyobrażeniami towarzyszy z Centrum, ponieważ ten błady profesor oftalmologii okazał się uczciwym i szlachetnym antykomunistą, z ledwo dostrzegalną żyłką antysemityzmu – coś w rodzaju dobrego, starego wina o gorzkawym posmaku.

Nie odbyła się rozmowa po szybko spożytej kolacji, ponieważ byliśmy śmiertelnie zmęczeni, pan oftalmolog ulokował więc nas w dawno nieużywanym pokoju dla służby – miłym wspomnieniu z innych czasów.

Spaliśmy jak zabici, a rankiem umyć i pachnący radziecką wodą kolońską „Trojnoj”, którą znaleźliśmy w łazience, zostaliśmy poczęstowani przez pana w kraciastym tużurku wspaniałą herbatą i tostami z masłem. Przepraszał nas, że nie ma mleka, wyszedł rano, ale sklep nabiałowy był zamknięty. Wyobraź sobie, ojczyzna płonie, miliony ludzi błakają się tu i

tam, a pan doktor przeprasza, że sklep na rogu nie wywiązuje się ze swych obowiązków wobec społeczeństwa! Śniadanie spożywałem w kuchni, gdzie nad piecem powieszono były miedziane garnki, a ściany wyłożone niebiesko-białymi fajansowymi kafelkami, na których naprzemiennie były przedstawione Holenderki w drewniakach oraz wiatraki. Pan domu obserwował nas z zaciekawieniem – jakby nigdy nie widział galicyjskich Żydów.

– A panowie macie zamiar stawić się w swojej jednostce i bronić władzy radzieckiej? – nagle zapytał.

– Tak – krótko odparł rebe.

– A czym się zajmujecie? Proszę wybaczyć ciekawość.

– Jestem rabinem – odpowiedział rebe.

Profesor zakrzuszył się herbatą i ponownie, ale już ciszej, ponowił pytanie:

– I macie zamiar walczyć o władzę radziecką?

– Tak, zamierzamy... jeśli z Bożą pomocą zdołamy dotrzeć do naszych.

– Do naszych, tak... – bezmyślnie powtórzył profesor i z nagłym zaciekawieniem zwrócił się do mnie:

– A pan?

A co ja? Podczas gdy rebe wyszedł na balkon zapalić, na moje słabe barki spadł wysiłek wyjaśnienia całej żydowskiej plecionki więzi rodzinnych między mną a rabinem, młodym panem i panią, co na ochotnika poszli do Armii Czerwonej, i nie mniej ważną ich matką, siostrą rabina, która, jak to się zapisywało w referatach związkowych, łączyła obowiązki, a moją żoną Sarą, będącą w chwili obecnej w łaźniach mineralnych gdzieś koło Równego z powodu dolegliwości nerkowych. Krótko i zwięźle. Nie żeby u Polaków nie było więzi pokrewieństwa, ale u Żydów pokrewieństwo splata się w tak patologiczny węzeł pępownin, współzależności i przyciągania, że kompleks Edypa to przy nim ledwie uchwytnie psychiczne odchylenie – coś takiego, jak tik nerwowy powieki. Przypadek komplikuje fakt, że wszyscy Żydzi, dosłownie wszyscy – poczynając od sprzedawczynie pestek Gołdy Zylber, a dochodząc do barona Rothschilda – są spokrewnieni na podstawie linii „współbrowej”, mam na uwadze żebro Adama, od którego się zaczęło to nieszczęście pokrewieństw.

Odniosłem wrażenie, że znudzony profesor przepuścił mimo uszu moje genealogiczne winietki, zaczynające się od sąsiedniego mieszkania Sabetaja Krańca, pomocnika aptekarza, a dochodzące do źródeł mineralnych koło Równego, gdyż przerwał mi rzeczowo:

– Powiedział pan Równie?

Bez słowa przytaknąłem. Spojrzał na mnie przezroczytymi, niebieskimi oczami, przez chwilę się nie odzywał, i dopiero później:

– Od wczoraj Równie jest w rękach Niemców. Przykro mi.

W tym samym momencie cała starannie zbudowana piramida rodowa zwała się na mnie, zwał się świat Abrahama z troską o wszystkich krewnych – od Rothschilda do Gołdy Zylber i Alberta Einsteina, została tylko Sara, która milcząco patrzyła na mnie swymi szarozielonymi oczyma. Sara, Panie Boże, to ja ją zmusiłem, by tam pojechała. Muszę dotrzeć do niej, do tego nieznanego miejsca gdzieś koło Równego, by ją wyciągnąć, mimo wszystko, mimo wszystkich armii, dywizji i szturmowych oddziałów SS Schicklgrubera!

## 11

Rzecz oczywista to był mój pierwszy odruch – nie trzeba było dużego wysiłku ze strony mojego rebego, by przekonać mnie o beznadziejności pomysłu przedarcia się przez okupowane przez Niemców terytorium po to, żeby odnaleźć gdzieś koło Równego jakieś sanatorium. Jedyłą nadzieją pozostawała myśl poddana przez rebego, że całe sanatorium

zostało na czas ewakuowane w głąb kraju. Wówczas problem z Sarą przechodził na nas, bo okazywaliśmy się głupcami, co zgubili drogę na Daleki Wschód, wpadając w sidła bliskiego Zachodu.

Jeśli już mowa o sidłach, to przypomniałem sobie, że profesor przyniósł z ulicy ulotkę w trzech językach – niemieckim, ukraińskim i polskim – w której ogłaszano, że dzięki sukcesom zwycięskiego oręża niemieckiego nasze marzenie się spełniło, Lwów i okolice wyzwolono z ucisku bolszewików i zostały one przyłączone do wschodnich terytoriów Rzeszy. Oprócz tego najuprzejmiej zawiadamiali, że w ciągu trzech dni wszyscy komunistyczni funkcjonariusze, Żydzi i ukrywający się sowieccy oficerowie powinni się zarejestrować w komendanturze, w przeciwnym razie zgodnie z tymczasowymi wojennymi rozporządzeniami oczekują ich... Hm, powiedzieć ci co, czy już się domyślasz?

„Lwów i okolice”! Czyż nie należało przypuszczać, że obejmowało to także nasze miasteczko Kołodziec koło Drohobycza, moich starych rodziców i permanentny sanhedryn z naszego zakładu, moich miłych sąsiadów i znajomych – Ukraińców, Polaków i Żydów, łącznie z kawiarnią Dawida Lejbowicza z osieroconym Klubem Ateistów, a także niegdysiejszych płomiennych szermierzy żydowskiej socjaldemokracji?!

I tak, bratku mój i nieznajomy czytelniku, po raz czwarty zmieniłem ojczyznę, bo teraz już uroczyście przyłączono mnie do wielkiej rodziny niemieckiej, choć z pewnym szczegółem, który trochę psuł to święto – jako osoba pochodzenia żydowskiego powinienem w ciągu trzech dni zarejestrować się w komendanturze, lecz wątpię, że to po to, by wysłać do mnie depesze z pozdrowieniami oraz kwiaty.

– Nie wiem, co wam doradzić – powiedział nasz zatroskany profesor. – Ja zajmuję się krótkowzrocnością, a nie krótkowzrocznymi utopiami, dlatego nie darzę sympatią ani Rosjan, ani tej całej władzy radzieckiej. Muszę też przyznać, proszę się nie obrażać, że nie żywię szczególnej sympatii do Żydów, zwłaszcza tych w rodzaju Karola Marksa, Róży Luksemburg, Lwa Trockiego i *tutti quanti* Kaganowiczów, którzy żywi bądź martwi ponoszą dużą winę za nasze obecne nieszczęścia. – Rebe Bendawid chciał zaoponować, ale profesor podniósł rękę. – Proszę, nie mam wcale ochoty toczyć sporów politycznych. Będąc jednak Polakiem, w równym stopniu nie znoszę Niemców, zwłaszcza tych tu, toteż nie widzę dla was innego wyjścia poza przedostaniem się w jakiś sposób na wschód, do tych, których nazywacie „waszymi”.

– To właśnie zamierzamy uczynić – pokojowo stwierdził rebe.

Profesor milczał chwilę, przeniósł zamyślane spojrzenie z rebe na mnie i znów ze mnie na rebe, by w końcu powiedzieć:

– Jednak nie rozumiem, szczerze nie rozumiem, co was łączy z tą ideą, skoro wiecie, jak nikczemnych rzeczy dokonuje się w Rosji radzieckiej. Czyż o tym nie wiecie? Nie słyszeliście?

Rebe uśmiechnął się smutno.

– Pewna droga mi osoba, być może najdroższa, pewna kobieta, teraz znajduje się w stalowym uścisku tego, co nazwaliście „nikczemnością”. Nie wiem nawet, czy żyje lub czy długo jeszcze pożyje. Będę jednak walczył, by bronić państwa radzieckiego przed faszyzmem. To coś zupełnie innego, nawet trudno mi to wytłumaczyć. A pan, pozwalam sobie powiedzieć, pomylił ideę z systemem, przy czym fakt ten jest korzystny dla systemu. On lubi być mieszany z ideą, a nawet być przyjmowany jako jedyny zmaterializowany wyraz, tożsamość i wzajemne zastępowanie. Jak mam to wytłumaczyć?

O ile rozumiem, pan jest wierzącym chrześcijaninem, a czyż Kościołowi chrześcijańskiemu nie zależy na tym, żeby być utożsamianym z chrześcijaństwem? Tyle że jedno jest ideą, a drugie systemem powołanym, by ją zmaterializować. I oto nadchodzi dzień, kiedy obrona chrześcijańskiego ideału braterstwa, miłości bliźniego i wybaczenie przejawia się czymś takim jak inkwizycja, wyprawy krzyżowe, stosy dla czarownic i wypędzanie

diabła. Duchowy blask waszej chrześcijańskiej idei niepostrzeżenie zostaje zastąpiony blaskiem rytuału kościelnego, a ascetyzm i samowyrzeczenie się pierwszych chrześcijan obżarstwem i zepsuciem Opatów i kardynałów. Czyż nie tak? System ma własne potrzeby i własną logikę ocalenia, a jeśli idea mu się sprzeciwia, tym gorzej dla niej, bo może zostać pogrzebana cichcem i zastąpiona wierną kopią lub makietą. Ale pan pozostaje wierny pierwotnej idei, mimo wszystko. Pan może się uporać z krótkowzrocznością, ale pozostaje pan bezradny wobec dążeń tonizmu. A właśnie na tym obszarze idea i system mieszają się w sposób niepozwalający je odróżnić i człowiek nie wie, czemu służy: ideom Chrystusa czy kanonom Kościoła.

Gdyby rebe na koniec dołączył „Amen i szabat szalom!”, mogłoby to być jedno z jego sobotnich kazań na temat ducha i bytu.

Profesor zaśmiał się bezgłośnie.

– Znaczący uważacie mnie za politycznego daltonistę?

– Uważam pana za człowieka uczciwego, który nie ma obowiązku dźwigać cudzego krzyża w imię cudzych idei. Każdy wędruje po własnej pustyni w poszukiwaniu swojego Kanaanu. W każdym razie powiedział pan coś o Żydach, Marksie i winie. Pozwolę sobie przypomnieć panu, że Karol Marks nie był marksistą, tak jak Chrystus nie był chrześcijaninem. Idee są dzieckiem swego czasu i ci dwaj, tak jak i apostoł Paweł, Baruch Spinoza czy Zygmunt Freud nie ponoszą winy za wypaczanie ich poglądów ani za to, że urodzili się Żydami. Zresztą Hitler, Stalin czy wielki inkwizytor Torquemada nie są Żydami, ale to nie zmienia sprawy!

Tego samego wieczoru profesor przyniósł dwie stare polskie legitymacje, ze wstydem przyznając, że ukradł je z archiwum kliniki. Mnie przypadł dokument tożsamości jakiegoś Henryka Brzegalskiego, portiera znanego w klinice jako „pan Heniek”, a zmarłego na wylew krwi do mózgu jeszcze przed czasami radzieckimi. Rebe zaś został ni mniej ni więcej jak głównym ordynatorem Karolem Mieczkowskim, który wyjechał na pogrzeb matki do Gdańska, ale zapomniał wrócić. Byłem podobny do pana Heńka ze zdjęcia jak biedny Awramczyk do Ramona Novarra, a różnicę dostrzegłby nawet ślepy Josel. Okazałem swój niepokój, ale profesor powiedział:

– Niech pan będzie spokojny, panie Blumenfeld. Dla biurokraty, a szczególnie dla biurokraty niemieckiego ważny jest numer, zdjęcie i pieczętka. Jest numer, zdjęcie i pieczętka, a pan się postara, żeby nie została zauważona różnica między zdjęciem i panem.

– Rozumiesz, zdjęcie miałeś robione, zanim zachorowałeś na tyfus i wirusowe zapalenie mózgu – nerwowo dodał rebe.

– Jaki tyfus... – zacząłem, ale widząc wyraz jego twarzy, domyśliłem się, że lepiej zamilknąć.

I oto my – dwaj wyzwoleni z ucisku bolszewickiego obywatele polscy – idziemy ulicami Lwowa, szukając jakiegoś adresu, który według słów Karola Mieczkowskiego jest niegdysiejszym miejscem konspiracyjnych spotkań Estery Katz. Tam, wedle nadziei rebe, moglibyśmy nawiązać kontakt i takie tam.

Starłem się iść spokojnie i beztrudnie, zaglądałem odważnie w oczy często spotykanych niemieckich patroli dwuosobowych z psami. Jak mi się zdawało, patrzyli na nas podejrzliwie, natomiast ja nawet czasem przyjaźnie im kiwałem głową.

Tak jak Mendel, który opowiedział przyjacielowi:

– Wczoraj do tramwaju wszedł kontroler i wyobraź sobie, popatrzył na mnie tak, jakbym nie miał biletu!

– A ty?

– A ja spojrzałem na niego tak, jakbym miał!

I tak żeśmy szli i gapili się na numery domów, gdy w pewnym miejscu mój rebe wydał polecenie:

– Czekaj tu i nie ruszaj się.

Przeszedł ulicę i zniknął w jednej z bram.

I dokładnie w tym miejscu mojego opowiadania wydarzyło się coś, co zdecydowało o moim losie na wiele następnych lat. Albo jakby się wyrazili pisarze – nastąpił dramatyczny zwrot akcji.

Ten dramatyczny zwrot polegał na tym, że jak spod ziemi zjawiły się ciężarówki z żołnierzami, którzy zeskoczyli i w mgnieniu oka otoczyli nas, spokojnych obywateli, zwartym kordonem. Wybuchła panika, owczarki niemieckie szczekały do ochrypnięcia, skórzane smycze były napięte, a żołnierze kolbami karabinów popychali nas do ciężarówek.

– Los, los, los...

Zmieszany wyciągnąłem ratującą, jak mi się zdawało, legitymację pana Heńka i na ile mogłem – a jak wiesz, niemiecki nie był mi obcy, bo byłem przecież w Wiedniu – poinformowałem policjanta wojskowego, że oczekują mnie na wydziale oftalmologii i inne podobne głupoty. On tylko popchnął mnie kolbą, bym szybciej wszedł do ciężarówki.

Ostatni obraz, jaki zobaczyłem, gdy ciężarówki ruszyły, to był mój rebe Szmul Bendawid, który w pośpiechu wyskoczył na ulicę. Był blady jak porcelanowa statuetka Madonny, a kiedy ciężarówka przejeżdżała obok niego, przymknął powieki – dla dodania mi odwagi lub jako ostatnie pożegnanie.

Okazało się, że nielegalne życie pod cudzym nazwiskiem we Lwowie trwało krócej aniżeli życie jętki jednodniówki, życie, które naznaczone było przez Jahwe takimi właśnie nieuniknionymi wydarzeniami. I to już udowodniono.

Dopiero gdy napchali nas do wagonów towarowych, wyścielonych brudną, cuchnącą słomą, usłyszałem przez mały, zakratowany wywietrznik rozmowę kolejarzy, by zrozumieć, że droga będzie prowadzić przez Warszawę do Berlina, czy możesz to sobie wyobrazić?

W ten sposób, bratku mój, ja i jeszcze trzystu dziewięćdziesięciu dziewięciu obywateli Lwowa, uprzejmie ulokowanych na słomie w dziesięciu końskich wagonach, zostaliśmy odesłani do Berlina, w samo serce naszej nowej ojczyzny – Rzeszy Niemieckiej, oznaczonej w podręcznikach jako „Trzecia” lub wedle naukowo potwierdzonych prognoz – „Tysiącletnia”.

# CZWARTA KSIĘGA IZAAKOWA

„Każdemu, co mu się należy”, czyli z miłością o obozach koncentracyjnych

## 1

Opowiadano w naszym Kołodźcu historię o trzech Żydach pochodzących z trzech różnych miejscowości Galicji, którzy zrzędzeniem losu, zwanego w pewnym przedziale historycznym „władzą radziecką”, znaleźli się w jednej celi, zanim według zasług zostali skierowani do dalekich obozów na Syberii.

– Dostałem piętnaście lat – zaprezentował się pierwszy – dlatego, że byłem za Mojszem Libermanem.

– I ja dostałem piętnaście lat – powiedział drugi – ponieważ byłem przeciwko Mojszemu Libermanowi.

– A mnie wrzepili lat piętnaście – rzekł trzeci – ponieważ to ja właśnie jestem Mojsze Liberman.

Nie przeprowadzam bezpośredniej paraleli, niech Bóg broni, ale do końskich wagonów, na brudną, wilgotną słomę napchano zarówno zwolenników władzy radzieckiej, jak i jej przeciwników, a wreszcie samą władzę w osobach uczciwych pracowników radzieckich z różnych instytucji i przedsiębiorstw, przy czym wszyscy znaleźli się dokładnie o tej samej godzinie, dokładnie w tym samym miejscu, pamiętasz? Nikt tu nie mógł powiedzieć, dlaczego wyłapano nas jak króliki na ulicach Lwowa, na czym polegała nasza wina i czy w ogóle byliśmy winni, a najważniejsze – dokąd nas wywożą. Hipotezy żywszych umysłów, do których w żadnym wypadku nie ośmielam się zaliczać, były dość sprzeczne i nie znajdowały potwierdzenia w praktyce, ponieważ wojna, można by rzec, zbyt była młoda, a Europa dopiero zaczynała gromadzić bogate i pożyteczne doświadczenia. Według niektórych zapudłowano nas w celu wymiany na jeńców niemieckich, co wydawało mi się mało prawdopodobne, gdyż Niemcy dysponowali już znacznie bogatszym asortymentem do handlu wymiennego w postaci wziętych do niewoli całych jednostek wojskowych, niekiedy wraz z jakąś grubszą naszywką oficerską. Według innych jechaliśmy w głąb naszej nowej ojczyzny, by zastąpić specjalistów w różnych dziedzinach życia niemieckiego. To było bardziej prawdopodobne, choć nie wierzyłem, by w Berlinie lub, powiedzmy, w Baden-Baden, brakowało krawców doświadczonych w nicowaniu starych żydowskich kaftanów.

Tak czy inaczej droga okazała się długa – nie pamiętam już, czy trwała pięć czy może sześć dób. W tym czasie podrzucano nam tylko chleb lub gotowane ziemniaki w homeopatycznych dawkach, od których nawet rodzina karaluchów dostałaby spontanicznej dystrofii. A co się tyczy niektórych szczegółów fizjologicznych, proszę cię, oszczędź mi wspomnień!

Pociąg jechał powoli, czasami – przypuszczalnie na węzłach kolejowych – nasze wagony przestawiano godzinami tam i z powrotem, słyszeliśmy gwizdki kolejarskie, pokrzykiwania,

szczękanie psów, a pewnego razu nawet rozbrzmiała orkiestra dęta – witano lub żegnano kogoś, ale nie wydaje się, by to akurat było na naszą cześć.

Leżąc na słońcu, myślałem z niepokojem o wszystkich i wszystkim – o Sarze i dzieciach, tak nagle porwanych przez wichurę wojny, o moim ojcu Jakubie i mojej matce Rebecce, o wuju Chaimie, a także wielu innych, co zostali tam, po drugiej stronie wydającej się już nieosiągalnym światem, do którego prawdopodobnie nie powrócę. A co się mogło stać z moim rebem, który stał błądy i osłupiały na lwowskim chodniku, odprowadzając wzrokiem oddalającą się ciężarówkę? Gdzie oni byli teraz – Estera Katz, Lowa Weisman, Awramczyk, pan Wojtek i katolicki ksiądz – czy wspólne nieszczęście, które zważyło się na nasze głowy, nie zmiękczyło serc tych, których Bendawid określił jako „system”? Czy ten rzeczony system w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, które mu zagrażało, nie rozluźnił żelaznego uścisku i nie wypluł ich na wolność po przeproszeniu za nieco przykre nieporozumienie? Traka-trak... Traka-trak... Było już zdaje się sporo po północy, gdy nieoczekiwanie obudziła nas całkowita cisza. Nasz transport zatrzymał się, ale nie był to dworzec ani węzeł kolejowy znany z astmatycznego sapania lokomotyw, gwizdów podczas przetaczania i owego tajemniczego rytuału stukania młotkiem w koła wagonów, który zawsze mi przypomina starego kolejarza Szmula Abramowicza z węzła kolejowego w Drohobyczu. Wybacz, że odrobinę zbaczam z drogi do serca Rzeszy, ale niech mi będzie wolno najpierw opowiedzieć o tym, jak dobry, stary Szmul opukiwał cierpliwie i starannie koła wagonów w czasach austro-węgierskich, polskich i radzieckich, a kiedy przeszedł na emeryturę, wręczono mu nawet Order Czerwonego Sztandaru Pracy. Wzruszony do głębi serca Szmul wygłosił następujące przemówienie:

– Szanowni towarzysze i koledzy kolejarze! Dziękuję za wszystkie miłe słowa, które usłyszałem. Dziękuję także za wysokie odznaczenie z okazji mojej półwiekowej, wiernej służby na dworcu w Drohobyczu, z młotkiem o długim trzonku. Ale teraz, zanim przejdę na emeryturę, proszę was, drodzy towarzysze i koledzy, wytłumaczcie mi, do czego, w rzeczy samej, było potrzebne pukanie w koła wagonów i jaka z tego była korzyść?

Jak już mówiłem, nie słyszeliśmy ani stukania, ani gwizdania. Po raz pierwszy od wielu dni otaczała nas całkowita cisza, jakby lokomotywa odjechała, pozostawiając skład pociągu w jakimś bezdennym tunelu. Dopiero nad ranem, kiedy szare światło zaczęło się sączyć przez wywietrzniki, rozpoczęło hałaśliwe otwieranie ślizgających się drzwi wagonów i z niczym niezaskuszoną brutalnością nakazano nam wychodzić na zewnątrz. Naokoło znajdował się sosnowy las rozbrzmiewający śpiewem ptaków, a szyny kolejowe kończyły się dwoma zderzakami i barierką z drewnianych podkładów kolejowych. Po okropnym zaduchu wewnątrz wagonów w pierwszej chwili wydało mi się, że przez pomyłkę trafiliśmy do niemieckiego rajku: pachniało żywicą i wilgotną ziemią, w porannej mgle, gdzieś z wysoka poprzez gałęzie snopami światła spływały promienie słońca, w których kręciły się w szaleńczym korowodzie trzy miliony muszek. Podobny obrazek wyglądałby całkiem pokojowo, a nawet letniskowo, gdyby nie żołnierze z psami oraz pobielone, drewniane tablice ze wskazówkami, dosyć zróżnicowanymi w treści, ale z dwoma powtarzającymi się wszędzie słowami *streng verboten*, co znaczy „surowo wzbronione”. Minie dużo czasu, zanim dostatecznie poznam moich nowych rodaków Niemców, by móc zrozumieć, jak czule, rzekłbym nawet zmysłowo, są przywiązani do słówka *verboten*, a dołączone tu *streng* budzi respekt jak szczęk zamka lub kajdanków. Na wszystkich tablicach znajdowała się szablonowa trupia czaszka ze skrzyżowanymi puszczelami, budząc we mnie nostalgiczne wspomnienia lat młodości, spędzonych z kapitanem Morganem na „Tortudze”. Tutaj oczywiście nie chodziło o pirackie flagi i jo-ho-ho z butelką rumu, lecz o pole minowe i strzał bez uprzedzenia w razie naruszenia określonych, dokładnie wymienionych okoliczności. Iglaste otoczenie składało się z bardzo wysokich, czerwonych sosen o precyzyjnie podciętych gałęziach prawie do samego szczytu, gdzie znajdowały się ich ciemnozielone korony; jakby



las przeszedł specjalne szkolenie wojskowe, tutaj bowiem w odróżnieniu od podkarpackiej leśnej obfitości i swawoli wszystkie drzewa były jednakowej wysokości, ustawione w proste szeregi, żadne nie występowało ani krok do przodu, ani też nie wypinało brzucha bądź tyłka. To uspokajające poczucie porządku wzmacniał też fakt, że na każdym drzewie znajdowały się wycięte na korze znaki w kształcie rybiej ości, coś podobnego do naszywek na rękawach radzieckich oficerów i politkomisarzy z czasów, kiedy jeszcze nie przywrócono carskich pagonów oficerskich i nie zamieniono *Międzynarodówki*, ale to jest zupełnie inny temat. Wkrótce miałem się dowiedzieć, że małe gliniane miseczki, znajdujące się u podstawy każdej naszywki lejtnanta lub nawet feldmarszałka, zbierają żywicę, z której mieliśmy wytwarzać – wyznaję ci to w sekrecie – terpentynę do celów wojennych. A jeśli popatrzysz przez uszeregowane do porannego apelu sosny, zobaczysz w oddali szereg ustawionych jak na szachownicy baraków z zamaskowanymi dachami. Przypuszczalnie się niecierpliwisz, by usłyszeć, gdzie się znaleźliśmy, a więc powiem ci: to miejsce znajdowało się gdzieś w lasach brandenburskich i nosiło tajemniczą nazwę: Obiekt Specjalny A-17.

I oto stoimy, bratku – zmiętoszeni, nieogoleni, z poprzyklejaną do włosów słomą – w dwóch szeregach na obszernym, kwadratowym placu w otoczeniu zielonych baraków. W przerwach między nimi – coś w rodzaju uliczek, zamiecionych i oznaczonych grubymi, czarnymi numerami – widoczny był drugi rząd baraków, a nawet dachy trzeciego. Rozlegał się rytmiczny hałas maszyn, pracowały strugarki, jeszcze coś świszczalo, pracując gdzieś za barakami, jakby wylegiwało się tam jakieś przedpotopowe monstrum, charcząc i równomiernie ciężko wzdychając, natomiast w zakurzonych oknach długiego baraku od czasu do czasu rozbłyskiwały niebieskie iskry spawarek elektrycznych.

Żołnierze za naszymi plecami – w pełnym rynsztunku bojowym, w hełmach i z automatami, trzymając psy na krótkich smyczach – wyglądali wojowniczo i byli tak nastroszeni, jakbyśmy my, wyczerpani podróżnicy jadący w nieznaną, co dali się złapać na ulicach Lwowa, mieli w każdej chwili rzucić się na nich z nożami.

Nikt z nas oczywiście nie miał podobnych zamiarów, ani też nie posiadaliśmy noży, wręcz przeciwnie, byliśmy nieco przestraszeni, sam przecież wiesz, ale wojskowi i policjanci lubią brać sprawy poważnie, to poprawia im samopoczucie. I gdyby ci tutaj mieli nałożone maski przeciwgazowe, to przypominaliby nasze bezsensowne, śródnocne walki z marami na terenach niby skażonych przez Francuzów, przypominasz sobie?

Staliśmy dość długo, nie odważając się poruszyć, zanim nie otworzyły się drzwi baraku z napisem: KOMENDANT, a z drewnianej werandy z trzema schodkami nie wytoczyło się okrągłe stworzenie w błyszczących oficerkach i w oficerskim mundurze. Stworzenie żwawo, szybkim i drobnym krokiem obeszło kwadratowy plac, oglądając nas bystrzymi oczkami, jakby szukało kogoś znajomego. Nie znam się na teoriach rasowych ani na autentycznie aryjskim kształcie czaszki, ale, jeśli w ogóle prawdziwe jest wyobrażenie o potomkach Zygfrйда jako niebieskookich, mężnych i jasnowłosych, dwumetrowych rycerzach, to babcia tego Nibelunga musiała zgrzeszyć albo z węgierskim Cyganem, albo, nie daj Bóg, z właścicielem sklepu na rogu, Aronem Rabinowiczem.

Nibelung zapytał:

– Rozumiecie po niemiecku czy potrzebujecie tłumacza? – W szeregu przebiegło niejasne mamrotanie, które wypełniło całe spektrum niuansów między „tak” i „nie”, ale całkowicie zadowolone kierownictwo kontynuowało: – Jestem oberlejtnant Bruckner i jestem waszym naczelnikiem. To nie jest obóz koncentracyjny, lecz obóz pracy, zapamiętajcie. Wy zaś nie jesteście więźniami, lecz robotnikami. Po błyskawicznej wojnie, którą nasza niezwykła armia prowadzi od Wału Atlantycznego po stopy rosyjskie, a która skończy się za kilka miesięcy, pojedziecie do domu, spłaciwszy swój dług wobec Rzeszy. Za waszą pracę otrzymacie zapłatę, po potrąceniu wydatków za odwzienie, robocze ubrania, wyżywienie i zakwaterowanie. Dyscyplina tutaj jest żelazna, pamiętajcie także o tym, że każda próba

niepodporządkowania się będzie karana jak dezercja lub sabotaż. Ze względu na konieczność najściślejszego przestrzegania tajemnicy wojennej korespondencja jest zabroniona. Czy dotąd wszystko jasne?

Dotąd wszystko było jasne. W intonacji jego głosu słychać było dalekie nutki swojskiej życzliwości. Nie wiem, czy odziedziczył to po potomkach Zygryda, czy też po grzesznych miłośkach babci z węgierskimi Cyganami i żydowskimi sprzedawcami, ale tak było, i owa życzliwość miała się potwierdzić niejednokrotnie, czego doświadczyłem osobiście.

Oberlejtant przetoczył się raz jeszcze przed uszeregowaną zgrają, którą w tym momencie niewątpliwie sobą przedstawialiśmy, potem zaś stanął nieruchomo pośrodku placu, by zapytać:

– Czy jest ktoś, kto dobrze mówi po niemiecku? Żeby się nie jękał jak galicyjski Żyd, ale żeby znał niemiecki dobrze w piśmie i mowie, jeżeli rozumiecie, o czym mówię. Czy jest taki? Niech wystąpi krok do przodu!

Poczułem się szczerze dotknięty: w zaistniałej sytuacji może nawet wyda ci się to lekkomyślne z mojej strony, ale jakim prawem ten gbur, który mówił saskim dialektem w taki sposób, że ledwie można było zrozumieć jego niemiecki, uważał, że my ów język kaleczymy? Podczas gdy u innych, powiedzmy, Polaków lub Ukraińców, niemiecki był językiem umiarkowanie wykorzystywanym niekiedy i tylko w skrajnej potrzebie za czasów austro-węgierskich, to nasz język, choć uszlachetniony rosyjskimi wdziękami po kądzieli i, jak ci mówiłem, z pewnymi asyrobabilońskimi domieszkami pozostawał w najściślejszym sensie tego słowa kuzynem niemieckiego. Moja urażona duma narodowa zmusiła mnie, bym wystąpił krok do przodu – swego rodzaju, żeby tak rzec, krok filologiczny w obronie mowy ojczystej.

Szef zbliżył się, obejrzał mnie, skrzyżował ręce na plecach i wreszcie zapytał:

– Jak się nazywasz?

O włos a odpowiedziałbym „szeregowiec Izaak Blumenfeld”, lecz coś mnie szarpnęło za poły duszy, przełknąłem więc tę odpowiedź, zamieniając ją szybko na inną:

– Henryk Brzegalski, *Herr Oberleutnant!*

On przyjrzał mi się sceptycznie, a ja rozumiałem go doskonale. Mój wygląd, ogólnie rzecz biorąc, niepociągającego safandudy, śniadego potomka Machabeuszów, miał tyle wspólnego z dumnymi, jasnowłosymi Polakami, ile mój nowy komendant Brückner z Tannhäuserem. W tym sensie byliśmy kwita, bez wątpliwości.

– Gdzie pracowałeś we Lwowie? – zapytał.

– Na oftalmologii – odpowiedziałem.

– Lekarz? – zapytał.

– Portier – powiedziałem.

– Portier? I uczyłeś się niemieckiego? – podniósł brwi.

– Tak jest, uczyłem się – odparłem.

– Zatem kto według ciebie jest autorem *Fausta*?

– Johann Wolfgang Goethe, *Herr Oberleutnant*, urodzony w 1749, zmarł w 1832 roku.

Tannhäuser zgłupiał, a ja skierowałem milczące dziękczynienie do mojego nauczyciela Eliezera Pinkusa, niech odpoczywa w pokoju.

## 2

Niektórzy myślą, że nauczanie literatury w szkole nie ma praktycznego zastosowania, lecz służy tylko do wypełniania czasu pomiędzy dwiema przerwami, co wcale nie jest prawdą. Nawet Eliezer Pinkus, żeby nas przekonać o konieczności posiadania choćby elementarnej

wiedzy z tego zbytecznego przedmiotu, opowiadał nam przypadek z głupkowatym Mendlem, który, odwiedzając naszą ówczesną stolicę – Wiedeń, zatrzymał się przed pomnikiem Goethego znajdującym się przy Ringu i wyraził swoje oburzenie:

– Ani nie był cesarzem, ani dowódcą wojskowym, ani Bóg wie czym. Tyle że napisał *Zbójców!*

– *Zbójców* nie napisał Goethe – powiedzieli mu – lecz Schiller.

– No i widzicie – upierał się Mendel – nawet *Zbójców* nie napisał, a jaki mu wystawili pomnik!

Nie powiedziałbym, żeby te ułamki wspomnień literackich ze szkoły, przyczepione do mojej pamięci jak kosmyk owczej wełny do tarniny, pomagały mi jakoś szczególnie w krawieckich zajęciach na terenie Kołodźca, a jednak teraz po raz pierwszy naprawdę zrozumiałem praktyczną korzyść z zastosowania lekcji literatury – bezsprzeczną, porównywalną na przykład ze zdobytą na lekcjach geometrii wiedzą, jak obliczać z pomocą starszka Euklidesa centymetry kwadratowe materiału potrzebne do uszycia dodatkowej kamizelki.

W tym konkretnym przypadku, z racji mojej znajomości z Goethem (1749-1832) zamiast na ciężkich obozowych robotach znalazłem się w kancelarii pod bezpośrednim kierownictwem naczelnika Brucknera. Nie wiem, czy byłeś w wojsku, więzieniu lub obozie, ale są to miejsca, gdzie najbardziej spontanicznie i z samych głębin twórczości ludowej rodzą się przysłowia naczelników, które pozostają na wieczne czasy jak brodawka na nosie. W tym wypadku nie wiadomo, która to poetycka natura przykleiła do szefa przewisko „Rzodkiewka”, i tym trafiła w dziesiątkę, gdyż jego rumiana twarz oraz harmonia zawarta między jej szerokością i wysokością przypominały ten wspaniały produkt natury, niezależnie od tego, że ja osobiście nigdy nie spotkałem w Kołodźcu rzodkiewek w oficerkach z lśniącą jak lustro łysiną.

Choć nie wolno mówić na ten temat, pora cię poinformować, co to dokładnie było ów Obiekt Specjalny A-17 i na czym właściwie polegała owa specjalność. Polegała ona mianowicie na produkcji łusek pocisków artyleryjskich – skorup jajowatych – lotniczych bomb oraz min lądowych i innych półfabrykatów pierwszej potrzeby. Świeży zapach sosnowej terpentyny przynoszony przez wietrzyk był przekonującym świadectwem, że w blaszanych beczkach odwożonych wagonetkami z gotową produkcją do owej buforowej linii w lesie znajdował się chemiczny produkt o nieznanym przeznaczeniu.

Produkcja pochodząca z różnych baraków, odnotowywana w dokumentacji jako ponumerowane lub zakodowane oddziały produkcyjne, zamieniała się w cyfry, dokładne zapiski i sprawozdania, toteż moja historyczna misja polegała na mechanicznym ich nanoszeniu do odpowiednich rubryk i rejestrów, jak również na porządkowaniu przesyłanych z działu gospodarczego dokumentów informujących o ilości zużytych ziemniaków, brukwi, buraków lub mąki owsianej przeznaczonych na wyżywienie około dwóch tysięcy osób. Mówiłem już, że ani wówczas, ani później nie mogłem zrozumieć, dlaczego ten „obiekt specjalny” nie zaliczał się, mimo łagodniejszego reżimu, po prostu do kategorii obozów, biorąc pod uwagę żałosne ludzkie cienie, przeważnie pochodzenia polskiego, które ustawiały się o świcie w szarych drelichach pod dźwięczącymi uderzeniami w zawieszony kawałek szyny, by następnie przez szesnaście godzin dziennie piłować, stukać młotkami, pchać wagonetki, dźwigać żeliwne odlewy i wykonywać inne rozmaite czynności, aż do kolejnego dzwonięcia szyny o dziewiątej wieczorem – wszystko pod czujnym okiem niemieckich ślusarzy. Ci ostatni mieszkali osobno i mieli przepustki do miasta, gdzie chodzili na piwo, a nie mógłbym powiedzieć, że obchodzili się źle z tymi nowymi na podobieństwo egipskich niewolników, po prostu zachowywali się w stosunku do nich z rzetelną obojętnością, z jaką mistrz odnosi się do obcęgów, hebla czy piły – bez współczucia lub czułości, ale i bez złości, jakiej przedmiot nieożywiony z reguły wywołać nie może.

Początkowo spałem razem ze wszystkimi w barakach sypialnych z dwoma rzędami dwupiętrowych pryczy, ale wraz z rozwojem wydarzeń, o których dowiesz się teraz, komendant przywiązał się do mojej osoby i przeniósł mnie do kancelarii, gdzie znajdowało się metalowe łóżko, któremu los przydzielił odegranie skromnej roli podczas drugiej wojny światowej. Nie twierdzę, że przyjąłem z entuzjazmem rozkaz Rzodkiewki do opuszczenia naszych wspólnych pomieszczeń, pomimo niewątpliwej wygody z bardziej uprzywilejowaną pozycją, ponieważ ten fakt nastawiał ludzi przeciwko mnie, napełniając ich podejrzeniami co do mojej gotowości do zdrady wobec narodu. Tak jest zazwyczaj w wojsku, w więzieniu i obozie – ludzie nie lubią uprzywilejowanych, uważają ich *a priori* za donosicieli i prowokatorów, o czym świadczy mój siniak pod okiem, którego nabawiłem się przypadkowo w ciemnościach. Szczerze przeżywałem niemożność wyjawienia towarzyszom niedoli, że należę do plemienia Izraelitów, a zatem trudno byłoby przekonać mnie, bym został tajnym współpracownikiem nazistów, choć historia odnotowała także i takie przypadki, sromotne pod każdym względem. Nie było mi też łatwo wymówić się od sobotniego rytuału wieczornego, gdy moi towarzysze niedoli mieli prawo wykąpać się w niskim, ceglany budynku nazywanym „łaźnią”. Były tam dwie równoległe rury wodociągowe z przykręconymi prysznicami, z których raz ciekł wrzątek, zdolny w ciągu sekundy ściągnąć skórę z nosorożca, innym natomiast razem płynęła lodowato zimna woda powodująca obustronne zapalenie płuc. Moje wykrety z nieskończoną pracą biurową, po to żeby uniknąć podobnych zespołowo higienicznych przedsięwzięć, były związane, jak się domyślasz, z owym moim „czymś”, zwisającym w dół pod pępkiem, które, jeśli pamiętasz, zmusiło swego czasu szefa policji do podniesienia go laską i wbicia w niego dioptrii. Gdyż człowiek może wprawdzie ukryć swoją wiarę, ale jak ukryć wielkie dzieło owego sługi Jahwe, który mnie obrzezał, bym mógł dołączyć do Abrahamowego łona?

Rzodkiewka zresztą nie próbował nawet prosić mnie o jakiegokolwiek usługi donosicielskie, ponieważ okazał się sentymentalnym nazistą potrzebującym, jak każda ludzka istota, ciepła i bliskości. Znajdowało to wyraz w konieczności słuchania do późnych godzin wieczornych jego wzruszających esejów o miłości i samotności, z czego szybko wyciągnąłem wniosek, że oberlejtant Immanuel Johannes Bruckner, naczelnik Obiektu Specjalnego A-17, znany jeszcze jako Rzodkiewka, mam na myśli oberlejtanta, a nie ów obiekt, cierpiał i był zakochany bez pamięci. W kim – miałem się dowiedzieć później.

Wspomniane eseje rozwijały się wszcz i w głąb, najbardziej po wypiciu butelki kornu, a to słowo oznacza ziarno, z którego wytwarza się produkt finalny, zwany tak samo lub też po naszemu zwykłą żytniówką. Wiesz, że nie przepadam za piciem, ale on nakazywał mi iść jego drogą poprzez mokre zboża, toteż pomimo symulowania, że piję więcej niż w rzeczywistości, ja zazwyczaj upijałem się przed moim szefem i obaj popłakiwaliśmy – każdy z własnego powodu. Oczywiście, sytuacja nie zawsze była tak romantyczna, oberlejtant czasami dostawał ataku wściekłości, a wówczas odgrażał się, że powiesi wszystkich Polaków z Obiektu A-17 jako zdeklarowanych sabotażystów i wrogów Führera, pozostawiając cały obóz łącznie ze mną na dwa dni bez jedzenia. Zdarzało się to najczęściej wówczas, gdy nadchodziły pisemne reklamacje od odbiorców towaru, z powodu pęknięć i pęcherzy w odlewach, z powodu nieprzestrzegania surowych standardów lub najzwyczajszego piasku w osadzie owego produktu w blaszanych beczkach, gdzie główną rolę odgrywała terpentyna naszej własnej produkcji. Nie sądzę, by wszystkie te usterki, podkopujące prestiż Obiektu Specjalnego A-17 i jego dobre imię, były dziełem przypadku, ale jeśli to był świadomy sabotaż, to dokonywano go tak umiejętnie, że nigdy nie można było dojść, kim był jego główny sprawca. Pęknięcia i pęcherze drastycznie się powiększyły, kiedy w następnych transportach zaczęto przywozić ludzi z okupowanych terytoriów radzieckich, ale nie jest moją sprawą komentowanie tego problemu, gdyż przyczyną mogła być także niska kultura

technologiczna Rosji radzieckiej, w rezultacie której piasek znajdowano nie tylko w blaszanych beczkach, ale również w oleju smarowym do maszyn, tokarek i frezarek.

Podczas jednego takiego usprawiedliwionego ataku gniewu mojego naczelnika i dobrodzieja, który próbował rozerwać się partią szachów, a ja niewdzięczny pokonałem go czarnymi pionkami, dając mu mata w dziewiątym ruchu, zasłużenie wylądowałem na trzy dni w karcerze. Wydaje się, że Rzodkiewka przeżył moje wygnanie bardziej niż ja. Wylegiwałem się po prostu w ciemnej i wilgotnej komórce dobudowanej do łaźni, a pełniącej funkcję instytucji karnej. Jednak jeszcze o północy drugiego dnia zostałem wyciągnięty przez ochronę i dostarczony pod bronią do biura, gdzie czekała już otwarta butelka kornu. Owego późnego wieczoru wzajemnego kajania nauczyłem się przegrywać w szachy przekonująco i ponad wszelką wątpliwość, toteż zamykanie mnie nie było więcej potrzebne.

Opisanie obozowego środowiska byłoby niepełne, gdybym nie opowiedział o starszym mistrzu Stachowiczu, tokarzu z Łodzi, przywiezionym do brandenburskich lasów nie tak jak my, zbieranina po przypadkowej i ślepej łapance, lecz w wyniku celowego wyszukiwania doświadczonych fachowców. On znał się na wszystkim i był, można by rzec, uniwersalnym geniuszem technicznym, potrafił bowiem naprawiać maszyny, urządzenia elektryczne, motocykle ochrony, zreperował nawet radio szefa. Stachowicz, który mocno kulał, zarzucając lewą nogą – skutek heinemediny – jako starszy mistrz miał swobodę poruszania się w granicach obozu i to właśnie on przynosił mi różne sprawozdania z oddziałów produkcyjnych, bym je wpisywał do odpowiedniej księgi.

Pewnego razu, kiedy naczelnik zawieruszył się gdzieś w Brandenburgii, skąd prawdopodobnie miał wrócić późno wieczorem i, co jeszcze bardziej prawdopodobne, pijany, Stachowicz przyniósł dokumenty, a ja poprosiłem, by usiadł, i poczęstowałem go papierosem ukradzionym Rzodkiewce. W kontaktach służbowych rozmawialiśmy po niemiecku. On władał nim nie najgorzej.

Polak zaciągnął się głęboko i chciwie – papierosy, bardzo drogie, były wówczas rarytasem, toteż w kiosku obsługującym przede wszystkim personel niemiecki, sprzedawano je na sztuki i na czarno – patrzyłem na jego duże, spracowane ręce o popękanej skórze, pokrytej cienką pajęczyną niezmywalnej, czarnej farby. Patrzyłem z szacunkiem i zazdrością, ponieważ te ręce potrafiły zrobić wszystko, czego ja nie potrafiłem a on nagle przemówił do mnie po polsku:

– Ty nie jesteś Polakiem i nie jesteś ze Lwowa.

– To znaczy jak to? – próbowałem zagrać zdumionego.

– Tak. Jesteś Żydem, dawno to odkryłem po pewnych słówkach, których żaden szwab nie użyje. Jesteś gdzieś z południa Galicji, prawda?

Byłem oszołomiony jego wyrafinowanym wyczuciem etniczno-fonetycznym, jednak po pewnym wahaniu potwierdziłem:

– Tak.

– Nie bój się, nikt się nie dowie.

W pewnym sensie poczułem ulgę, ponieważ uwalniało to mnie od podejrzeń co do współpracy z nazistami. Stachowicz popatrzył na mnie badawczo, zamyślił się, a potem spytał:

– Czy zechciałbyś zrobić coś dla mnie?

– A mianowicie?

– Ty możesz wychodzić poza obóz, do rampy towarowej, a mnie tam nie wolno. Skoro zapisujesz numery skrzyń i innych takich rzeczy, czy możesz przekazać pozdrowienia ode mnie maszyniście pociągu? On jest Niemcem, ale ty mów do niego po polsku. Powiedz mu: „Pozdrowienia od Stachowicza”. A jeśli ci da jakąś paczuszkę, czy mógłbyś mi ją niepostrzeżenie przenieść? Uprzedzam cię, że to niebezpieczne, nawet bardzo niebezpieczne. Możesz odmówić.

Serce spadło mi do majtek.

– A co jest w paczuszcze? – zapytałem przytłumionym głosem.

Na moje, ogólnie rzecz biorąc, uprzejme pytanie odpowiedział niezbyt delikatnie.

– Lepiej dla ciebie, żebyś nie wiedział. Zrób to, jeśli chcesz, jeśli nie, zapomnij i kropka.

Zrobiłem to. Stachowicz ani mi nie podziękował, ani w jakikolwiek sposób nie napomknął o tym. Aja w swej duszy prowadził nocne rozmowy z moim rebem, zdawało mi się, że czuję jego obecność gdzieś blisko, nawet że go widzę w ciemności – bladego i z owym spojrzeniem szaleńca lub tym, z którym wygłaszał sobotnie kazania.

– Dobrze zrobiłeś – powiedział rebe – ale nie uważaj się za bohatera, ponieważ każdy na twoim miejscu zrobiłby to samo. Twoje dzieci, a moi siostrzeńcy, Szura i Zuzanna, biją się gdzieś na śmierć i życie, a czy wiesz, gdzie teraz są moja siostra, a twoja żona Sara, twój drugi syn Jakub, twój ojciec o tym samym imieniu, twoja matka, wuj Chaimle i wszyscy inni?

– A Estera Katz? – zapytałem nie bez pewnej złośliwości.

– I Estera Katz... i ona, gdziekolwiek jest, cokolwiek z nią się stało, w swej duszy jest z tymi, którzy teraz swoją pierś zatrzymują niemieckie czołgi! Pojmujesz?

– Pojmuję – powiedziałem.

– A ty co sobie myślisz, że będziesz grał w szachy czarnymi pionkami i udawał, aż do końca wojny że przegrywasz, podczas gdy inni giną? I że gorzki kielich cierpienia cię ominie, ponieważ jesteś ulubieńcem i powiernikiem naczelnika niemieckiego obozu? Mam ci przypomnieć o Józefie z plemienia Izraelitów i synu Jakuba, który przywieziony do Egiptu stał się ulubieńcem faraona, ale nie zapomniał o swoich braciach? Czyż nie jesteś niewolnikiem, ulubieńcem swego pana? Prawda, Icek, ty nie jesteś mądrym prorokiem jak Józef, lecz zupełnym głupcem, ale i twój Rządowca nie jest Amenhotepem! Pamiętaj o swoich braciach, pamiętaj. Mówiłem ci już, kim oni są: to wszyscy ludzie, wszelkich kolorów skóry, wszystkich plemion i języków, wszystkich ziem i mórz, śmiertelna groźba zawisa bowiem nad nimi wszystkimi i nastaje rok siódmy, rok bezczynności, a na imię jej faszyzm. Pamiętaj o swoich braciach i bądź Józefem!

– Zrozumiałem, będę pamiętał – powiedziałem – ale co było w paczuszcze?

– A skąd ja mam wiedzieć – powiedział rebe – skoro ty nie wiesz? Przecież to ja tobie się śnię, a nie ty mnie!

Obudził mnie głuchy warkot, zwarty i gęsty jak dywan, rozpostarty ponad chmurami. Znow przelatowały anglo-amerykańskie fortece...

### 3

Ostatnio fortece przelatowały prawie w każdą pochmurną noc. Wtedy jasne plamy reflektorów przesuwają się po chmurach, spotykają się, nachodzą na siebie i rozchodzą, a za lasem, od strony Brandenbura zaczynają stukotać jak maszyny do szycia działa przeciwlotnicze. Świeące pociski zszywały niebo rzadkim ścięciem, ale niewidoczne poprzez chmury bombowce przelatowały jak ciężarne krowy, które daremnie próbują oddalić od celu żałosne komary. Krowy celowały gdzieś daleko, a następnie, będąc już lekkie, wracały energicznie tą samą drogą. I znow reflektory, i znow stukot maszyn do szycia, i znow świeące ścięgi zszywające obłoki, zanim nastąpiła całkowita i udręczona cisza.

W takie pochmurne noce znacznie wcześniej niż samoloty zaczynające brzęczeć w ciemności, gdzieś w dali słychać było zatrważające wycie syreny, a parę minut po tym w obozie gasło światło. Wówczas dokonywało się cudowne przeistoczenie oberlejtanta Immanuela Johannes Brucknera z komendanta Obiektu Specjalnego A-17 w czułego kochanka, a nawet powiedziałbym kapłana świątyni Erosa. Wskakiwał wówczas na rower i

tylko elektryczna lampka, zaciemniona odpowiednio w zgodzie z rozporządzeniami, i tylko jedna jednusiaienka strużka światła, przypominająca zmrużone oko Chińczyka, kreśliła podskakującym, drżącym światełkiem drogę do bramy, a stamtąd do lasu. Za lasem, gdzieś w dolinie znajdowała się wioska, której i tak nigdy nie zobaczyłem, gdzie tymczasowo zamieszkiwała jego berlińska miłość. Ja zaś, więzień Henryk Brzegalski, były portier lwowskiej oftalmologii, aktualnie prowadzący osobistą kancelarię oberlejtanta, zasłaniałem zwiniętym w rulon czarnym papierem okna i zapalałem lampę naftową, by przeczytać kolejny rozdział jakiejś powieści, w której wspomniana kancelaria była dobrze zaopatrzona. To był mój ścisły dyżur przy telefonie, swego rodzaju akt solidarności z moim szefem. Jeśli ktoś z miejskich przełożonych telefonował, obojętnie w jakiej sprawie, na przykład w celu sprawdzenia gotowości bojowej, uprzejmie przedstawiałem się z nazwiska i funkcji, informując, że *Herr Oberleutnant* jest gdzieś na obozowym obchodzie i czy może coś przekazać, i podawałem inne podobne wykrety dla zmylenia przeciwnika. Rzdokiewka wracał przed świtem, sapiąc z powodu stromizny, ale szczęśliwy i wyczerpany, a za moje nocne czuwanie dawał mi jedną reichsmarkę. A dla więźnia, któremu mieli zapłacić po zakończeniu wojny, potrącając za odwzienie i tym podobne, jedna marka była kwotą znaczącą. Za reichsmarkę wciąż jeszcze można było kupić w kiosku sporo rzeczy, wyprodukowanych w najbardziej przebiegły sposób jedynie z soi – salami, kawę, czekoladę lub, powiedzmy, cebulowe bułeczki, przy czym jedynie cebula była w nich prawdziwa.

I tak biegło to życie wypełnione powtarzaniem się jasnych, księżycowych nocy, skazujących mnie na dni bez sojowych salami i cebulowych bułeczek, dni nieprzejrzanych przez zwisające chmury, godziny czuwania obok telefonu, podczas gdy Anglicy, Amerykanie i oberlejtant Bruckner robili swoje.

Wszystko toczyłoby się spokojnie dalej, gdyby życie, z zasady skłonne do zaskakujących winietek i kaprioli, nie zdecydowało inaczej. Pewnej nocy w ciszy pomiędzy dwiema kanonadami – kiedy samoloty już odleciały, a nie zdążyły jeszcze powrócić – gdy przy słabym świetle lampy naftowej czytałem coś autorstwa dreźnieńskiego Indianina Karola Maya, drzwi otworzyły się i do kancelarii wtargnęła wściekła blond walkiria, z tych bardziej puszystych.

– Gdzie on jest? – spytała rozgniewana, powiedzmy, Brunhilda, i machnęła ręką za plecami. Wartownik, który ją przyprowadził, pokornie zamknął drzwi, pozostając na zewnątrz, co częściowo rozwiązywało zagadkę tożsamości przybyłej damy.

Stanąłem wyprostowany tak, jak to wypada kawalerowi stać przed damą, tym bardziej że kawaler jest więźniem, a dama Niemką.

– Kogo szanowna pani ma na uwadze? – zapytałem.

– Nie udawaj głupca! Pytam o oberlejtanta Brucknera!

– On... – wybąkałem. – Jeśli chodzi o oberlejtanta Brucknera... – bąkałem dalej – to w tej chwili, jak pani widzi... jest gdzieś na terenie obiektu, można by rzec...

– Słuchaj, albo ty jesteś idiotą, albo ze mnie robisz idiotkę! On jest na wsi u kochanki, a ty go kryjesz! Wszystko wiem, o wszystkim mi doniesiono!

– Przepraszam, ale jakim prawem... – zacząłem bohatercko, ale ona przerwała mi nerwowo:

– Prawem legalnej małżonki!

Oho, i co teraz, skoro nawet nie byłem uprzedzony o podobnym wariacie.

Usiadła i zaczęła bębnić w stół długimi, polakierowanymi paznokciami.

– Jej adres! – niespodziewanie wydała rozkaz. – Dokładny adres we wsi albo utnę ci łeb! Albo wyślę cię do Buchenwaldu, jeśli wiesz, co to oznacza!

Wiedziałem, co to oznacza, bo również tutaj dotarła sława tego malowniczego zakątka w pobliżu Weimaru. Musiałem wyglądać na ucziwego, gdy jej powiedziałem: „Nie znam adresu, szanowna pani Bruckner, ani też nie znam owej damy ze wsi, nie wiem też nic na ten

temat”, ponieważ od razu mi uwierzyła i poprosiła o papierosa. Zawsze miałem jakieś ukradzione szefowi papierosy i, choć sam nie byłem palący, często trafiał się więzień, który wypraszał ode mnie jednego.

– Zaczekam tu na niego – powiedziała zdecydowanie, elegancko zapaliła papierosa i dłonią rozproszyła dym jak pierwsza rywalka Marleny Dietrich. Nikotyna widocznie zmniejszyła ilość adrenaliny we krwi, bo uspokoiła się i przyglądała mi z ciekawością, ja zaś sterczałem wyprostowany jak się należy.

– Jak się nazywasz? – zapytała.

– Brzegalski. Henryk Brzegalski, proszę pani.

Patrzyła na mnie od góry do dołu spojrzeniem, w którym odczytałem lekką pogardę.

– Polacy – powiedziała – są zazwyczaj przystojnymi mężczyznami.

Uniosłem przepaszając ramiona.

– Zdarzają się wyjątki.

Ponownie zabębniła paznokciami po biurku i nagle spytała:

– Gdzie sznaps?

– A o co chodzi, proszę pani?

– Słuchaj, powiedziała ci, nie rób z siebie idioty! Myślisz, że nie wiem, jak spijaliście się co wieczór z tym łajdakiem, moim mężem? A więc, gdzie jest?

Byłem zdecydowany, jeśli trzeba, do śmierci na szafocie, byle nie zdradzić mojego protektora. I choć moja decyzja była bohaterka, to jednak daremna, ponieważ walkiria złapała niechcący moje spojrzenie i otworzyła szafkę z teczkami, gdzie czekały trzy butelki – jedna zaczęta, pozostałe dwie nietknięte – oraz dwa kieliszki, z którymi wiązały się tak miłe wspomnienia.

Dama milcząco napełniła kieliszki, wychyliła jeden do dna, a potem tonem rozkazującym wskazała pięknym paluszkiem ów drugi:

– Ty też pij!

Piłem, co było robić – byłem więźniem, a ona Niemką. Potem znów nalała i znowu piłem. Mówiłem ci już, że car alkohol łatwo mnie pokonuje, jest taka powieść. Moje oczy natychmiast zabłyśły, poczułem dziwne i błogie osłabienie. Kobieta wyprostowała się i bez powodu zaśmiała krótko gardłowym głosem. Zabrzmiały w nim nutki, których ukrytego i zakodowanego od milionów lat sensu nie zrozumiałby jedynie prawdziwy idiota.

– Chodź! – rozkazała mi z czułą natarczywością.

Nie odważyłem się pójść, zanim się przedtem nie obejrzałem za siebie, by sprawdzić, czy przypadkiem rozkaz nie odnosi się do kogoś innego. Ale za mną nie było niczego prócz portretu Führera, przy czym w tej konkretnej historycznej chwili wątpliwe było, żeby to właśnie jemu było sądzone stać się narzędziem kobiecej zemsty.

Mój Boże, życie zaskakuje człowieka najróżnorodniejszymi cudactwami! Byłem wierny Sarze, przysięgam, ale jeśli mam być szczerzy, dodam, że być może byłem wierny z braku okazji, która by potwierdziła lub obaliła powyższe twierdzenie. Jeśli zdarzy ci się w życiu podobny przypadek, dam ci radę, żeby nie wierzyć temu, kto przysięga, że za nic na świecie nie sięgnąłby po langustę w sosie tatarskim, jeśli nie jesteś uprzednio przekonany, że coś podobnego w ogóle mu proponowano.

Wiedziałem, że to, co nastąpi, jest nieuchronne jak prawo powszechnego ciężenia, jest też niedozwolone i grzeszne, że do tego pchają mnie ciemne szatańskie siły, ale mam nadzieję, iż zrozumiesz normalnego na ogół mężczyznę, choć w pewnym sensie skromnego safandulę, który nie widział damskiej spódnicy prawie od czasów biblijnych. Zrozumiesz i wybaczysz mi ów grzech pierworodny.

Pokrótkie, sam nie wiem, jak znalazłem się z blond walkirią na żelaznym łóżku będącym najwyższym miłosierdziem, jakim obdarzył mnie oberlejtant Bruckner. Teraz byłem zaszczycony przywilejem pocieszenia jego żony, pokornie dziękuję za ten honor.



Z natury jestem człowiekiem nieśmiałym, pomińmy więc szczegóły, by dojść do momentu, kiedy Brunhilda doprowadziła się do porządku, nałożyła na usta grubą warstwę szminki i podczas palenia drugiego papierosa znowu mi się przyjrzała.

– Dziwne – powiedziała. – Miałam Polaków za przystojnych mężczyzn, ale zawsze sądziłam, że nie za bardzo nadają się do takich rzeczy. Teraz uważam, że jesteście dość utalentowani!

W głębi duszy dziękowałam w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej i jej nieśmiertelnego symbolu – Józefa Piłsudskiego.

#### 4

Od tego wieczoru nikt bardziej ode mnie nie był przywiązany do anglo-amerykańskich bombowców, gdyż historia się powtarzała jak fraza muzyczna z pękniętej płyty gramofonowej. Po alarmie przeciwlotniczym i wyłączeniu światła Nibelung udawał się do kochanki i płacił mi za to jedną reichsmarkę, kilka minut później na rowerze przyjeżdżała jego Brunhilda i też mi dawała jedną reichsmarkę. Z punktu widzenia etyki handlowej, o którą tak dbano w Kołodźcu, to była dobra transakcja, na której zyskiwali wszyscy i nie było poszkodowanych.

Podobną transakcję zaproponował nasz Mendel bankierowi Abrahamowi Rosenbaumowi:

– Panie Rosenbaum – przemówił Mendel – możemy ubić wspaniały interes, na którym każdy z nas zarobi po trzysta tysięcy rubli!

– Ciekawe. I co to za interes?

– Dowiedziałem się, że pan daje w posagu córce sześćset tysięcy rubli.

– No i co?

– Jestem gotów wziąć ją za pół ceny.

Tyle na temat wzajemnie korzystnych transakcji. Jeśli chodzi o moje uczucie zarobione dwie reichsmarki za każde anglo-amerykańskie bombardowanie, powiedz mi, proszę, w którym to obozie jakiś Żyd żył lepiej podczas drugiej wojny światowej?

Ale wszystko, co ma początek, ma też i koniec, jak mówiła moja matka Rebeka Blumenfeld. I najczęściej, niestety, dobry początek – jak mi mówiła – wcale nie oznacza dobrego końca. Zły koniec zaczął się zaś od tego, że pewnego ranka po apelu z dwóch wojskowych samochodów marki Steyr wyskoczyło czterech cywilów w długich, skórzanych płaszczach, którzy szybko wbiegli po drewnianych schodach prowadzących do kancelarii. Był mroźny luty, ten sam luty, podczas którego najczęściej wymieniane na świecie nazwy geograficzne to Wołga i Stalingrad. Stałem w kącie wyprostowany w swoim szarym drelichowym ubraniu. Mężczyźni rzucali na mnie szybkie spojrzenia, a wymieniwszy szeptem słowo z Rzodkiewką, który wyraźnie zbladł, wyszli na zewnątrz.

Wkrótce zostały aresztowane trzy osoby – starszy mistrz Stachowicz i dwóch Rosjan. Ja marzłem na werandzie przed kancelarią, kiedy wyprowadzali aresztowanych. Utykający Stachowicz rzucił mi pobieżne, obojętne spojrzenie, jakby mnie nigdy nie widział, potem schylił się, by wepchnąć do samochodu swoje duże ciało.

Później, z urywkowych wypowiedzi oberlejtanta Brucknera, który czuł się unieszczęśliwiony i skompromitowany przed całą Rzeszą – od Wału Atlantyckiego, jak zwykł mawiać, po stopy rosyjskie – zdołałem zlepić obraz tego, co się wydarzyło. A zdarzyło się coś nieprawdopodobnego. Okazało się, że w ściśle poufnym i nie mniej surowo chronionym Obiekcie Specjalnym A-17 pracował w ukryciu radiowy aparat nadawczy utrzymujący stałą łączność z Berlinem – wiadomo, nie ze sztabem Wehrmachtu, lecz z innymi sztabami, domyślasz się. Urządzenie w postaci skrzynki na narzędzia wraz z jej elektroniczną

zawartością, dziełem Stachowicza o złotych rękach, było ukrywane w koksie oddziału kowalskiego. Po kilku miesiącach niezakłóconej pracy aparat nadawczy został namierzony przez nowy wynalazek niemiecki „pelengator”, który z genialną precyzją wykrył miejsce, gdzie się znajdował, a co było dalej, już wiesz. To, czego mój całkowicie zhańbiony naczelnik Bruckner nie mógł zrozumieć, odnosiło się do sposobu dostarczenia do obozu elementów, lamp, rozmaitych kondensatorów i oporników. Co do oporu, ale nie w sensie elektryczności, lecz w politycznymi, byłem już częściowo wprowadzony dzięki pewnej paczusce przekazanej mi przez niemieckiego maszynistę lokomotywy. Ta myśl mroziła krew w żyłach. Jeżeli aresztowani zaczną mówić, myślałem sobie, jestem skończony, a w czasie przesłuchania na gestapo bez najmniejszej wątpliwości narobiłbym w spodnie.

Wkrótce potem, podczas jednej z moich bezsennych i przepełnionych lękiem nocy, ponownie odwiedził mnie rebe Bendawid.

– Boisz się? – zapytał.

– Boję się – przyznałem.

– Nie wątpię, ale miejmy nadzieję, że oni nic nie powiedzą. A ty nie zostaniesz aresztowany i nie stracisz jedynej w życiu okazji zostania bohaterem. Ty na gestapo tak samo nic byś nie powiedział... i nie bądź taki zażenowany, nie dlatego, że jesteś mocny, lecz dlatego że nie masz nic do powiedzenia. Przecież maszynista nie pojawia się już na rampie, oby zbiegł w porę, więc i jego nie możesz zdradzić. Spij spokojnie.

– Czy warto było – spytałem – narażać trzy osoby na coś, co przynosi wątpliwe korzyści, coś, co nie powoduje nawet zadrapania karoserii ich czołgu, a w żadnym razie nie zadecyduje o wyniku wojny?

– Kto cię tak okłamał – odparł rebe – że o niczym nie decyduje? Ta skrzyneczka na narzędzia jest przewyciężeniem strachu, protestem przeciwko niewolniczej rezygnacji, sprzeciwieniem się pokusom konformizmu. Ci aresztowani, a także ów niemiecki maszynista, czyż nie są oni siewcami wiary, że światło nie na zawsze zgasło i że mężczyźni w Europie jeszcze nie wymarli?

– Wiem, że jestem słaby i gotów jestem to odkupić – rzekłem – ale czyż nie są oni siewcami wiatru, czymże bowiem jest jeden nędzny amatorski nadajnik radiowy, ukryty w kuźni, w porównaniu z potęgą ich armii?

– Powiem ci, czym jest: jest uporem niewolnika i wyzwaniem rzuconym bezdusznej, strzelającej stali.

Powiem też: to jest niczym i wszystkim, pokazaniem Führerowi figi, ale także przykładem potrzebnym słabemu, żeby uwierzył, że świat może się zmienić. Wtedy to nabierze nowego sensu i spełni się hasło znad bram obozów koncentracyjnych: „Każdemu według zasług”. Amen i szabat szalom, Icek!

Zdawało mi się, że nie zmrużyłem oka całą noc, ale obudził mnie bezlitosny dźwięk kawałka szyny, który obwieszczał narodziny jeszcze jednego obozowego dnia.

## 5

Pewne prawo natury – potwierdzone zarówno przez naukę, jak i przez wróżki – głosi, że wszechobecna nikczemność nie ma wolnego dnia. Lub inaczej mówiąc, kiedy spotka cię nieszczęście, wiedz, że nie przychodzi w pojedynkę, lecz za nim jak kacuszki za matką podążają następne. W naszym przypadku, jak się wydaje, niemałą rolę odegrał tu upadek prestiżu naszego „obiekty specjalnego” jako czegoś mocno osadzonego na doktrynie ściśle chronionej tajemnicy będącej podstawowym elementem bezpieczeństwa narodowego. Na sytuację wpłynęła też samotna bomba, przypadkowo czy też świadomie wypuszczona z

samolotu przez roztargnionego Amerykanina. Spadła około dwudziestu metrów od warsztatu tokarskiego, wybiła okna w sąsiednich barakach, a na podsumowanie efektu wojenno-strategicznego zrobiła „dziurę w morzu”. Ale kompetentne instancje dostrzegły w tej bombie złe zamiary i zdradę, co zdecydowanie nakazywało oczyszczenie naszego zespołu z trujących chwastów.

W ten oto sposób doszło do ustawienia w szeregu na placu przed komendanturą wszystkich Polaków, którzy stanowili prawie połowę składu osobowego obozu.

Drugą połowę, radziecką, pozostawiono w warsztatach dla podtrzymania produkcji. Będąc przynajmniej z dokumentów czystej krwi Polakiem, znalazłem się wśród zgromadzonych. Ku mojemu zdziwieniu nawet oberlejtant Bruckner nie znał celu i sensu przekazanego przez telefon rozkazu.

I tak, my staliśmy na placu, a Rzodkiewka na drewnianej werandzie przed kancelarią, jakby miał przyjmować paradę zwycięstwa. Spoglądał często na zegarek, sam zdenerwowany przedłużaniem się parady, ale udawał poinformowanego i pewnego siebie, nawołując od czasu do czasu do zachowania ciszy. Oczywiście natychmiast zadziałała plotkarska agencja informacyjna istniejąca w każdym dobrze zorganizowanym obozie, która poinformowała zainteresowanych, że prawdopodobnie będziemy zwolnieni.

Nic nie mogło być bardziej odległe od prawdy, jako że po półgodzinnym oczekiwaniu na zwolnienie, w nagrodę za uczciwą pracę dla Rzeszy byliśmy świadkami wtargnięcia dwóch wściekłych naczelników SS, którzy z nieodpowiednią do rangi gwałtownością wręczyli naszemu, całkowicie zmieszanemu komendantowi jakiś rozkaz na piśmie. Dotknięty do dna swej wrażliwej duszy oberlejtant Bruckner przytłumionym głosem rozkazał, byśmy się policzyli, a gdy to uczyniliśmy, wzdłuż szeregów szybko przeszli obaj zuchwali esesmani, brutalnie wyciągając krok do przodu co dziesiątą osobę.

Pękiesz ze śmiechu, ale dziesiątym okazałem się również ja – tak jak jest powiedziane, bo jeśli Jahwe, niech się święci Jego imię, rozporządził, żeby spotkało cię coś nieprzyjemnego, to nie ma sposobu, byś tego uniknął.

Rzecz była w tym, że na ulicach Warszawy został zastrzelony jakiś wielki niemiecki naczelnik i teraz potrzebowali stu Polaków jako zakładników. Domyślasz się: jeśli zabójcy nie poddadzą się do wyznaczonego dnia, o którejś godzinie zero zero, to tych stu Polaków rozstrzelają w słusznym i zupełnie zrozumiałym odwecie. Teraz w związku z zaistniałą sytuacją zapytuję cię: Co było lepsze – zostać Polakiem czy przyznać się, że jestem Żydem? Na to pytanie chyba nie ma odpowiedzi, ponieważ i w pierwszym, i w drugim przypadku szedłbym, jak to się mówi, na rozwałkę, ale osobiście wolałbym być polskim Żydem zamiatającym nowojorskie metro. Mój szef, oberlejtant Immanuel Johannes Bruckner, chwalał mu za to, próbował mnie wyciągnąć, dowodząc, że jestem mu potrzebny w kancelarii i tym podobne, ale to nic nie pomogło, toteż nowojorskie metro, niestety, pozostało tylko młodzieńczym marzeniem, dość odległym od ponurej rzeczywistości Oranienburga.

Tak więc sto osób upchnięto jak zapałki do i tak przeludnionych, wspólnych cel pewnego więzienia, w złowrogim budynku z nieotynkowanych cegieł, gdzieś w Berlinie. Byli tam Żydzi i Cyganie, jacyś Czarnogórcy cicho śpiewali smutne pieśni, byli też homoseksualiści i inne szkodliwe dla Rzeszy istoty. Ponieważ my, stu nieuwzględnionych przez kuchnię Polaków, spadliśmy na głowę więziennego zarządu, zapomniano nas nakarmić, być może z nadzieją, że nie będzie takiej potrzeby. Zmęczony ciężkim i wypełnionym niepokojem dniem, wyczerpany drogą w ciężarówkach, do których wtłoczono nas tak gęsto, że nie mogliśmy nawet przysiąść, prędko zasnąłem zwinięty na podłodze – pryczy nie było, nie mówiąc już o doskonałym, żelaznym łóżku jak w kancelarii.

I oto, co się wydarzyło, bratku mój: śniło mi się, że byłem w rodzinnym Kołodźcu na żydowskim weselu, gram na skrzypcach, a rabin Szmul Bendawid obrzezywał chichoczących żydowskich chłopców. Wszyscy byliśmy szczęśliwi i śpiewaliśmy żydowskie pieśni.

Nasi dobrzy sąsiedzi w uszytych przez mojego ojca kaftanach klaskali w takt, a pośrodku utworzonego przez ludzi koła listonosz Awramczyk i Estera Katz tańczyli krakowiaka, przytupując ciężkimi butami. Okazało się, że tupot nie pochodził od butów, to nadzorca stukali kluczami w hałaśliwie otwierające się drzwi cel i krzyczeli: *Juden raus!*, co znaczy „Żydzi wychodzić!”. A ja, ciężki idiota, jeszcze zaspany i odurzony, całkowicie zapominając, że jestem polskim panem Henrykiem Brzegalskim, portierem lwowskiej oftalmologii, oszołomionym hucznym weselem galicyjskim, wyszedłem na zewnątrz wraz z pozostałymi Żydami. Wzdłuż oświetlonego gołymi żarówkami, niekończącego się korytarza gromadzili się przestraszeni i senni ludzie z sąsiednich cel, i chyba tylko ja jedyny nie miałem tej żółtej, płóciennej gwiazdy na piersiach. Uświadomiłem to sobie za późno. Chciałem wyjaśnić widoczne nieporozumienie, pokazując nawet polską legitymację, ale drzwi już się zamykały: „Ruszać, ruszać, nie guzdrać się!”. W podobnej sytuacji żadne dokumenty nie pomagały, a ja przyznałem się, że jestem Żydem samym już wyjściem z celi, toteż straż niewątpliwie podzielały pogląd radzieckiego oskarżyciela państwowego Wyszyńskiego, że samoprzyznanie się – uzyskane wprost czy też wymuszone, niezależnie od sposobów – jest królową dowodu.

Zbędne było przeciwstawianie się, ponieważ powiedziane jest i siedem razy po siedem udowodnione, że bycie Żydem jest dożywotnią karą bez prawa łaski!

Ponownie wepchnięty do bydłowego wagonu zrozumiałem, że tym razem deportują nas do obozu Flossenbürg, w Górnym Palatynacie, w którym wybuchła epidemia tyfusu, a od nas oczekiwano zatroszczenia się o zmarłych braci, z którymi dzieliliśmy los. Bardzo wzruszające! Przynajmniej w ten sposób wyjaśnił nam problem naczelnik transportu, jakiś gruppensturmführer, żeby zapobiec panice i próbom ucieczki. Innymi słowy, szliśmy na pewną zgubę do piekła tyfusu we Flossenbürgu i co do tego nie było żadnych wątpliwości.

Teraz zaś, bracie, ponownie przypomnę ci, że człowiek jest bezsilną mróweczką w potężnych i nieodwracalnych rękach losu i że tej mróweczce nie jest dane osądzić, czy spadłe na nią nieszczęście to kara Boża czy też Jego tajna pieszczota. Ponieważ tej samej nocy rozstrzelano dziewięćdziesięciu dziewięciu polskich zakładników przywiezionych z Obiektu Specjalnego A-17, o czym dowiedziałem się po wojnie. Setnego, według starannie sprawdzanego spisu, i tak nie odkryto – a byłem nim ja, Izaak Jakub Blumenfeld – jako że wówczas jechałem już do dalekiego Górnego Palatynatu.

## 6

Gdy przekraczaliśmy bramę obozu znajdującą się między dwiema kwadratowymi wieżami z cegły, nad naszymi głowami widniał półkolisty napis z metalowych liter zawierający sakramentalne słowa: *Jedem das Seine*, byliśmy zmarnowanym i wynędzniałym tłumem, otoczonym przez żołnierzy z psami.

A teraz, proszę cię, wybaw mnie od wspomnień ciężkich jak stutonowy odlew żeliwny i konieczności opisywania piekła, do którego trafiliśmy! Wielu przede mną opisywało je na pewno lepiej, niż mógłbym uczynić to ja. Minęły czasy pierwszych wstrząsających odkryć, przebrzmiały też owe fale przerażenia, które po wojnie jak tsunami zalewały sumienie świata. Zużyto miliony metrów taśm filmowych i fotograficznych, zgromadzono góry akt sądowych i wspomnień, w których każdy widział, jak przez dziurkę od klucza, prawdę własnych przeżyć. Profesją stała się systematyzacja zapisów przyznawania się skruszonych i wykrętów nieskruszonych katów, uporządkowano i ponumerowano protokoły i zapisy stenograficzne, którym towarzyszył zdławiony płacz ocalałych ofiar, a na tym płaczu jedni wzniesli imponujący i niewidzialny panteon Holokaustu, inni natomiast zbudowali sobie całkiem realne wille z basenami i dwiema antenami satelitarnymi. Słowa takie, jak „cyklon B”,

„komora gazowa” lub „ostateczne rozwiązanie” stopniowo traciły swą początkową, demoniczną nieprawdopodobność, stając się powszednim składnikiem beznamiętnych artykułów gazetowych z okazji rocznic. Krótko mówiąc, wybaw mnie, proszę, od wymogu kompletnego opowiadania – czego przy pisaniu wypracowań uczył nas Eliezer Pinkus, niechaj spoczywa w pokoju – i tego, bym powtarzał rzeczy, znane ci do bólu, które być może już nawet ci się sprzykrzyły.

Powiem tylko, że tyfus przybrał rozmiary pandemii, z czym władze obozowe miały nie lada problem, jako że obóz Flossenbürg nie był technologicznie przygotowany do uporania się z tak dużą liczbą zmarłych, nie był również tak perfekcyjny jak wielkie, niemieckie fabryki śmierci w Polsce. To narzucało konieczność układania ludzkich ciał w stosy, których rozmiaru pozazdrościłaby nawet święta inkwizycja w najwspanialszym okresie swego istnienia. Benzyna zmieszana z zużytym olejem silnikowym kończyła sprawę, a ogromne słupy dymu i sadzy wznosiły się do innego świata, by i tam mogli się dowiedzieć, jak daleko zaszła ewolucja ziemnowodnego zwierzęcia, które kiedyś wczołgało się do jaskini, a stamtąd już na dwóch nogach wymknęło się, by namalować portret Mona Lizy i skomponować *IX Symfonię*. Niedopalone szczątki spychano buldożerami do ogromnych rowów, a piaszczysta ziemia dyskretnie i na zawsze zamykała w sobie wiele losów, śmiechów, ambicji, lumbago, „kocham cię”, „co dostałeś z geografii” lub „co napisała ciocia Liza”. Zegnajcie, bracia, spoczywajcie w pokoju!

Ja zaś i trzech jeszcze Żydów z Zagrzebia pchaliśmy dwukółkę z trupami, a były to prawie szkielety, ułożonymi jeden na drugim. Z drewnianych ram wózka niczym połamane gałęzie sterczały ręce i nogi. Najbardziej przerażający był jednak fakt, że prędko zamieniłem się w tępego tragarza, który przestał odczuwać jakkolwiek grozę i przyzwyczaił się do pracy, podobnie jak moi dawni towarzysze z Obiektu Specjalnego A-17 byli przyzwyczajeni do pchania wagonetek z żeliwnymi odlewami.

A jednak moja dusza prawdopodobnie nie była tak całkiem martwa, ponieważ tam, wśród tłumu chorych, umierających i martwych, pośród jęków i smrodu spotkałem, klnę się, że to było dokładnie tak – mojego drogiego rebego Szmula Bendawida, ów ostatni kiełek wzruszenia, cudem ocalały w zwojach obojętności, rozkwitł więc jak peonia. Rebe pełnił funkcję lekarza. Nie mógł oczywiście nikogo wyleczyć, ale mógł za to ulżyć cierpieniom raz dobrym słowem, kiedy indziej znów kompresem lub starą, dobrą modlitwą. Tak więc, pośród skazanych – sami będąc skazanymi – mogliśmy widzieć się krótko, toteż nie wiem, czy te przelotne spotkania przynosiły mi więcej radości czy smutku. Rebe przeżył tyle ciężkich doświadczeń, że gdybym był pisarzem, opisałbym to w powieści. Przemknął do okupowanego Kołodźca, by się dowiedzieć, że wszyscy, dosłownie wszyscy nasi bliscy zostali deportowani bądź rozstrzelani jeszcze tam, nad rzeczką przy parowie, który tak bardzo lubiłem. Co się stało z Sarą i dziećmi, nie mógł się dowiedzieć, gdyż zamiast uciekać na wschód, przebił się aż do Warszawy, gdzie próbował się dostać do okrażonych i walczących na śmierć i życie na Muranowie, czyli w warszawskim getcie, i tam został aresztowany. Uratował go fałszywy dokument, że jest polskim lekarzem, ordynatorem, i jako taki znalazł się tutaj, żeby pomagać tym, co umierali mu na rękach.

Od rebego Bendawida, który sam był skórą i kośćmi, otrzymałem siłę lub, jak sam kiedyś mówił – dwie garście nadziei jak wody źródlanej. Od niego dowiedziałem się, że alianci są już w Europie, a wojska radzieckie przeszły Odrę i podążają naszą niegdysiejszą drogą ku sercu tysiącletniej Trzeciej Rzeszy.

– Zemsta – powiedział raz rebe, unosząc się znad zmarłego mu na rękach – jest czymś obcym dla wiary w dobro, powinna zostać wyrwana z serca ludzkości, chociaż właśnie teraz wybije jej godzina. I niech Jahwe da naszym duszom siedem dni, tylko siedem dni spokoju dla martwych u żywych. Siedem strasznych dni, siedmioro ognistych jeźdźców odwetu, a każdemu według zasług! Jednak tylko siedem dni! A potem niech popiół pokryje wszystko i

niech trawa wyrośnie na popiele. Ponieważ znów muszą się rodzić dzieci, rodzić się w dobroci i pokoju, znów siewcy muszą siać zdrowe ziarna na chleb dla ludzi. Ale przedtem niech się spełni to, co zostało powiedziane, każdemu według zasług. Amen!

Tak powiedział były przewodniczący Klubu Ateistów w Kołodźcu koło Drohobycza rebe Szmul Bendawid, a jego dobre oczy uległy rozszerzeniu, stając się straszne i złe. W jego rękach leżało martwe podobieństwo człowieka i być może słowa te były zaklęciem i modlitwą o spokój dla duszy zmarłego.

## 7

Świat pełen jest niespodzianek i gdyby były tylko przyjemne, to jego stworzenie okazałoby się wspaniałym i zasługującym na pochwałę pomysłem Boga. Lecz niestety, nie zawsze tak jest, bo nasz świat – niechaj Stwórca się nie obraża – pełen jest dziur i pęknięć, choć ani Polacy, ani Rosjanie nie brali bezpośredniego udziału w jego odlewaniu. Pewna przykra niespodzianka, jak maleńka dziurka w doskonałości stworzonego świata, ujawniła się w chwili, kiedy pchając wózek załadowany po brzegi zmarłymi, usłyszeliśmy wołający za nami po niemiecku głos:

– Hej, wy tam, zaczekajcie!

Ja i trzej z Zagrzebia natychmiast zatrzymaliśmy się, ślepe podporządkowanie się jakimukolwiek rozkazowi wygłoszonemu przez kogokolwiek po niemiecku było zasadą bezwarunkową. I jeszcze jedna zasada, do której tak dawno się przyzwyczailiśmy, że stała się naszą drugą naturą, czymś w rodzaju niedającej się zmyć czarnej pajęczyny na rękach starszego mistrza Stachowicza, a stanowiło ją patrzeć na oficerki zwierzchników, nigdy w oczy – przywilej ludzi, którego nas pozbawiono z powodu jakichś wątpliwości antropologów co do naszej rasowej pełnowartościowości, a nawet przynależności do gatunku *Homo sapiens*.

– Ty – powiedziały oficerki. – Popatrz na mnie!

Wszyscy czterej podporządkowaliśmy się rozkazowi. Przed nami stał nabity, tęgawy sturmführer nie pierwszej już młodości, wskazując na mnie palcem.

– Ty, chodź no tutaj, ale nie zbliżaj się. Wy trzej, idźcie dalej. Ruszać się, ruszać się, ruszać!

Zbliżyłem się na bezpieczną, można by rzec, sterylną odległość, tamci trzej ciągnęli ciężar dalej, a ja, utkwiwszy bydlęcy wzrok w błyszczących oficerkach, obojętnie oczekiwałem kolejnego ciosu przeznaczenia, dla którego nie byłem niczym więcej aniżeli bokerskim workiem.

– Skąd ja cię znam? – zapytał sturmführer.

Spojrzałem na niego znowu, nie wydał mi się znajomy. Wzruszyłem ramionami.

– Nie mam pojęcia, panie sturmführer.

On zaś zamyślił się, zmarszczył brwi, a potem twarz mu się rozjaśniła.

– Oczywiście, że wiem! Jeśli ktoś z pułku odcisnie się w mojej pamięci, to na zawsze. Czyż nie ty byłeś owym obrzydliwym żydowskim bękartem, który robił numery w czasie pierwszej wojny światowej i rozpowszechniał różne ulotki? Czy pamiętasz porucznika Schauera? A swego feldfebla? Popatrz mi w oczy!

Mój Boże, Zuckerl! Jak miałem go poznać po tylu latach, tym bardziej że zgolił swe potężne jak cesarstwo austro-węgierskie bokobrody a la Franciszek Józef, a na ich miejsce przykleił do górnej wargi tylko mały kosmaty kwadracik modnej linii „Mein Führer”! Do innych moich nieszczęść doszło teraz i to, że, jeśli pamiętasz, moja osoba była emocjonalnym centrum, można by rzec, epicentrum jego złości związanej z całkowicie nieuzasadnionym podejrzeniem, że to ja osobiście podpisałem kapitulację naszej niezwyciężonej armii w lesie

Compiegne, w tym samym samotnym i zamienionym na muzeum wagonie, w którym podczas obecnej wojny Francuzi z kolei narobili w majtki, pomimo stanowczej wskazówki, by takich rzeczy nie robić w czasie postojów. Z drugiej strony, jeśli pamiętasz, ja nie miałem nic wspólnego z ulotkami Estery Katz. Nawet zwierzchnictwo policyjne stwierdziło w sposób bezsporny moją niewinność, ale widocznie Zuckerl miał rację, mówiąc, że gdy coś się przyczepi do zwojów jego mózgu, to na zawsze.

Prawdopodobnie iskierka, która błysnęła w moich oczach, pozwoliła mi zrozumieć, że domyśliłem się, kim jest, ponieważ, ryzykując życie, mój były feldfebel wyciągnął rękę i uszczypnął ową cieniutką jak pergamin skórę, która pozostała mi na policzkach.

– *Bist du aber süß!* Chodź ze mną!

Rozkaz wydał z lodowatym, złym wzrokiem, machnął ręką i gwałtownie odwrócił się, nie spojrzawszy nawet, czy za nim podążam – to rozumiało się samo przez się. Powlokłem za nim nogi w poszarpanych butach z wyciągniętymi językami, już dawno pozbawionych sznurowadeł. A szare, drelichowe ubranie, resztki z gwiazdnych chwil w kancelarii Rzodkiewki, zamieniło się już w łachmany powiązane – wstyd dla zakładu krawieckiego „Mode parisienne” – w jednym miejscu sznurem, w innym drutem, z obowiązkowym żółtym trójkątem z płótna, odprutym z ubrania nieboszczyka, chociaż ja sam byłem prawie nieboszczykiem, który nie pamiętał, kiedy ostatnio dostał rzadką, sfermentowaną breję ze zgniłych ziemniaków i kapusty.

Długo potykałem się za idącym rażnym i dziarskim krokiem moim byłym feldfeblem, mając jasną świadomość, że jest to ostatni odcinek drogi zwanej życiem. Zuckerl zatrzymał się przed długim, jednopiętrowym budynkiem z mnóstwem drzwi i zaczął szperać w kieszeniach bryczesów, zanim znalazł odpowiedni klucz. Dopiero wtedy popatrzył na mnie tym samym złym spojrzeniem i dał mi znak głową, bym wszedł za nim do środka.

Nie, to nie był karcer ani komora gazowa, jak być może myślisz, lecz najzwyczajniejsza kancelaria. Zuckerl usiadł przy zawalonym papierami biurku pod portretem Führera, a ja stałem w obojętnym oczekiwaniu. Kancelaria była po wojskowemu ascetyczna, brakowało w niej jakichkolwiek zbędnych rzeczy, które potrafiły się znaleźć w kancelarii Rzodkiewki, na przykład żelaznego łóżka czy biblioteczek z powieściami, którymi wypełniałem sobie czuwanie podczas anglo-amerykańskich nalotów. O ile mnie jednak nie myliło wspomnienie o moim byłym feldfeblu, myślę, że nie potrzebował on powieści, gdyż jego zainteresowania w zupełności zaspokajała treść statutu wojskowego oraz regulaminu porządku wewnętrznego, a opartą o okienko w charakterze dekoracji książeczkę *Mein Kampf* pewnie przeczytał w takim stopniu, w jakim większość chrześcijan czyta Ewangelię lub marksista *Kapitał*. Zuckerl obserwował mnie ciężkim wzrokiem i po dłuższym rozmyśleniu, zapewne starając się obudzić uspione wspomnienia, jak to głoszą słowa pewnego tanga, powiedział...

– A wy, Żydzi, co sobie myślicie, że już wygraliście wojnę? To się nie zdarzy! Czy jasne? Ciebie się pytam... czy jasne?

– Tak jest, panie feldfeblu...

– Sturmführer!

– Tak jest, panie sturmführer, jest jasne. To się nie zdarzy.

– Czy słyszałeś o nowej, tajnej broni Führera?

– Nic a nic, panie sturmführer.

– Usłyszysz.

Rozpiął kaburę, ale nie wyjął stamtąd tajnej broni, lecz najzwyczajniejszy pistolet Walther. „Koniec” – pomyślałem obojętnie. „To koniec”. Ale nie był. Zuckerl bowiem złapał pistolet za lufę i rękojeścią stłukł orzecha, a obserwując mnie, zaczął głośno żuć. Niespodziewanie zaś wyrzekł prawie czułym głosem:

– Jeśli byłem surowy wobec ciebie, to po to, byś został człowiekiem. Wprawdzie do koszar przychodzicie jako bydła, to jednak wyjść musicie jako ludzie. Czy nie tak?

Miałem nieco odmienne zdanie, ale obóz Flossenbürg nie stanowił forum do podobnych dyskusji, toteż przytaknąłem małodusznie:

– Całkowita prawda, panie sturmführer.

– No, no, ale czy ty stałeś się człowiekiem? Czy zostałeś chociaż starszym szeregowcem?

– Przykro mi, ale nie zostałem.

– Tak? E, po co więc były dwie wojny, jeśli człowiek nie otrzymał choćby jednej naszywki. Po co były te wojny, pytam cię. Wy, Żydzi, jesteście w ogóle niedołęgami, do niczego się nie nadajecie. Czyż nie jest tak?

– Tak jest – odparłem posłusznie.

Popatrzył na mnie z pogardą, nawet z lekkim obrzydzeniem, ponieważ ja byłem obszarpanym i brudnym, prawdopodobnie cuchnącym padliną i karbolem pół-człowiekiem ze szpakowatą, czerwonawą brodą i przyklejonymi do niej resztkami kapusty. I dokładnie w tej chwili zdarzyło się coś, czego najmniej oczekiwałem: Zuckerl otworzył boczne drzwiczki biurka i gniewnie położył na teczkach kwadratowy jak cegła, bochenek chleba razowego, a na nim porządny kawałek wędzonej słoniny.

– Bierz i znikaj! I jeśli jeszcze raz pokażesz mi się na oczy, wyślę cię, wiesz gdzie!

Domyślałem się mniej więcej, ale nawet nie próbowałem odgrywać scen heroicznej godności lub nieprzekupności, lecz szybko ukryłem pod obszarpanym drelichem nowo zdobyty skarb i, zgodnie z rozkazem, zniknąłem.

Wstydę się ci o tym mówić, ale po kryjomu podzieliłem się zdobyczą jedynie z moim rebem – porwaliśmy wszystko na kawałki, chowając je do kieszeni, utykając w pryzach i gdzie indziej, a jedliśmy okruszek po okruszku, z wyjątkiem porcji dzielonych ze szczurami, od których w obozie aż się roiło. W odróżnieniu od świata zewnętrznego, gdzie ludzie żyją w społecznościach, choć każdy umiera sam, tutaj umieraliśmy kolektywnie, ale każdy się ratował pojedynczo. Wstyd powiedzieć, ale tak było zarówno wśród ludzi, jak i szczurów.

Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jaki to śmiertelny grzech popełnialiśmy, jedząc słoninę zakazaną przez naszą wiarę! Tak było, spowiadam się szczerze i być może w dniu Sądu Ostatecznego będziemy odpowiadać za to, że stawialiśmy swe żałosne życie wyżej Testamentu. Ale w końcu, czy nie poddał się tej samej grzesznej pokusie i rabin Ben Cwi, który obejrawszy się, wszedł do chrześcijańskiej wędliniarni, ujrzał na ladzie różową i soczystą praską szynkę, więc zapytał:

– Ile kosztuje kilogram tej ryby?

– To jest szynka, proszę pana – powiedział sprzedawca.

– Nie pytam, jak się nazywa ta ryba, lecz ile kosztuje!

Sturmführer Zuckerl rozkazał, bym mu się więcej nie pokazywał na oczy, a jednak pokazałem się, ale trochę później – kiedy go zobaczyłem powieszonoego na wieży strażniczej, gdy amerykańskie czołgi rozganiały bramę z ułożonym w półkole napisem „Każdemu według zasług”. Nie wiem, czy Zuckerl sam się powiesił, czy też dościgły go owe straszne siedem dni odwetu. W każdym razie zapamiętałem chleb i słoninę, które być może pomogły nam ocaleć, i odmówiłem modlitwę za jego duszę.

## 8

Objęliśmy się z rebem Bendawidem i popłakaliśmy się – dwa cienie, które kiedyś były ludźmi, w obwisłych łachmanach, które kiedyś były ubraniami – a za ceglana wieżą jakiś amerykański żołnierz wymiotował, w ojczystej Oklahomie nie widział takich stosów z na wpół spalonych i wciąż dymiących ludzkich ciał. Prawdopodobnie w tym samym czasie



gdzieś w Treblince, Auschwitz lub Majdanku wymiotowali radzieccy żołnierze, którzy uwierzyli Maksymowi Gorkiemu, że „człowiek – to brzmi dumnie”.

W obozie krzątały się amerykańskie pielęgniarki i zakonnice z jakiegoś samarytańskiego zakonu, na noszach wnosiły umierających, tu i tam wyprowadzano aresztowanych esesmanów, brzęczały kamery filmowe, pstrykały aparaty fotograficzne.

Jakiś amerykański major uroczyście wspiął się na swój czołg, chcąc obwieścić nam coś, zapewne ważnego i wzniosłego, tak bowiem wyglądał, ale ja tego nie usłyszałem – zimna ciemność przebiegła mi przez mózg i zwałem się na ziemię. Tak to wielką tajemnicą pozostaje ludzka wytrzymałość, gdyż nie poddaje się prawom biologicznym kierującym komórką, a wręcz odwrotnie – całkowicie im się przeciwstawia, podporządkowując się zupełnie innym, irrealnym, metafizycznym właściwościom duszy albo, jakby powiedział rebe, jej uporowi. Słyszałem o chorych na trudno uleczalne choroby, powiedzmy na malarię bądź paroksyzmy, którzy w czasie ogromnych fizycznych i emocjonalnych napięć ani razu nie byli nawiedzani przez skądinąd periodyczne jak z wybiciem zegara symptomy swego niedomagania. Natomiast pierwszego dnia, gdy tylko zostawili za sobą bramę obozu lub więzienia, ludzie ci opadali z sił i wszystko zaczynało się na nowo – jakby choroba, miłosiernie udawszy się na czasowy urlop, rzeško brała się do roboty – wówczas następował pierwszy od lat atak lub też malaria o egzotycznej nazwie „tercjana” przypominała sobie, że dawno nie dręczyła pedantycznie regularnymi jak morskie przyptywy i odpływy gorączkami, które zdolne były usmażyć jajka w dłoniach chorego.

Otworzyłem oczy i rozejrzałem się, nie ruszając głową: znajdowałem się w jakiejś żółtej chmurze, światło płynęło strumieniami dosłownie zewsząd i od tego światła bolały mnie gałki oczne, bolało mnie wszystko, każdy nerw, każdy atom ciała. Spróbowałem podnieść rękę, by zasłonić tę żółtą jasność, ale ona była nieruchoma i ciężka jak ołów.

Potem zobaczyłem siebie – nie uwierzysz, ale przyrzekam, że tak było – zobaczyłem siebie z wysokości ceglanej, kwadratowej wieży, gdzie jeszcze kołysał się kawałek drutu elektrycznego, na którym wcześniej – kiedy wcześniej... wczoraj, rok temu, sto lat temu? – wisiało ciało sturmführera Zuckerla, zobaczyłem siebie leżącego na łóżku polowym w ogromnym żółto-pomarańczowym namiocie sanitarnym z dwoma czerwonymi krzyżami. Jak mogłem być równocześnie na górze, na wieży i zarazem widzieć siebie z punktu widzenia Zuckerla wewnątrz namiotu, nie wiem, ale tak było – widziałem swoją rękę, nieruchomą i ciężką, ponieważ przywiązana była rzemykiem do polowego łóżka, a przezroczystą rurką do jej żył sączył się, kropla po kropli, jakiś płyn błyszczący i żółtawy – być może z powodu spływającego zewsząd żółtego światła, a być może to kolor życia, nie wiem.

Dopiero gdy rzeczy zaczęły przybierać realne kształty i mogłem poruszyć głowę, opuściłem się z wieży i zobaczyłem rebego Bendawida, który siedział na rozkładanym stołku, utkwivszy we mnie zatroskany wzrok.

– Jak się czujesz? – zapytał.

Poruszyłem splekanymi ustami na znak, że słyszałem, że jestem tutaj, że jestem żywy, ale nie mogłem nawet wydać głosu. Rebe zmoczył chusteczkę w aluminiowym garnuszku i zwilżył mi nią usta, a potem też płonące od gorączki czoło. Wyciągnąłem wolną rękę i położyłem ją na jego kolanie, odzianym w podarte, drelichowe spodnie. Zrobiłem to prawdopodobnie w poszukiwaniu pewności i oparcia, a mój rebe pogłaskał mnie po dłoni. Potem znowu utonałem w ciemności bezdennej i bezkresnej.

Czas ponownie utracił swoje wymiary, nie pamiętam, ile to razy obserwowałem siebie ze szczytu ceglanej wieży, by z powrotem schodzić do swego ciała w namiocie. Moje myśli, porwane na strzępy, ślizgały się po powierzchni świadomości jak po gładkim lodowcu, toteż ani jedna nie mogła wczepić się w coś, w jakąkolwiek chropowatość, żeby nie upaść głęboko i nie utonąć w ciemnościach. Ja jednak uparcie trzymałem się jednej jedynej myśli, ponieważ odpowiedź była mi potrzebna: Czy byłem żywy? I dlaczego znajdowałem się równocześnie i

wysoko na wieży przy drucie Zuckerla, i na dole wewnątrz namiotu? Z wysokości beznamytnie obserwowałem, jak lekarz w białym fartuchu nałożonym na mundur wojskowy obsłuchiwał mi serce i płuca lub jak mój rebe próbuje wlać łyżkę bulionu pomiędzy moje spazmatycznie zaciśnięte zęby. Ślizgałem się po lodowcu, który był, ma się rozumieć, zimny, drżałem na całym ciele, choć wyraźnie czułem, że oblewam się potem.

Pewnej nocy, podczas oślepiającej pełni księżyca, siedziałem na wieży, pode mną zaś Zuckerl kołysał się na wietrze i gwizdał coś z *Wesołej wdówki*. W takie bezchmurne noce samoloty anglo-amerykańskie nie latały, księżyc był przezroczysty, a ja czułem się lekki i bezcielesny, czułem się dobrze i byłem spokojny. Nie zauważyłem, kiedy mój były feldfebel przysiadł się do mnie, rozluźnił pętlę na szyi, przyjacielsko klepnął mnie po plecach i powiedział:

– Czy wiesz, dlaczego cię kocham? Dlatego, że jesteś obrzydliwy żydowski bękart!

Szczęśliwy roześmiałem się.

– Taki jestem!

– A teraz, czy my obaj, ja i ty, jesteśmy martwi?

– Oczywiście – odpowiedziałem mu, wciąż będąc taki szczęśliwy.

– Przyjemnie jest być martwym – w uniesieniu powiedział Zuckerl.

– Nawet bardzo, panie feldfeblu.

– Sturmführerze!

– Chcę powiedzieć, że wspaniale jest być martwym, panie sturmführerze. Obaj widzieliśmy dużo śmierci, wywoziliśmy śmierć, paliliśmy benzyną i zakopywaliśmy śmierć. Teraz na nas kolej i myślę, że jest to sprawiedliwe.

– Naturalnie – z ochotą zgodził się Zuckerl. – Czyż nie zostało powiedziane: „Każdemu według zasług”?

Była piękna i cicha noc, ale musiałem przeprosić Zuckerla i zejść na dół do swego ciała, ponieważ właśnie wbijali mi w tyłek jeden z owych wstrętnych i bolesnych zastrzyków, po których przez kręgosłup do mózgu napływało ciepło, co mnie budziło i wymiotowałem zieloną goryczą.

Otworzyłem oczy i wyszeptalem: „Wody”. To zdaje się był też koniec mojego męczącego ślizgania się po lodzie oraz kres błogich nocy na szczycie wieży w towarzystwie kołyszącego się Zuckerla. Zdziwiony obejrzałem się, by zobaczyć nad sobą rozmazaną twarz rebeego Bendawida.

– Czyja żyję? – wyszeptalem z trudem.

– Na pewno – powiedział rebe – ponieważ martwi nie zadają idiotycznych pytań.

– Ale ja byłem martwy – powiedziałem.

– Prawie. Ale nie całkiem.

– Sądzę, że całkiem. Ponieważ dusza opuściła moje ciało i obserwowała wszystko z góry, ze szczytu wieży, obok powieszzonego Zuckerla.

Rebe cicho się zaśmiał.

– A co widziała twoja dusza ze szczytu wieży?

– Wszystko. I mnie, i ciebie, i lekarzy. I tego anioła całego w bieli, z białą aureolą i krzyżem na piersiach, który przyszedł mnie zabrać.

– Aj, aj, Icek, śnią ci się chrześcijańskie sny!

– To nie był sen – zaprotekowałem.

Rebe próbował coś sobie przypomnieć, po czym zapytał:

– A czy twarz tego anioła nie była całkiem czarna?

– Nie wiem, być może. Nie widziałem jej.

– Ponieważ aniołowie z pól bawełnianych znad Missisipi mają czarne twarze. Twój anioł ma nawet na imię Angela, sierżant z kompanii sanitarnej.

– Siostra Angela... Jeśli tak, to dlaczego byłem jednocześnie i tutaj, i na szczycie wieży?

– To był sen twojej duszy, Icek. Jedynie sen, dla kurażu. Ponieważ każdy śmiertelnik jest na swój sposób próżny i chce, żeby po nim zostało coś trwałego i nieprzemijającego, jeśli nie piramida, to przynajmniej nieśmiertelna dusza. Ale nawet piramidy zostają obrabowane na długo przed końcem wieczności. Po śmierci nie zostaje nic, przykro mi. Ani u ludzi, ani u robaków, które podporządkowane są tym samym właściwościom życia, jak powiedział Eklezjasta. Teraz śpij mój chłopcze i niechaj więcej ci się nie śni Zuckerl.

Znacznie później, obudziwszy się kolejny raz, kiedy poczułem się o wiele lepiej, zapytałem Bendawida:

– Kiedy wrócimy do Kołodźca?

Rebe milczał chwilę, widocznie wahał się, czy mi o czymś powiedzieć, aż wreszcie rzeki:

– Icek, ty musisz pójść do szpitala. Siostra Angela zatroszczy się o to. A do Kołodźca na razie pojedę sam.

– Zostawiasz mnie?

– Wszyscy jesteśmy spleceni w łańcuch, żywi i martwi, winni i niewinni, a żadne ogniwo nie może wypaść z łańcucha. Kocham cię, Icek, ale muszę iść, mam siedem razy po siedem rachunków do załatwienia i siedem razy siedem tysięcy martwych do powtórnego pogrzebu. Muszę poznać wszystkie prawdy, wypowiedzieć wszystkie przekleństwa i wszystkie modlitwy. Inaczej jaki byłby sens tych przeżytych doświadczeń? Zostań, ja powiem ci, kiedy masz wrócić, i czy w ogóle musisz wracać. Albowiem owoce próżnych nadziei bardziej są gorzkie od najsmutniejszej prawdy.

Wyciągnąłem bezsilną rękę, chwyciłem rebe go za dłoń, uściśnąłem ją, a po policzku spłynęła mi jedna jedyna, samotna łza.

I tak, bracie mój i cierpliwy czytelniku, jedni zabrali się z eszelonami wojska na wschód, do spopielonych domostw, inni wyruszyli na zachód ku nowym brzegom. Kto zbłądził, a kto miał słuszność? Nie wiem, prawdziwi i czyści pozostali jedynie martwi, oby Bóg dał im schronienie w swym niezmiernym królestwie.

# PIĄTA KSIĘGA IZAAKOWA

Sznat szmita, *wszystko od nowa.*

*O czarnym słońcu i białych nocach*

## 1

Czyś widział kiedyś idiotę, który starannie buduje dom, maluje go, sadzi trzy sosenki pod oknem, a na oknie wiesza zasłonkę w niebieskie kwiatki i stawia doniczkę z pelargonią? A napatrzywszy się z zadowoleniem na swoje dzieło, zaczyna go systematycznie burzyć, aż z niego nie zostanie kamień na kamieniu. Wówczas on, idiota, ogłasza dzień ostatecznego zburzenia domu wielkim świętem rodzinnym, puszcza w niebo fajerwerki, podczas gdy jego sąsiedzi długo jeszcze będą wyjmować z zupy kawałki cegieł i pluć zaprawą murarską. Coś podobnego uczynili również i owi koledzy, którzy dostarczyli Hitlerowi i jego dziełu *Mein Kampf* materiały budowlane, dali mu pieniądze na zasłonkę w niebieskie kwiatki, a nawet ofiarowali mu doniczkę z pelargonią. Było ich mnóstwo, tych dobrodziejów, czynili to raz dyskretnie, raz bardziej otwarcie, ale każdy z własnymi subtelnymi pomysłami i nadziejami. Potem wszyscy razem pogniwiali się na niego z powodu coraz częstszych przejawów nieposłuszeństwa, połączyli się i zburzyli domek za cenę pięćdziesięciu milionów zabitych.

Podobne zdarzenie miał Mendel, który jechał w wagonie trzeciej klasy z Berdyczowa do Odessy. W przedziale, przed oczami ciekawskich współpasażerów, zdjął z półki koszyk, położył na kolanach serwetkę oraz talerz i starannie zaczął pracować. Poćwiartował gotowanego kurczaka, obrał i drobno posiekał szczyrykiem jajko ugotowane na twardo, pokroił dwa ugotowane ziemniaki i buraczki, znalazł w koszyku cebulę, musztardę, sól i wszystko, co potrzebne. Następnie całość dobrze wymieszał, polał olejem rzepakowym z płaskiej buteleczki, w której kiedyś znajdował się syrop na kaszel, położył dla ozdoby gałązkę pietruszki, napawał się jakiś czas wyglądem swego dzieła, podczas gdy obecni przy tym pasażerowie przeżykali ślinę. Potem Mendel opuścił szybę okna i wyrzucił wszystko na zewnątrz, wytarł talerz, włożył go do koszyka, a koszyk postawił na półce tam, gdzie było jego miejsce. Ziewnął i zapatrzył się na druty telegraficzne.

Jeden ze zdumionych współpasażerów zdecydował się wreszcie zapytać:

- Przepraszam, ale co pan zrobił przed chwilą?
- Sałatkę po żydowsku z kurczakiem.
- A dlaczego pan ją wyrzucił za okno?
- Och, bo nie ma na świecie niczego, czego bym bardziej nienawidził niż sałatka po żydowsku z kurczakiem!

Tak to było z Mendlem, a co do niegdysiejszych inwestorów, którzy zburzyli domek i świętowali ów akt fajerwerkami, to oni teraz udają roztargnionych, jakby już zapomnieli, czyja była genialna idea popierania i wspomagania na każdy możliwy sposób byłego malarza wiedeńskich fasad barokowych i przyozdabiania wszystkiego gałązką pietruszki. Nawiedzony

zaś maniak ze swej strony uwierzył, że pokaże figę całej ludzkości, łącznie z tymi, którzy mu posadzili wspomniane trzy sosenki. Właśnie to ostatnie było fatalnym błędem wspomnianego malarza, bo zdecydowało o zakończeniu bajki, a teraz wszyscy przysięgają, że nie ma na świecie niczego, czego bardziej nienawidzą od sałatki, którą sobie sami sporządzili.

Żeby zatem kontynuować w tym samym duchu, teraz proponuję w to leniwe przedpołudnie rozwiązanie pewnego zabawnego zadania: dla tej całej budowli łącznie z zaopatrzeniem w łowiecką i inną broń zużyto, jak powiadają, dwieście siedemdziesiąt miliardów dolarów. Odliczając z tych pieniędzy wydatki na moje odwszenie, o czym zostałem w porę uprzedzony przez komendanta Brucknera zwanego Rzodkiewką, pozostaje pewna suma, o którą pytają: „Skąd się ona wzięła?”. Zapewne nie została wzięta z oszczędności owego spasionego narkomana, amatora kradzionych dzieł sztuki, który potem zawisł na szubienicy, a tym bardziej z posagu utykającego kulturtregera o wyglądzie profesjonalnego hazardzisty, który uniknął kary, ponieważ sam to załatwił, ani też z transakcji dotyczącej unikatowych wyrobów z ludzkiej skóry firmy Bormann & Eichmann Aktiengesellschaft. W takim razie skąd?

Kiedy zostaną dodane wielokrotnie większe środki, przekraczające tysiąc miliardów wydatkowanych do zburzenia tego samego domu, a to, co otrzymamy, pomnożymy przez ilość przelanej krwi i doświadczone cierpienia, to wówczas pojawia się kolejne pytanie w tym zadaniu: „Kto ponosi główną odpowiedzialność? Pan czy sługa? Inicjator czy wykonawca? Egzekutor czy palec, który pociągnął za spust?”.

Na to pytanie jak na razie otrzymaliśmy jedynie odpowiedź Abramowicza: „Oj-oj, nie pytaj!”.

Nie chcę zaprzętać ci głowy niektórymi zagadkami o podwyższonej trudności, na przykład: gdzie jest siedemnaście ton złota z zebranych tylko w obozie Auschwitz obrączek, protez i innych, podobnych rzeczy, łącznie z kolczykami w kształcie czterolistnej koniczyny przynoszącej szczęście, a ofiarowanych Lizocze Weissberg z okazji jej trzecich urodzin? Zapytałbym, gdzie są te kolczyki będące częścią o wiele większej liczby sztabek podobnego pochodzenia, ale – mając na uwadze wrażliwą perystaltykę niektórych bankierów z sąsiednich i szanowanych, neutralnych państw, a zapewne przyjęliby to jako aluzję naruszającą dobry ton i apetyt wokół świątecznego stołu z bekasami w sosie truflowym – wycofuję pytanie. Oprócz tego, szczerze mówiąc, nie oczekuję odpowiedzi, a ponadto spieszę się na poranny przegląd do amerykańskiego szpitala polowego, tymczasowo umieszczonego w ocalałym i oczyszczonym z bomb skrzydle benedyktyńskiego domu starców pod wezwaniem św. Piotra w Salzburgu.

Amerykańskie władze medyczne przywiozły tutaj dużą liczbę ciężko chorych, ale wciąż dających oznaki życia więźniów obozowych z okolic bawarskiego Górnego Palatynatu. Inne, lżejsze przypadki umieszczono niedaleko obozu w ogromnych namiotach, które podczas moich halucynacji wydawały mi się żółtymi obłokami światła.

Tam, po odpowiednich zabiegach leczniczych, ocalałych odsyłano, tak jak mojego rebege Bendawida, w kierunku zgodnym z życzeniem: jednych na wschód w rodzinne okolice, gdzie często nikt już ich nie oczekiwał, innych, jak już mówiłem – a nie było ich mało, tych nazywanych wówczas „przesiedleńcami” – ku nowym, nieznanym brzegom. My, jako cięższe lub nawet beznadziejne przypadki, zostaliśmy odtransportowani właśnie tutaj i ulokowani w dużych, barokowych salach, gdzie na okopconych sufitach wzruszające gipsowe aniołki trzymały girlandy róż, które zapewne kiedyś cieszyły wzrok salzburskich starców. Łóżka ustawiono tak gęsto, że biedni lekarze i pielęgniarki zawsze musieli przechodzić bokiem. Wypełniona do granic możliwości była także obramowana obłupioną teraz pozłotą scena, na której za lepszych czasów grała prawdopodobnie cesarska orkiestra kameralna Jego Wysokości lub nawet sam Mozart. Tych, dla których nawet tam nie było miejsca, ulokowano na korytarzach i podestach klatek schodowych, toteż nawet nie wiem, kto cierpiał bardziej z

tego niewyobrażalnego dyskomfortu, chorzy czy personel medyczny. Zauważyłeś być może, że niechętnie opisuję nieprzyjemne lub odrażające sceny, zatem spieszę się, by je ominąć biblijnymi krokami o długości stu rzymskich stadionów, o czym już wspominałem, ponieważ życie dostarcza nadmiaru ohydy i bez mojej pomocy. Nie mogę jednak pominąć pewnego obrazu z naszej salzburskiej rzeczywistości, kiedy to sanitariusze z odległego końca przynosili nieboszczyka ponad głowami chorych właśnie w chwili, gdy ci pobrzękiwali łyżkami o blaszane talerze z grochówką i tak dalej, całkowicie przemilczając szczegóły tych przypadków, gdy niedoświadczeni ochotnicy z Minnesoty lub Ohio, przepychając się między łózkami, upuszczali na żywych zwłoki nieboszczyków, wieczna niech będzie ich pamięć. Jeśli więc przypomnę ci, że większość z nas cierpiała na tyfus brzuszny, naznaczony skrzydlatą frazą *panta rhei* – wszystko płynie – to zrozumiesz, dlaczego reszta jest milczeniem, w którym najpokorniej chylę czoło na znak wdzięczności i szacunku dla amerykańskiego personelu medycznego. Ci ludzie, zacisnąwszy usta, nawet nie uświadamiając sobie własnego cichego bohaterstwa, ofiarnie walczyli o życie każdego z tych ludzkich strzępów.

Tak prawdopodobnie było również w wielu innych miejscach, gdzie pod honorowym znakiem Czerwonego Krzyża czuwali i walczyli o uratowanie życia każdemu ludzemu w białych fartuchach, nałożonych na rosyjskie, angielskie i francuskie mundury, a nawet bez mundurów – po prostu zakonnice, osoby z organizacji samarytańskich i innych: katolickich, protestanckich, adwentystycznych i ateistycznych, którym, o ile mi wiadomo, do dziś nie wzniesiono nigdzie w Europie nawet skromnego pomnika należącego się im nie mniej niż armiom-wyzwolicielkom, którym również oddaję cześć.

W związku z ludźmi w białych fartuchach przeżyłem też pewnego razu szok, który na długo wyprowadził mnie z równowagi, ale o tym trochę później.

Jeśli należysz do pokolenia, które jeszcze pamięta tamte czasy, odnotowałeś w matrycy pamięci, że to nie były tylko dni smutku po utracie bliskich i spalonych miast i wsi, ale także dni nadziei, że zło skończyło się raz na zawsze i nigdy już nie może się powtórzyć. „Już nigdy” – to były słowa, które wymawiano jak zaklęcie, nie zaspokajając pragnienia, by móc je wypowiadać wciąż od nowa. Tak to jest, i naiwność, i wszy chodzą po ludziach. Ale były też dni, powiedzmy to otwarcie, nienawiści i zacieklej żądzы odwetu. Te namiętności, jak wiesz, czynią duszę człowieka ślepą i często niesprawiedliwą, chociaż nie osądzaj tamtych dalekich wybuchów niepohamowanego gniewu dzisiaj z pozycji stolika w kawiarni „Sacher”, gdzie dopiero co podano ci kolejny kieliszek martini z dzwoniącym w nim kawałkiem lodu i oliwką.

Wówczas, jeśli pamiętasz, rozstrzeliwano faszystowskich katów albo po procesie sądowym, albo według skróconej procedury, przy czym nierzadko wśród egzekutorów znajdowali się płomienni miłośnicy prawdy, jeszcze do wczoraj wydający okrzyki w rodzaju *Heil Hitler!*, *Viva Duce!* i tym podobne. Ludzie przejawiali prawie biologiczną alergię na wszystko, co otarło się o faszyzm: w inaczej miłującym wolność i tolerancyjnym Paryżu – wyrozumiałym dla wszelkich ludzkich słabości i namiętności – prowadzono po ulicach upokorzone i płaczące dziewczyny z ogolonymi głowami, dlatego że tańczyły lub być może sypiały z niemieckimi żołnierzami. Okrywano hańbą, a nawet wtrącano do więzień głupawych dziennikarzy z powodu jakiegoś artykułiku wychwalającego faszyzm – tak jakby podobne rzeczy nie pojawiały się i dzisiaj. Z całej Europy do Norwegii jechały paczki – od osób prywatnych i bibliotek publicznych – z książkami Knuta Hamsuna, które oburzeni i wstrząśnięci czytelnicy zwracali autorowi na znak protestu i pogardy za jego przychylność dla nazistów. Pojęcie „kolaboracjonista” nabrało takich płynnych i niewyraźnych granic, że w niektórych krajach zabroniono nawet wykonywania muzyki kolaboracjonisty Richarda Wagnera, a niektórzy za pierwszego kuzyna z najbliższego otoczenia Hitlera uważali

Friedricha Nietzschego, który teraz, jak większość nazistów, przerzuca winę na innych, w tym przypadku na jakiegoś Zaratustrę, który „tako rzecze”.

Mimo wszystko, powtarzam, nie osądzaj lekką ręką ówczesnych porywów – całkiem uzasadnionych lub tylko częściowo, a nawet czasami tragicomicznych z pozycji dzisiejszych, dobrze klimatyzowanych i aromatyzowanych kryteriów i wartości. Spróbuj wejść w skórę ówczesnej Europy, żeby zrozumieć jej udreńczoną duszę, którą czuć było prochem, karbolem i niepoprzebanymi trupami.

Opowiedziałem to wszystko nie po to, by cię zanudzać starymi wspomnieniami, ale żebyś lepiej mógł zrozumieć przypadek doktora Joe Smitha, naszego wspaniałego lekarza – jednego z niemałej grupy ratowników, który wielu z nas wyciągnął z czarnego, prostokątnego dołu, ku któremu zdążaliśmy. „Doc Joe”, tak był nazywany przez pielęgniarki i sanitariuszy z ową swoistą i właściwą tylko Amerykanom bezpośredniością.

Pewnego ranka przebudziłem się z męczącego półsnu, w jaki zapadłem, a który znajdował się na granicznym punkcie kontrolnym pomiędzy snem a niebytem – obudziłem się, ponieważ ktoś leciutko mnie poklepywał po policzku. Podniosłem powieki i w wolno gęstniejącej magmie światła z cieniem i powstających w niej obrazach, tak jakby w moim mózgu *wywoływano* negatyw – zobaczyłem pochyloną nade mną zatroskaną twarz doktora Joe. Przemieściłem wzrok, by odkryć w polu widzenia także owego czarnego anioła, który kiedyś, o ile pamiętasz, przyszedł, by zabrać moją duszę, a obserwowałem go z wysokości wieży, gdzie spędziłem tyle szczęśliwych chwil na cichych pogawędkach z powieszonym Zuckerlem. Już ci mówiłem, że anioł miał to samo imię co siostra Angela, która w tej właśnie chwili trysnęła ze strzykawki w powietrze jakimś przezroczystym płynem, przy czym końcowym celem tego ćwiczenia był mój tyłek.

Doc Joe poczekał, aż ta czynność zostanie zakończona, by zapytać:

– No, jak się mamy, żyjemy?

Chyba wiesz, lekarze zawsze mówią w liczbie mnogiej, z solidarności włączając i siebie w historię choroby, przy czym lekarz, w odróżnieniu od siostry Angeli, wyrażał wspomnianą solidarność w pięknym i literackim języku niemieckim. Spróbowałem uśmiechnąć się moimi popękkanymi wargami, które pokrywała popękkana skóra.

– Pewnie tak – powiedziałem. – Ponieważ niedawno ktoś bliski mi wyjaśnił, że martwi ani nie zadają pytań, ani na nie nie odpowiadają.

– Czy to ów rabin? – zapytała siostra Angela. – Co za człowiek, mój Boże! Zanim wyjechał, zdążył opowiedzieć mi sto i jeden żydowskich dowcipów!

– Tak jest – wyszeptałem. – Gdy tylko nie ma problemów, wesołek...

Czarno-biała Angela przyjęła moje słowa na serio, nie знаła bowiem tego gatunku zamieszkałych w Kołodźcu żydowskich żartownisiów, którzy w najbardziej beznadziejnej chwili życia wystrzelą z jakąś wesołą berdyczowską historią.

– Pozazdrościć mu! Człowiek bez problemów... – westchnęła. – Zdaje się, że jesteście rodziną lub coś takiego.

– Właśnie, coś takiego... – powiedziałem.

Siostra Angela zaczęła szperać w kieszeniach białego fartucha, który przez kontrast z twarzą wydawał się jeszcze bielszy lub może twarz stawiała się ciemniejsza przy białym, wykrochmalonym czepku z czerwonym krzyżem. Znalazła coś i podała mi. Był to wytłaczany, aluminiowy guzik od obozowego ubrania, znany do bólu, ponieważ rozbieraliśmy trupy, zanim ułożono je w stosy, o czym ci już wspominałem, ubrania zaś składaliśmy do wyparzania i dalszego użytkowania przez następnych kandydatów na stos.

– Pański krewny, rabin, przed wyjazdem ofiarował mi go na pamiątkę. Powiedział, że ten to obozowy guzik mogę zaproponować na model gigantycznego pomnika humanistycznego dwudziestego stulecia.

Wzięłem go w chudą, żółtawobrazową i wyschniętą jak pergamin dłoń: wytłaczany, aluminiowy krążek, zapewne tymczasowej produkcji wojennej jakiegoś „obiekty specjalnego”, a choć nie było na nim chropowatości, sztanca nie wykonała precyzyjnie swojej roboty i przebite do końca były tylko dwie z czterech dziurek.

– Dziwny pomysł – cicho powiedział doktor Joe. – Pomnik w kształcie guzika!

– Rabin Szmul Bendawid zawsze miał w zapasie takie pomysły – powiedziałem. – Przychodzą mu do głowy podczas wędrówek po pustyni.

– Jakiej pustyni? – zdziwiona zapytała Angela.

– No tej – sprecyzowałem. Siostra rzuciła pobieżne spojrzenie na lekarza, widocznie wzbudziłem u niej jakieś niewyraźne podejrzenia, tym bardziej że wiedziała o moich spacerach na szczyt wieży. – A czemu ma służyć ten pomnik? – zapytałem.

– Żeby pamiętano, co się wydarzyło w tym stuleciu, i żeby tego nie zapomnieć. Tak powiedział.

Podniosłem wzrok ku niej, pokiwałem głową.

– Zostanie zapomniane, siostrze, zostanie zapomniane. Rabin jest po prostu romantykiem. Pomniki niezwykle szybko zamieniają się w ozdoby, coś w rodzaju broszek na piersiach miasta, do których miejscowi się przyzwyczajają, turyści zaś na ich tle fotografują się na pamiątkę, nie interesując się, kogo lub co wyobrażają.

Kiedys i my z wujem Chaimle sfotografowaliśmy się w Wiedniu na tle pomnika Schwarzenberga, nie wiedząc właściwie, kim była postać na koniu i jakie są jej zasługi.

A jednak, podczas gdy doc Joe, przysiadłszy bokiem na końcu łóżka, obsłuchiwał moje piersi świszczące jak stary czajnik, ja wzbogaciłem ideę rebego własnym wkładem: dlaczego, pomyślałem sobie, w jakimś muzeum na przykład paryskim Muzeum Człowieka, o którym czytałem w Kołodźcu, gdzie za szklanymi witrynami przechowuje się odzież cesarzy, markizy Pompadour i weneckich dożów, nie miałyby zostać wyeksponowana moja zafajdana piżama z Salzburga? W końcu ona też jest symbolem sławnej epoki.

Krępowalem się przekazać swój pomysł siostrze Angeli, która się spieszyła, i schowawszy guzik, jakby był ze złota, z tacką, na której uporządkowano bogaty asortyment tabletek, kroplomierzy, strzykawek, przeszła do następnych pacjentów w piżamach podobnych do mojej, a oczekujących na wizytę ze szklanym wzrokiem utkwionym w suficie, na którym skrzydlate, puszyste aniołki trzymały girlandy z róż.

Doc Joe końcem palców zaczął mi boleśnie uciskać brzuch, aż w końcu jęknąłem.

– Boli? – zapytał.

Trochę podrażniony ostrym bólem, odparłem:

– A jak pan myśli?

– Myślę, że choroba już przechodzi. Czas, by zaczął pan wychodzić do parku, nic panu nie jest.

– Nic mi nie jest? – sarknąłem prawie obrażony. – Czy pan wie, że na cmentarzu żydowskim w Berdyczowie znajduje się płyta nagrobna szewca Uziego Schweisera, na której jest napisane: „Lea, a ty mi nie wierzyłaś, że jestem chory!”.

Doc Joe roześmiał się.

– Mimo wszystko niech się pan weźmie w garść i przestanie nad sobą użalać. Proszę mi pomóc i spróbować wykorzystać swój upór w innej dziedzinie.

– Rzecz w tym, doktorze, że ja z takim samym uporem sprzeciwiałem się tyfusowi. Pewnie i za to muszę teraz płacić.

– Za wszystko się płaci... – powiedział i zamyślił się nad czymś innym, zapewne odległym, jako że jego spojrzenie błędziło gdzieś w przestrzeni.

Z nieco udaną wesołością protekcyjnie poklepał mnie po policzku, jakby był pediatrą leczącym uparcie chorujące dziecko, a nie mnie, starego bojownika, który przeżył dwie wojny światowe, jedno pierwszomajowe współzawodnictwo, dwa obozy koncentracyjne i, jako



ozdoba do wszystkiego – jak owa gałązka pietruszki, o czym była już mowa – gorączkę tyfusu brzuszego.

## 2

Wkrótce mój stan rzeczywiście trochę się poprawił i mogłem – niekiedy z pomocą siostry Angeli, niekiedy sam – przytrzymując się poręczy schodów oraz ścian, wychodzić na krótko, by posiedzieć w parku wokół tego na wpół zrujnowanego, królewskiego budynku. Kwitły lipy i zalewały nas wonią, która subtelnie, lecz natarczywie, falami przezwyciężała ostry zapach szpitala.

Minęło dość dużo czasu, a ja wciąż nie miałem żadnych wieści od rebege Bendawida. Czekałem na wiadomość, odczuwając zarazem przerażenie i nadzieję, toteż ciągle zaglądałem do owej ukrytej fałdki ludzkiej duszy, gdzie chowają się nawet te najbardziej szalone nadzieje. Szaleńcze, bezpodstawne, bez uzasadnienia, a jednak upragnione: być może nieszczęście dosięgło nie Sarę, lecz inną o tym samym imieniu, być może też nie chodzi o to sanatorium koło Równego, lecz o sąsiednie, i być może masowe rozstrzeliwanie przy parowie nad rzeczką nie odbyło się w Kołodźcu, a... Wstyd mi, ale tak było. Wstydzę się przyznać do egoizmu, który pozwalał mi w myślach poświęcać wszystkich innych, by ratować swoich. Jedyne, w co niezachwianie wierzyłem, było przekonanie, że nasze dzieci – Jasza, Szura i Zuzanna – żyją i są gdzieś blisko, w Niemczech lub Austrii, nie będąc więźniami w obozie, lecz zwycięzcami w tym wielkim i strasznym exodusie.

Wyciekł już piasek pierwszego miesiąca od zakończenia wojny, określanego przez miejscowe gazetki, drukowane na przejściowo żółtawym papierze raz jako „kapitulacja” lub „okupacja”, kiedy indziej znów jako „wyzwolenie” w zależności od politycznych przekonań autorów. Ale we wszystkich przypadkach o nazistach pisano jako o „tamtych” – jakichś innych, z innego świata, pozaziemskich, mitycznych złoczyńcach, jakby moich dawnych austriackich rodaków dosięgła ciężka amnezja i zupełnie zapomnieli, jak starannie, a nawet entuzjastycznie, przeprowadzono tu nie tylko noc kryształową, ale i wiele innych, wcale nie tak kryształowych dni i nocy. I jakby nie tutaj, lecz na innej planecie, nieobsługiwany przez personel mówiący alpejskimi dialektami, znajdował się obóz Mauthausen. Oczywiście, w porównaniu z czterema milionami ofiar w Auschwitz lub dwoma milionami w Dachau sto dwadzieścia trzy tysiące zamordowanych w obozie tego muzycznego kraju było czymś w rodzaju menueta w metrum trzy czwarte, z reweransami i pokłonami.

O wiele, wiele później usłyszałem dostojnych Niemców mówiących pół żartem, pół serio: „Chytrusy z tych Austriaków. Wepchnęli nam Hitlera, a przywłaszczyli sobie Beethovena!”.

A szkoda, ponieważ lubię Austrię i jej żywotnych mieszkańców – wspaniałą aliaż wschodnich wiatrów i przepisów kucharskich z lekkim powiewem włoskiego Południa! Teraz, kiedy piszę te słowa, a wszystko dawno już przeszło, stało się wspomnieniem, relikwią lub nudną, szkolną lekcją historii, wiem, że jest czas rzucania kamieniami, ale też czas ich zbierania i budowania. Bo jak inaczej będziemy wspólnie zasiewać zaorane bruzdy Europy? Ale wówczas – miesiąc po zakończeniu wojny – każda próba przemilczenia przestępstw i przrzucania winy boleśnie się odciskała w naszych zranionych duszach, interpretowana raczej jako współuczestnictwo aniżeli wielkoduszny gest pojednania. Bo kiedy w wiosce próbują przemilczeć lub ukryć uczynek koniokrada, poszkodowani podejrzewają całą wioskę o koniokractwo, przepraszam za mentorski ton, ale tak to jest.

Któregoś czerwcowego dnia, przepojonego aromatem rozkwitłych lip, na ławce koło mnie przysiadł się Doc Joe widocznie zmęczony trudnym czuwaniem nad zdrowiejącymi i umierającymi. Doktor był dużym, niezbyt przystojnym mężczyzną o mięsistym nosie, w

ciężkich okularach, a mimo że był stosunkowo młody – około czterdziestki piątki – czoło złobiły mu dwie głębokie bruzdy. Podobne dwie bruzdy biegły prosto w dół policzków, nadając mu wyraz dobronuduszy i swojski oraz wywołując oczekiwanie na uśmiech, który się nie spóźniał, żeby ukazać jego zdrowe, choć pożółkłe zęby nałogowego palacza.

– Jak, wracamy już do zdrowia? – zapytał i poklepał mnie po kolanie swą wielką dłonią pasującą bardziej do kowala lub bednarza.

– Wszystko na to wskazuje – odparłem. – Właśnie myślałem, doktorze, o tamtym budynku. Czy zostanie odbudowany? Proszę popatrzeć, jaka szkoda, doprawdy! Dlaczego musiał zostać zburzony? I w ogóle nie rozumiem sensu wojny, można by rzec, strategicznej korzyści z tego, że się bombarduje takie stare miasto. Przecież tu urodził się Amadeusz Mozart!

– Wszędzie ktoś żył. Wojna ma własną skalę wartości i własne potrzeby. Wojna nie wybiera ofiar według ludzkiej logiki ani nie rozróżnia wycia bomb od dźwięków *Czarodziejskiego fletu*. Czy kula może trafiać tylko złych albo tylko katolików, tylko komunistów, tylko niebieskookich? A czy może mi pan wyjaśnić, dlaczego bezmyślnie zburzono Drezno? Miasto nie miało wojskowego znaczenia, ale tam przecież znajduje się Zwinger z *Madonną* Rafaela! A dlaczego my z kolei zburzyliśmy Coventry, Oradour i Lidice? Albo połowę Rosji?

Spojrzałem na niego zdziwiony.

– Dlaczego my? W jakim sensie „my”?

Chwilę milczał i patrząc mi w oczy, spokojnie odpowiedział:

– Jestem Niemcem. Majorem służb medycznych pewnego... niemieckiego oddziału. Czy nie zauważył pan, że pod fartuchem lekarskim nie noszę munduru?

– Szczerze mówiąc, nie przywiązywałem do tego wagi. Czyż niektóre pielęgniarki ze stopniem wojskowym pod fartuchem nie tylko nie noszą munduru, ale nawet stanika?

– Tak, to jest przyjemniejszy widok.

– Rzeczywiście, od razu dał się zauważyć pański niemiecki. W odróżnieniu od siostry Angeli, która posługuje się setką niemieckich słów w angielskim syropie. Myślałem, że pan uczył się niemieckiego w college’u lub czymś podobnym.

Doktor zaprzeczył ruchem głowy.

– Uczyłem się go od mojej babci w Ottobrunnie, niedaleko Monachium.

– Przepraszam, jeśli zadaję niestosowne pytania, ale... dziwnie brzmi Joe Smith dla niemieckiego majora, który trafia do amerykańskiej formacji jeszcze przed końcem wojny.

Pierwszy raz zobaczyłem go zapalającego papierosa – w pomieszczeniach palenie było zabronione dla wszystkich, również dla lekarzy i pielęgniarek. Mnie papierosa nie zaproponował. Powiedział:

– W błąd wprowadza angielska wymowa mojego imienia przez przyzwyczajenie Amerykanów, by z Johanna robić Joe. Nazywam się Johann Schmidt, obywatel dopiero co upadłej Trzeciej Rzeszy. Czy będzie czwarta, nie wiadomo.

### 3

I tak, bracie mój, który czytasz te słowa, jeśli ci starczy cierpliwości, poznaj też historię majora służb medycznych Johanna Schmidta lub, jeśli chcesz, doktora Joe. Wszystko wyłożę dokładnie tak, jak opowiedział mi to osobiście owego cichego i wonnego przedwieczora w Salzburgu, zanim granatowe cienie nocy nie zaczęły pełznąć w górę ku skałom twierdzy.

Jeśli więc opowiadam ci tę historię, to bynajmniej nie po to, by dodać jeszcze jedną kroplę do przelewającej się studni wspomnień o „strasznej wojnie”, lecz dlatego, że w ten los

wplatają się winietki i kapriole życia, a jak już ci wspominałem, inaczej rozumieliśmy je wówczas, inaczej rozumiemy obecnie, wiele lat po zakończeniu wojny.

Zbliżał się finał i tylko skończeni idioci, do których doktora Schmidta absolutnie nie można było zaliczyć, oczekiwali cudu związanego z pogłoską o nowej, tajnej broni Führera. Teraz już wiemy, że nie była to pusta gadanina i że Wernher von Braun gorączkowo przygotowywał bombę atomową, ale było już za późno, a ponadto czarny kot przeszedł mu drogę, chwała Bogu. Nawet porażka „sojuszników” w Ardenach nie zapowiadała bardziej różowego obrazu zbliżającego się nieuchronnie końca. W tym czasie jednostka, do której należał mój doktor, znajdowała się gdzieś w północnych Włoszech, w Dolomitach, a Amerykanie niepowstrzymanie przesuwali się do góry po włoskim bucie. To był niewielki oddział specjalny – tak powiedział Doc Joe, nie wyjaśniając, na czym polegała owa specjalność – który był całkowicie zdezorientowany sprzecznymi rozkazami wyższych dowódców, bardziej zajętych troską o ratowanie własnej skóry niż opracowaniem planu dobrze zorganizowanego odwrotu.

Wobec zaistniałej sytuacji major Johann Schmidt zdecydował się na najwyższą zdradę ideałów narodowego socjalizmu. Odpinając pas, jakby od niechcenia, niby że miał kucnąć trochę dalej w krzakach, wyczekawszy dogodnego momentu w ogólnym rozprężeniu, pobiegł w dół na przełaj, poprzez pola rozkwitłych krokusów.

Biegł przez krzaki, zasy i potoki, aż usłyszał śmiech i głośniejszą mowę angielską. Doktor Schmidt przypadł do ziemi za niskim jałowcem, zaczął pełznąć w tamtym kierunku i dostrzegł poniżej, na małej polance, około dziesięciu amerykańskich żołnierzy, którzy właśnie przygotowywali kawę na małym, przysposobionym ognisku. Być może nie uchodzi tak mówić o zwycięzcach, ale i ten oddział był nie mniej rozprężony od tego, który chwilę temu major porzucił bez pożegnania, w tym sensie, że broń zawieszono na gołych gałęziach lub po prostu odpoczywała na zeszłorocznej trawce. Wtedy nasz doktor wyskoczył z kryjówek i w sposób najbardziej przyjazny zawołał:

– *Hello, amis, Freundschaft! Hitler kaputt!*

Dla historii pozostanie niewiadome, co oni dokładnie zrozumieli z tej dyplomatycznej epistoły, ale wszyscy jak na komendę rzucili kubki i podnieśli ręce. Powstały pewne komplikacje językowe, gdy doktor próbował wyjaśnić, że to właśnie on się poddaje, a nie na odwrót. W tym czasie od strony wzniesienia, przy krzakach zawołano *Hände hoch!*, co znaczy „Ręce do góry!”, a mały reprezentacyjny oddział amerykańskiej demokracji znalazł się pod ostrzałem kompanii SS przeczesującej las. Amerykanie musieli poddać się ponownie, ale zachwyt esesowców był nieopisany, kiedy zrozumieli, że dziesięciu jankesów wziął do niewoli jeden major z Wehrmachtu, i do tego lekarz! Jaki lepszy dowód moralnej wyższości niemieckiego ducha nad zgniłą zachodnią plutokracją.

Jeńców odprowadzono do oddziału specjalnego, do którego przynależał również doktor Schmidt, przy czym on osobiście otrzymał pochwałę oraz obietnicę, że w następnym raporcie zostanie zgłoszony do wysokiego odznaczenia.

Tej samej nocy, kiedy oddział specjalny, uchłany spirytusem do celów medycznych, chrapał w najlepsze, doktor Schmidt odemknął drzwi kamiennej baczki, zamienionej w tymczasowy obóz jeniecki dla dziesięciu Amerykanów, i zbiegł razem z nimi, nie poczekawszy na wysoki order.

Od tego czasu, czyli od późnej zimy 1944 roku major Johann Schmidt zaliczał się już do zespołu amerykańskiego szpitala polowego i był już Doc Joe. Uczciwie swą niemałą wiedzę w dziedzinie niemieckiej nauki medycznej, która – musimy przyznać – niejednokrotnie udawadniała swą wyższość, starał się nie dopuścić do przerwania nici Ariadny u rannych amerykańskich żołnierzy, cywilnych mieszkańców poszkodowanych w czasie działań wojennych lub, tak jak w naszym przypadku, wyciągniętych z cuchnących obozów wraków ludzkich.

„Cóż mi tam? – zapewne powiesz. – O czym to chcesz napomknąć tą historią? Kiedy do końca zostają już tylko miesiące, nie jest bohaterstwem postąpić tak, jak twój doktor. Szczególnie jeżeli masz choć dwa gramy mózgu w głowie!”

„Tak jest” – odpowiem. A jednak większość tego nie zrobiła, nieraz ze strachu, kiedy indziej zaś z próżnych nadziei na obrót spraw lub z wpojonego mitu o obowiązku wojskowym, wierności przysiędze lub całej ideologii *Blut und Boden*. Przypominam ci jednak, że nie robili tego także chłopcy radzieccy, nawet wówczas, gdy całe składy pociągów przewoziły bloki granitu przeznaczone na pomnik Hitlera przy placu Czerwonym. Jest różnica, powiesz, ale proszę, nie wciągaj mnie w spór o sprawiedliwych i niesprawiedliwych wojnach, ponieważ nie każdy żołnierz, który wbił głowę w błoto, może to ocenić z pozycji wysokich i surowych kryteriów historii. Chcę tylko powiedzieć, że skomplikowane i niezbadane są wyroki boskie, dzięki którym dany wybór u jednych dochodzi do świadomości i serca szybko, u innych, przepraszam, stanowczo zbyt wolno. Jedni, jak już wiemy, nie dopuścili faszyzmu do swej duszy, inni go porzucili – ktoś w pierwszym dniu wojny, ktoś w ostatnim, a niektórzy w ogóle. Dla tych, którzy z przekonania porzucili brunatną koszulę, tę ponurą pomyłkę, wszystko jedno kiedy, wcześniej czy później, przypomnę ci słowa mojego rebege, wypowiedziane przy innej okazji: „Starajmy się ich zrozumieć, nie przeklinając i nie wyśmiewając. Zostawmy dla nich przy stole wolne miejsce, chleb i wino”. Tak powiedział rebe Szmul Bendawid, a ty spróbuj to zrozumieć!

Gdyż nie to jest rozwiązaniem czy też, powiedzmy, puentą mojego opowiadania, lecz pewne wydarzenie owego poranka, gdzieś pod koniec czerwca, kiedy do szpitalnego pomieszczenia weszli amerykański oficer i sierżant policji wojskowej, tak zwanej „empity”, w towarzystwie dwóch cywilów z czerwonymi opaskami na rękawach wytartych palt. Jeden z nich był wielkim, kudłatym góralem, drugi – wręcz odwrotnie – drobnym człeczyną w okularach o drucianych oprawkach, jakie noszą drukarze lub nauczyciele historii w ubogich górskich miasteczkach. A powiem ci od razu, że w tamtych czasach czerwone opaski na rękawach mogły oznaczać różne rzeczy – od ochotniczej milicji obywatelskiej próbującej zaprowadzić porządek w kraju, gdzie oprócz wojsk okupacyjnych nie było innej władzy, do przedstawicieli komitetów, organizacji antyfaszystowskich i partii lub po prostu tych, co samomianowali się tymczasowymi organami komunalnymi, a troszczących się o wodę pitną lub chleb dla zrozpaczonych i żyjących w nędzy mieszkańców. Doc Joe, który siedział na brzegu łóżka, przegiąwszy swój wielki tułów, odwrócił głowę, popatrzył na przybyłych, wyprostował się i powoli zdjął z szyi stetoskop.

Drobnny człowiek w drucianych okularach wpił w niego krótkowzroczne spojrzenie, potem zdecydowanie wyciągnął rękę i wskazał doktora palcem – jak surowy sędzia, jak biblijny prorok, jak sam Sabaoth.

– To on!

#### 4

I tak to Doc Joe został aresztowany i nigdy więcej już go nie widziałem. Ponownie opanowany przez periodyczne, niczym kolki brzuszne, wątpliwości w wyższą sprawiedliwość, która w końcowym rozrachunku oddaje każdemu to, co mu się należy, dowiedziałem się od siostry Angeli, jak było naprawdę.

Po kapitulacji faszystowskich Włoch i błyskawicznej niemieckiej okupacji włoskiej północy w tamtejszych górskich okolicach rozgorzała zażarta walka partyzancka. Opętani szaloną i natrętną ideą „ostatecznego rozwiązania” naziści zaczęli i tutaj zamykać Żydów, choć jak wiadomo, niektóre trzeźwiejsze głowy z otoczenia Führera przeczuwały już, że

ostateczne rozwiązanie nie spóźni się, choć zmierza w nieco innym kierunku. I tak gdzieś w regionie Trydentu został założony obóz przejściowy dla Żydów i innych szkodliwych elementów przed ich dalszą deportacją. Odwołany ze szpitala wojskowego major służb medycznych Johann Schmidt został włączony do „oddziału specjalnego” jako lekarz wydający opinie i wpisujący do dokumentów dane o stanie zdrowia „przesyłki”. Zgodnie z tymi jego opiniami niektórzy byli kierowani do kamieniołomów w Mauthausen, a niezdolni fizycznie do tej ciężkiej pracy – znacznie dalej, na wczasy do Polski, gdzie pomimo powstałych trudności spowodowanych szybkim marszem Armii Czerwonej Niemcy wciąż dysponowali dostateczną ilością okrągłych puszek z granulkami pod zakodowaną nazwą „cyklon B”. Wraz z posuwaniem się naprzód Amerykanów obóz koło Trydentu został szybko zlikwidowany, natomiast oddział specjalny otrzymał rozkaz wycofania się w rejon dawnej granicy austriackiej.

Ogólnie rzecz biorąc, to już wszystko. Nie chcę a i nie mogę osądzać stopnia winy doktora Schmidta ani szczerości jego uczynku po przymusowym uczestnictwie w niktzemności, ponieważ kilka lat później spotkałem na Kołymie, tuż pod czapą polarną, lekarzy, i do niektórych z nich zachowałem we wspomnieniach cichą wdzięczność za okazane mi człowieczeństwo lub po prostu profesjonalną rzetelność, natomiast do innych żywię najzwyczajniejszą pogardę. Wiem tylko, że palec, którym drobny Włoch wskazał na doktora Joe, był palcem odwetu, takie były czasy – twarde, bez niuansów, bez okoliczności łagodzących.

Później się dowiedziałem, że doktor został przez sąd w Mediolanie skazany na osiem lat, o czym nawet pisano w gazetach – jedni ze zdziwieniem, inni z poczuciem zadowolenia. W tamtejszym szpitalu więziennym odznaczył się jako sumienny lekarz, dlatego już po trzech latach został ułaskawiony. I jeśli obecnie jest emerytem w Ottobrunnie koło Monachium, to może przypadkowo przeczyta te słowa: „*Hello, Doc Joe, wiem, że wojna jest paskudną rzeczą i czyni człowieka współuczestnikiem – raz świadomym, raz mimowolnym. Ja nie jestem instancją, która wydaje wyroki, i dlatego pragnę ci tylko powiedzieć, że zapamiętałem cię z najlepszej strony*”. Jestem przekonany, że powyższa sprawa może u kogoś wywołać gniewny sprzeciw, w którego sprawiedliwość bynajmniej nie wątpię, dlatego odpowiem mu jak ów stary rabin: „I ty też masz rację!”.

## 5

22 czerwca jako kaprys losu bądź gra przypadku – w czwartą rocznicę chwili, gdy nagle musieliśmy przerwać drogę ku wzgórzom Mandżurii – nasze życie nieoczekiwanie ruszyło w innym kierunku. Dokładnie tego dnia otrzymałem przesyłkę z Genewy ze znakami Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Uwierz mi, że zanim jeszcze drżącymi palcami otworzyłem dużą kopertę, wiedziałem, że jest to wiadomość od rebege Bendawida, jak również wiedziałem, o czym pisze. Bałem się ów list przeczytać, brałem i odkładałem kopertę, potem znów ją brałem i znów odkładałem, jakby w zawartej tam treści wciąż jeszcze można było coś zmienić bądź ulepszyć. Ale też nie było mi łatwo czytać przez zamglone łzami oczy, jako że do koperty włożono informację Międzynarodowej Komisji Badań Zbrodni Hitlerowskich w Auschwitz dotyczącą Sary Dawidownej Blumenfeld, z domu Zwassman, zaginionej w obozie 3 marca 1943 roku. Załączony był też wyciąg z protokołu 107/1944 prokuratury wojskowej 3. Frontu Ukraińskiego o masowym rozstrzelaniu ludności cywilnej w Kołodźcu (Ukraina Południowa, ZSRR). Znajdował się jeszcze odpis dekretu o pośmiertnym odznaczeniu orderem Czerwonego Sztandaru szeregowca Jeszuy (Szury) Isakowicza Blumenfelda oraz radiotelegrafistki Zuzanny Isakownej Blumenfeld z

Tarnopolskiego Oddziału Partyzanckiego – oboje zginęli w walce z faszystowskim okupantem. Znajdowało się tam również podanie na zwykłym druku wypełnionym pospiesznie i niechlujnie przez nieznanego biurokratę jako dowód, że lejtnant gwardii Blumenfeld Jakub Isakowicz nie wrócił z akcji zwiadowczej na tyłach wroga w rejonie Witebska, 1. Front Przybałtycki, i należy go uznać za zaginionego bez śladu. „Niniejsze ma posłużyć rodzinie...” Panie Boże, do czego może posłużyć śmierć mojego syna, jeśli już nie posłużyła, by przyspieszyć choćby o jedną sekundę, obok pozostałych pięćdziesięciu milionów sekund, koniec tej przeklętej wojny!

*Mój drogi Icku!*

*Udało mi się zdobyć zatączone tu informacje, które dzięki wspianiałomyślnej pomocy pewnego zagranicznego korespondenta otrzymasz z Czerwonego Krzyża. Wiem, jaki ból sprawi Ci to wszystko, o czym się dowiesz, ale już Ci mówiłem, że owoce próżnych nadziei bardziej są gorzkie od najsmutniejszej prawdy. Obecnie tak się dzieje w całym kraju zalewanym falami wieści o oczekiwanych najbliższych, którzy już nie wrócą.*

*Nie mam odwagi radzić ci, jak masz postąpić, gdyż sam znajduję się na bezdrożu, jak na dnie ciemnej jamy. Kołodziej został prawie całkowicie zburzony i spalony, a z ognia ocalały jedynie ceglane kominy. Tak wygląda obecnie nasze miasteczko – martwy las kominów.*

*Ludzie jednak zaczynają wracać, tu i ówdzie wraca także któryś z naszych, a dumny jestem z nich, ponieważ wracają udekorowani orderami chwały bojowej, chociaż niestety, z naszej rodziny nikt nie ocalał. Wszystko trzeba zaczynać od początku, cegła po cegle. Ponieważ teraz jest szmita.*

Podniosłem wzrok znad listu i przypomniałem sobie lekcje Talmudu: szmita, siódmy rok, rok szabatowy, kiedy to w starożytności nie orano ziemi, żeby odpoczęła i w pokoju nakryła trawą swych zmarłych. Szmita – każdemu według zasług w siódmym roku i wszystko od nowa. Tak było!

*Dlatego ja zostaję tutaj, Icek, przy swoich ludziach, ponieważ powinienem być z nimi. Chcę im pomóc w uświadomieniu sobie, że to, co się wydarzyło, nie było nieuniknione i mogło się nie wydarzyć, a cicha rezygnacja, z jaką to przyjmowali, być może kryje w sobie mądrość przeszłości, lecz wątpliwie, czy przynosi nadzieję na przyszłość. Nie jestem prorokiem ani cadykiem, tylko zwykłym rabinem w zwyczajnym, małym miasteczku, sam błędzę rozdzierany wątpliwościami zarówno co do prawd niebiańskich, jak i ziemskich, ale chciałbym pomóc ludziom zrozumieć sens tego, co się wydarzyło, by wyzwolić się z niewoli pokory i biblijnych snów – tak jak nasi odważni Machabeusze z getta warszawskiego, niech będzie wieczna ich pamięć, nasi ludzie mają prawo do całej przeszłości Abrahamowego plemienia, ale w przyszłość musimy wejść czujni, z otwartymi oczami i patrzący daleko przed siebie. Tak myślę.*

*Dlaczego Ci więc piszę o tym wszystkim? Otóż po to, byś wiedział, dlaczego zostaję tutaj. Ale Ty, drogi, bardzo drogi Icku, mężu mojej zmarłej siostry i ojciec moich zabitych siostrzeńców, Ty jesteś kruchy, Twoja dusza jest słaba i zraniona, toteż nie chciałbym jej zobaczyć złamanej jak stłuczony garnek podczas siódmego roku. Dlatego proszę Cię: na razie nie wracaj. Osiądź gdzieś, w pobliżu jakiejś rzeki, zasiej piędź ziemi i podlewaj ją – niech wyrosnie trawa.*

*Zawsze Twój  
Szmul Bendawid*

*PS. O Esterze Katz dowiedziałem się tyle, ile można się było dowiedzieć. Pamiętasz, wysłano ją na leczenie, ale niestety, nigdy już nie powróci. Nie wiem, gdzie jest jej grób, lecz to, co ją spotkało, jest wielką, wielką niesprawiedliwością. Ale ślady jej stóp na piasku mojego życia pozostały!*

To dziwne, ale tak jest – im silniejszy cios, tym słabszy okazuje się ból, ale przychodzi on później, dużo później. Być może natura zakodowała to w komórce, by chronić nasz system życiowy. Czy zauważyłeś, że podczas pogrzebu kogoś drogiego myśl odlatuje ku rzeczom nieznacznym lub też całkiem nieodpowiednim podczas tak uroczystej ceremonii – jakby dusza świadomie wyłączała bezpieczniki, żeby tylko nie wybuchnąć? Kartki z dużej, genewskiej koperty leżały rozrzucone na kocu, a ja leżałem zdrętwiały, ze wzrokiem wbitym w jeden punkt. Przed moim wewnętrznym spojrzeniem rozpościerała się obojętna szarość – bez horyzontu, bez linii dzielącej górę i dół, życie i śmierć, wczoraj i dzisiaj.

Nie wiem, ile czasu trwał ów stan, ale mój czarny anioł spróbował mnie wydostać z głębi beczcasowości i zabrać na spacer wokół twierdzy. Podporządkowałem się bezwolnie jak kukła. Kolejka zębata oczywiście była nieczynna, ale przyjaciel Angeli ze służby zaopatrzeniowej zawiózł nas na górę swoim wojskowym jeepem. Nazywał się Jefferson, dokładnie tak – Jefferson, a był sto razy czarniejszy od Angeli, lecz gdy się śmiał, jego białe zęby błyskały, sto razy bielsze od jej szpitalnego fartucha. Tak więc Jefferson zawiózł nas na górę, ale dyskretnie został przy samochodzie, być może zgodnie z życzeniem siostry Angeli.

W dole pod nami znajdował się Salzburg, ściśnięty między zalesionymi fałdami gór, tu i tam ze spalonymi od bomb dachami. Wspaniały, królewski Salzburg, jego pałace i place, kościoły i sklezione przejścia pod domami wspinały się ku Alpom – stąd, z wysokości wyglądał jak makieta lub miasto miniaturowych istot z bajek.

Siostra Angela wyciągnęła rękę ku położonemu naprzeciwko wzgórzu gęsto obrośniętemu kłębami zieleni.

– Czy widzisz tamten biały dom ze ścianą, która raz się pokazuje, to znów ginie między drzewami? Czy wiesz, czyj to jest dom?

– Skąd mogę wiedzieć? – spytałem obojętnie.

– Stefana Zweiga.

Coś we mnie drgnęło, obudziło wspomnienia nocy spędzanych nad jego książkami, kiedy to moja matka Rebeka w zatrwożeniu uchylała drzwi, by zobaczyć, dlaczego to ja jeszcze nie zgasiłem lampy naftowej.

– Stefana Zweiga – powtórzyłem. – Myślę, że uciekł do Ameryki. A gdzie jest teraz?

Angela odpowiedziała, nie odrywając wzroku od białego domu:

– W raju sprawiedliwych. Dawno już. Zresztą nie tak dawno, ale podczas wojny czas liczy się jakby podwójnie. W 1942 roku wraz z żoną popełnił samobójstwo w dalekiej Brazylii.

– Mój Boże, ale dlaczego?

– Właśnie, dlaczego? Ja też pytam dlaczego.

Zamyśliłem się, a później powiedziałem:

– Być może nie chciał otrzymać po wojnie takiego listu jak mój... Zresztą czy wiesz, że według statystyki Żydzi zajmują ostatnie miejsce na świecie, jeśli chodzi o liczbę zabójstw kryminalnych? A są na pierwszym jeśli chodzi o samobójstwa?

– Czy to coś oznacza?

– Być może. Czyż nie mówią: ilu Żydów, tyle zdań i tyle różnych poglądów. Nie wiem, być może Żydzi jeszcze z czasów wieży Babel przyjmują różnomyślność i różnojęzyczność za coś tkwiącego w korzeniach własnego plemienia i nie dążą do usunięcia swego oponenta przemocą. To zrodziło błędne wrażenie, że Żydzi są rozczulająco jednomyślni. A są tak jednomyślni jak bankier Rothschild i rewolucjonista Marks, który chce go przymusowo wywłaszczyć. Ale z drugiej znów strony, mając przed siebie najgłębsze i nie do rozwiązania problemy, Żyd ma do czynienia z samym sobą, samobójstwo jest więc jedynym sposobem wyzwolenia się od oponenta, który bez przerwy się czepia i przeciwstawia.

– To nie jest śmieszne – sucho przerwała moje wynurzenie Angela.

– Nie próbuję cię rozśmieszyć. Chcę tylko powiedzieć, że całkowicie rozumiem Stefana Zweiga. Nawet sędzę, że to jest jedyne rozsądne wyjście również dla mnie.

Ona drgnęła, jakbym ją spoliczkował, wpatrzona we mnie gniewnym i błyszczącym wzrokiem – tylko ludzie jej rasy mają takie oczy, wbiła palec w moją pierś.

– Słuchaj, ty naprawdę jesteś żydowskim palantem. Ja cię wyciągnęłam z grobu, czy wiesz o tym? Nie spałam całe noce, żeby słuchać, czy oddychasz! Trzymałam cię na rękach, tak jak się trzyma dziecko. Byłeś osrany i zarzygany, parszywy, zawszony i śmierdzący! Chciałam cię zwrócić światu, pieprzony bękarcie! Teraz będziesz mi wykręcał żydowskie numery z samobójstwami!

– To jest moja osobista sprawa! – krzyknąłem.

– Tak sądzisz? No to zdychaj, dupku jeden.

– Zamknij swój czarny dziób.

Ku nam leniwie ciągnął nogami Jefferson.

– Czy jest jakiś problem? – zapytał, nie wyjmując papierosa z ust.

– Idź stąd, nie twoja sprawa! – krzyknęła rozgniewana siostra Angela.

Mężczyzna wzruszył ramionami i pokornie wrócił do jepea.

Angela niespodziewanie rozplakała się, co też zmieniło sytuację. Ogarnięty skrucha poglaskałem ją po głowie i odezwałem się pojednawczo:

– Przepraszam, nie chciałem cię urazić. Winę ponosi Stefan Zweig.

Spojrzała na mnie i spróbowała się uśmiechnąć przez łzy.

– Czy obiecujesz mi nie robić głupstw?

– Obiecuję – odparłem.

– I że napiszesz do mnie, gdziekolwiek byś był? Gdziekolwiek bym była?

– Napiszę – powiedziałem. – Ale czy wystarczy taki adres: siostra Angela, pola bawełniane wzdłuż Missisipi?

– Skąd ci to przyszło do głowy... o bawełnie i tak dalej?

– Rabin powiedział, że stamtąd jesteś.

Angela roześmiała się szczerze, choć jej łzy jeszcze nie zdążyły obeschnąć.

– Wydaje się, że wy w Europie nie czytaliście o Ameryce niczego poza *Chatą wuja Toma*. Jestem z Massachusetts, z Bostonu. Dam ci adres mojego ojca, on jest najśłynniejszym czarnoskórym adwokatem w Nowej Anglii. Ja studiowałam medycynę za rzeką, na Harvardzie. Na piątym semestrze przerwałam, żeby przyjechać jako ochotniczka do waszej pieprzonej Europy. To wszystko. Znaczący napiszesz, zrozumieliśmy się?

Musiałem wspiąć się na palcach, by pocałować w policzki tę zgrabną Murzynkę o dużym biuście. Sierżant Jefferson oparty o jepea patrzył obojętnie i bez śladu zazdrości, jako że mogłem być tylko jej dziadkiem z innej, niepełnowartościowej, no i znacznie bledszej rasy.

## 6

Nie wiem, czy słyszałeś o Salomonie Kalmowitzu, genialnym wiedeńskim kuśnierzu, który z importowanych skórek króliczych robił wspaniałe damskie futra będące imitacją srebrnego lisa, norek, a nawet lamparta? Tenże Kalmowitz, wiesz, powróciwszy z londyńskiej emigracji do Wiednia, ponownie zamieszkał w swoim starym lokalu przy Schwedenplatz i, ledwo doczekawszy świtu, natychmiast pobiegł do najbliższego kiosku z gazetami, gdzie poprosił o aktualny numer nazistowskiej gazety „Völkischer Beobachter”. Odpowiedziano mu, że taka gazeta już się nie ukazuje, Kalmowitz podziękował więc uprzejmie i kupił paczuszkę cukierków miętowych. Następnego dnia znowu tam poszedł i znów poprosił o tę



samą gazetę, i otrzymał taką samą odpowiedź. Czynił to każdego ranka, aż dziesiątego dnia znużony sprzedawca raczył go zapytać:

– Szanowny panie, czy pan jeszcze nie zrozumiał, że ta gazeta nie wychodzi i że już nigdy wychodzić nie będzie?!

– Wiem, gołąbku, wiem. Ale tak pięknie jest rozpocząć dzień od dobrej wiadomości!

Nie mam pojęcia, dla kogo ta wiadomość była dobra, a dla kogo nie tak bardzo. W każdym razie trafiłem nie do tego samego Wiednia, jaki pamiętałem jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej: miasta wesołego, zakochanego w sobie i skłonnego przyjmować wstrząsy losu jako historyczne intermezzo w swym niekończącym się walcu. Po prostu przerwa na wypoczynek i zmianę kawalerii. Niewykluczone, że miasto tak wyglądało jedynie z boku, nie wiem, lecz teraz wydawało mi się bardziej ponure i nieuporządkowane, utraciło swój radosny nastrój i z trudem znosiło braki, zniszczenie i okupację. Na ścianach rozwiewały się jeszcze strzępy z wyobrażeń męznego hitlerowskiego żołnierza o kwadratowej twarzy, z nasuniętym hełmem, srogo trzymającego palec wskazujący na ustach „Szpieg nie śpi”, a pod plakatami huczały potężne amerykańskie, angielskie i radzieckie ciężarówki. Lub też rosyjscy żołnierze maszerowali w krok i, pogwizdując, śpiewali kołchoźne czastuszki o różnych Maszach i mamaszach, całkowicie obce temu światu, przytulonemu w objęciach łuku majestatycznego Hofburga. Wiedeńczycy przystawali na trotuarach, by popatrzeć na tych pozaziemskich przybyszy z zadartymi nosami lub skośnymi, azjatyckimi oczami; niektórzy patrzyli z jawnym zaciekawieniem, inni ze skrywanym niedowierzaniem. Wciąż jeszcze nie uświadamiali sobie, co dokładnie wślizgnęło się do ich życia, jak czarny kot do kuchni, podczas przerwy między słowami *Sieg* i *Heil!*, żeby zburzyć wszystko, łącznie z planami Karla-Heinza Mullera dotyczącymi założenia hodowli koni lub choćby małego browaru w pobliżu Rostowa nad Donem.

Inny był przypadek Frau Sigrid Kubitzek, która przyjęła mnie w Miejskiej Komisji do spraw Przesiedleńców, znajdującej się w skonfiskowanych pomieszczeniach partii narodowosocjalistycznej, mieszczącej się dokładnie za Burgtheater. Przedłożyłem jej wydane mi przez amerykańskie władze wojskowe w Salzburgu dokumenty, z których wynikało, że jako urodzony w granicach byłego cesarstwa Austro-Węgier mogę być traktowany jako obywatel austriacki korzystający z praw i przywilejów ofiar nazizmu i tak dalej. Frau Kubitzek była kobietą wyjątkową, całkowicie oddaną sprawie, miłą i uprzejmą, szczególnie wobec mnie, gdy dowiedziała się, że ocalałem z obozu Flossenbürg, skąd nie wrócił pewien jej bliski współpracownik. Przy czym przez współpracownika należało rozumieć członka Komisji Socjalnej przy rozwiązanej, a teraz reaktywowanej Austriackiej Partii Socjalistycznej – akt politycznego uporów, który powinien okryć niezatartym wstydem żydowską socjaldemokrację w Kołodźcu, gdyby w tym czasie nie nastąpiły wydarzenia daleko przewyższające tragizmem owe pamiętne popołudnie w kawiarni Dawida Lejbowicza.

Tak więc zakwaterowano mnie w małym mieszkaniu w starym, okopconym budynku przy Margarethenstraße. Tego mieszkania nie opuściłem już nigdy, z wyjątkiem okresu przymusowego wypadu na biegun północny.

Następnego dnia ponownie wpadłem do Frau Kubitzek, żeby podziękować jej za wielkie zaangażowanie i współczucie dla byłych więźniów obozów koncentracyjnych, a ona poczęstowała mnie herbatą z marchwi i rzadkimi w tym czasie wiedeńskimi rogalikami z nadzieniem orzechowym. Prawdziwą herbatę krasnodarską lub indyjską można było kupić na czarno od rosyjskich i angielskich żołnierzy, ale socjalistyczna Frau była przekonany i zażartym wrogiem czarnego rynku – dość dogmatyczna postawa, którą, szczerze mówiąc, niezupełnie podzielałem. I tak podczas picia herbaty marchewkowej dowiedziałem się, że jej małżonek Franz Kubitzek przebywa jako jeńiec w Rosji. Frau gorąco wierzyła, że on któregoś dnia powróci, ale niewola męża w najmniejszym stopniu nie zachwiała jej wiary w

sprawiedliwość antyhitlerowskiej koalicji, jak również w zasłużone nieszczęście, które spotkało piechura Kubitzka.

– Jestem pełna zachwytu dla bohaterstwa radzieckiego narodu – powiedziała. – Szczerze mówiąc, w latach trzydziestych, przed anszlusem, ja i mój mąż byliśmy zdecydowanymi przeciwnikami okrutnych represji Stalina, ale obecnie zarówno ja, jak i cała Europa zmieniliśmy zdanie.

– Czyżby? – spytałem z roztargnieniem.

Podzielałem, oczywiście, jej zachwyty, czyż nie w tej wielkiej bitwie padły także moje dzieci, ale nie miałem ochoty dyskutować na temat entuzjazmu Europy, ponieważ nawet z mojego żalnego punktu obserwacyjnego w „Mode parisienne” w Kołodźcu, trzy stopnie poniżej poziomu ulicy, wyraźnie było widać, jak ta sama Europa łatwo przechodziła od ślepej negacji lub obojętności do równie ślepego uwielbienia lub odwrotnie, w tym samym porządku. Co się zaś tyczy Stalina, którego państwo Kubitzek błędnie oceniali przed anszlusem, wolałem się nie wypowiadać, lecz poczęstować jeszcze jednym rogalikiem.

## 7

Smutek, jak poranna mgiełka, wolno się roztopiał w troskach dnia codziennego, a ból słabł, ponieważ życie ma swoje wymagania – jak trawka, która przebija asfalt, dążąc do słońca i nadziei. W ten sposób również powojenny Wiedeń szybko przezwyciężył szok i najgłębsze urazy, stopniowo powracając do zwykłego, pogodnego nastroju. Trzeba było przecież wypiekać chleb, posyłać dzieci do szkoły, podreperować zniszczony transport i służbę zdrowia – słowem, trzeba było żyć.

Wspomniałem o czarnym rynku, tak kategorycznie osądzanym przez Frau Kubitzek, lecz ty bynajmniej nie spiesz się lekką ręką piętnować to powojenne zjawisko. Nie poszukuję paradoksów, słowo honoru, ale właśnie czarny rynek i spekulacja pierwsze poprzez swą żywotność i elastyczność przezwyciężały linie frontów, granice i nienawiść, pierwsze też roztopiały lody zamrożonej Europy. Papierosy Lucky Strike i konserwy z wieprzowiny w galarecie to pierwsi amerykańscy misjonarze dobrej woli, czasy *Yankee go home!* jeszcze nie nadeszły, gdyż jankesi dostarczali szynkę i banany, prezerwatywy i leki. Przemieszczały się i urządzały na nowo masy ludzkie – jak płyty tektoniczne, które dochodzą do równowagi. Przesiedleni Żydzi polscy wykupywali za bezcen domy i parcele w amerykańskiej strefie Berlina, bułgarskie papierosy z kontrabandy zamieniały się we francuskie wino z kontrabandy, zielone, wojskowe koce angielskie przebywały skomplikowaną drogą, by zamienić się w nieruchomości niedaleko Wiednia bądź koło Baden, a zagrabione złoto zamieniało się w fałszywe paszporty dla nazistowskich przestępców wojennych poszukiwanych wszędzie, w Niemczech i w Austrii, ale pociągających już dżin z tonikiem i cytryną pod palmami Ameryki Łacińskiej.

Z musu ja też wmieszałem się w podobne operacje, na początku drobniejsze, związane z kawą, czekoladą oraz z nowym amerykańskim cudem – penicyliną. Stopniowo ta ryzykowna gra wciągnęła i mnie, a jedno czy dwa znaczniejsze i ku mojemu zdziwieniu zakończone sukcesem posunięcia stworzyły podwaliny pod realizację marzenia o małym przedsiębiorstwie konfekcyjnym. Zdawałem sobie sprawę, że czas małych pracowni krawieckich w rodzaju „Mode parisienne” minął bezpowrotnie, toteż rzuciłem się w wir nowego życia w swej piątej już ojczyźnie, zamykającej korowód ojczyzn i ideałów. Przynajmniej tak wówczas myślałem, nie podejrzewając, że w stosunku do mnie pojawią się pretensje o restytucję starej własności narodowej, ale nie spieszymy się.

Niekiedy wpadałem do Miejskiej Komisji do spraw Przesiedleńców, żeby pomóc Frau Kubitzek jako tłumacz wolontariusz z polskiego, ukraińskiego, rosyjskiego i jidysz, służący tłumom emigrantów napływającym do nowej Ziemi Obiecanej – Austrii, przy czym Dunajowi, który wciąż płynął w błędnym przekonaniu, że jest modry, została powierzona rola skromnej namiastki dublera świętego Jordanu.

Na brzegu tego nowego Jordanu, poza pustynią, którą wojna zostawiła po sobie, znajduje się Mexikoplatz – centrum będące pulsującym sercem, niezmordowanym żywiołem spekulacji i czarnego rynku. Tutaj od rana do wieczora i od późnej nocy do bladego świtu we wszystkich językach i narzeczach świata kupowano, sprzedawano i zamieniano wszystko, co tylko możliwe – od rodzinnych relikwii i prawosławnych ikon do zużytych wojskowych ciężarówek Austro-Fiat, od szwajcarskiego mleka w proszku do oryginalnej rosyjskiej wódki. Nie myśl sobie jednak, że mowa jest o bazarze, na którym ułożono proponowane towary – nic z tych rzeczy nie można było zobaczyć, ludzie spacerowali lub siedzieli cały tydzień nad dawno wypitą kawą, jakby nie mieli innej troski oprócz czekania na deszcz. Szczególnie przebiegła wymiana walut odbywająca się w warunkach pełnej konspiracji, kurs zaś był tutaj zawsze korzystniejszy od oficjalnego, jeśli więc człowiekowi udało się komuś wepchnąć fałszywe funty angielskie, mógł z pewnym opóźnieniem stwierdzić, że otrzymane w zamian dolary tak samo nie były drukowane w Turcji. Nawet opowiadają o dwóch rumuńskich Żydach ubranych w zużytą odzież po jakimś nieboszczyku, który albo był pół metra niższy, albo o pięćdziesiąt kilogramów cięższy, a jednak mieli oni doświadczenie w drobnych i ciemnych operacjach walutowych. Rankiem, gdy przechodzili obok siebie, jeden z nich informował się półgębkiem:

– Ile?

– Pięć – wyszeptał drugi.

Potem obydwaj rozchodzili się na przeciwległe końce placu, by powracać z rękami niby niedbale wepchniętymi w kieszeń dziurawych spodni, a mijając się jak dwa statki na oceanie, pierwszy dyskretnie pytał:

– Co pięć?

– A co ile?

W związku z tą zgubną namiętnością kupowania, sprzedawania, a głównie zamieniania wszystkiego, co tylko możliwe, na cokolwiek innego, która opanowała Mexikoplatz, ktoś nazwał ten wybitny czynnik ożywienia gospodarczego „małą Odessą”. I słusznie, ponieważ tutaj również funkcjonowała prawdziwa handlowa wieża Babel różnych narodowości i języków, z odczuwalną żydowską obecnością charakterystyczną dla Odessy przed najazdem nazistowskim. Opowiadają nawet o pewnym przypadku, kiedy to w środku nocy pociąg zatrzymał się na dłuższy postój przy jakiejś stacji. Zaspany pasażer otworzył okno, wystawił głowę i zapytał przechodzącego kolejarza:

– Przepraszam, co to za stacja?

– Odessa – odpowiedział kolejarz.

– A dlaczego stoimy tak długo?

– Zmieniają lokomotywę.

– A na co ją zmieniają?

Kolejarz zdziwiony zapytał:

– Jak to na co... na inną lokomotywę.

– Znaczy to nie Odessa! – powiedział pasażer i zamknął okno.

Mam nadzieję, że dostatecznie ci naświetliłem, czym był Mexikoplatz – areną moich pierwszych, początkowo nieśmiałych i niezdarnych prób włączenia się w marksowy obieg: „pieniądze – towar – pieniądze”, choć dość często bywało „towar – przerwa”, a następnego dnia „gdzie znikł tamten Chorwat”, co oznaczało, że końcowy człon „pieniądze” po prostu wyparowywał.

Rzecz oczywista, Frau Kubitzek nawet nie podejrzewała mnie o tego rodzaju działalność, sądząc, że zarabiam jako kantor w powracającej teraz do życia, zniszczonej podczas nocy kryształowej synagodze – moje głupie kłamstwo, do którego obecnie przyznaję się ze skruchą. Ale w przeciwnym razie, rozumiesz, byłbym zażenowany z powodu pochodzenia moich pieniędzy, pijąc herbatę nie z marchwi, lecz z liści herbacianych, i jedząc rogaliki z nadzieniem orzechowym, które to prowianty przynosiłem już osobiście w charakterze samodzielnej jednostki gospodarczej. Herbatę dostarczałem, oczywiście, z Mexikoplatz, a rogaliki spod lady małej cukierni naprzeciwko katedry Świętego Stefana z sięgającą nieba dzwonnica nazywaną przez wiedeńców czule Steffl. Dech zapierało mi zawsze z zachwytu przed tą mistyczną, gotycką modlitwą z kamienia, pomimo że biedny Święty Stefan z powodu zburzonej przez bombę lewej wieży podobny był do inwalidy wojennego z jedną nogą.

Któregoś późnego popołudnia, odpowiednio zaopatrzonej w tradycyjne rogaliki ze wskazanej już cukierni, skierowałem się do bojowego posterunku Frau Kubitzek, by pomóc jej na trudnym szlaku przez emigrancką dżunglę językową. Zaraz po przekroczeniu progu zauważyłem dziwny wyraz twarzy mojej Frau i jej pobieżne, pełne trwogi spojrzenie rzucone radzieckiemu kapitanowi, który siedział bokiem na zniszczonym krześle, kartkując jakieś czasopismo. Kapitan podniósł oczy, a Frau Kubitzek zdławionym głosem powiedziała:

– Oto on, panie oficerze.

Było w tym coś niepokojącego, a przypomniało mi owego drobnego Włocha w drucianych okularach, który wyciągnąwszy Sabaothowy palec, powiedział: „To on!”.

Kapitan wyprostował się i zgodnie z rosyjskim żołnierskim nawykiem obciągnął bluzę.

– Obywatel Blumenfeld Izaak Jakubowicz?

– Ten sam – odpowiedziałem, rzucając zdziwione spojrzenie poblądłej Frau Kubitzek.

Kapitan przeszedł na rosyjski.

– Proszę za mną.

– Dokąd? Dlaczego? – zapytałem i ja po rosyjsku.

– Do wyjaśnienia w radzieckiej komendzie wojskowej. Proszę przede mną, obywatelu Blumenfeld.

Znałem dobrze różnicę między zimnym „obywatelu” a „towarzyszu”, i właśnie ta różnica zmroziła mi krew w żyłach.

Na zewnątrz czekał radziecki gazik wojskowy, żeby odwieźć obywatela Blumenfelda Izaaka Jakubowicza, nawet niepodejrzewającego w tej chwili, że komenda była tylko pierwszym etapem pewnej, niepowtarzalnej i wzruszającej podróży ku wielkiej, białej ciszy Północy.

Żegnaj Wiedniu, żegnaj Mexikoplatz, żegnaj Frau Kubitzek, żegnajcie rogaliki z nadzieniem orzechowym! Żegnaj i ty, mój biedny inwalido, Święty Stefanie!

## 8

Sprawa nabrała powagi, gdy radziecki śledczy wojskowy rzucił mi lodowate spojrzenie, przeniósł wzrok na otwartą teczkę z maszynopisem, westchnął, niedbale przekartkował jej zawartość, by ponownie utkwic we mnie swoje spojrzenie. Stałem przed nim wyprostowany, zupełnie nie mogąc zrozumieć, czy jestem aresztowany, czy też poproszą mnie uprzejmie o wyjaśnienie czegoś. Wreszcie śledczy się odezwał:

– Zdradziliście swą radziecką ojczyznę! Dlaczego?

– Co towarzysz mówi, towarzyszu śledczy! – powiedziałem szczerze oburzony.

– Obywatelu śledczy! Nie jestem dla was żadnym towarzyszem – poprawił mnie.

– W jakim sensie ją zdradziłem... obywatelu śledczy?  
– Ponieważ w ankiecie wprowadziliście w błąd władze amerykańskie, żeście się urodzili w Austro-Węgrach.  
– Ponieważ urodziłem się w Austro-Węgrzech.  
– Obwód lwowski znajduje się w Związku Radzieckim!  
– Ale kiedy się urodziłem, to były Austro-Węgry.  
– Może powiecie nawet, że Kanada! Albo Wyspy Azorskie?  
– Ja tego nie twierdzę...  
– Waszym ostatnim miejscem zamieszkania był Kołodziec, w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich!

– Moim ostatnim miejscem zamieszkania był obóz koncentracyjny Flossenbürg w Górnym Palatynacie w Bawarii – sprzeciwiłem się.

Śledczy wyglądał na bardzo zadowolonego z tego samoprzyznania, bo oparł się na krześle i tryumfującym głosem zagrział:

– Taaak, doszliśmy zatem do sedna sprawy. A teraz opowiedzcie o zdradzie, jakiej dopuściliście się w obozie o nazwie Obiekt Specjalny A-17.

– Co małą na uwadze?

– Czy znacie niejakiego Stachowicza?

– Oczywiście. On został aresztowany z jeszcze dwoma z naszych, radzieckich.

– Ach, tak! Znaczy radzieccy stali się „naszymi”? Czy wiecie, że zostali rozstrzelani?

– Nie, nie wiedziałem, ale przypuszczałem.

– To wy ich wydaliście!

– Ja?!

– Wy!!!

– Ja?!!!!

– Tak, wy!!! Czy są to wasze inicjały?

Pokazał mi nakaz aresztowania parafowany przez Rzodkiewkę z trzema literami I.J.B.

– To jest parafa komendanta Immanuela Johannes Brucknera.

– A nie Izaaka Jakuba Blumenfelda?

– Mój Boże, jak mogłem parafować dokument z nazistowskiego obozu koncentracyjnego? Przecież jestem Żydem!

– Zdrada nie ma narodowości!

Miał rację obywatel śledczy – zdrada i idiotyzm nie mają narodowości, one są najbardziej międzynarodową rzeczą, zasługującą na własną, czwartą lub nawet piątą Międzynarodówkę!

A dalej, co ci mam opowiadać i po co naprzykrzać się z detalami wokół sensacyjnego odkrycia śledczego, którym zamierzał mnie zmiażdżyć i ostatecznie złamać mój sprzeciw, zarzucając, że w obozach byłem zarejestrowany pod fałszywym, polskim nazwiskiem jako Henryk Brzegalski. Dla niego, mam na myśli śledczego, a nie portiera lwowskiej oftalmologii, ta obciążająca mnie okoliczność bezspornie udowodniała, że ukrywam swoje radzieckie pochodzenie. Nie mówiąc o dokładnej, niebudzącej wątpliwości informacji, że mieszkałem w kancelarii obozu, a nie w ogólnych pomieszczeniach sypialnych i że grałem w szachy z Rzodkiewką.

Czy był sens wyjaśniać, że w tę całą aferę byli bezpośrednio zamieszani Johann Wolfgang Goethe i mój drogi nauczyciel we wszystkich dziedzinach wiedzy, łącznie z językiem niemieckim, Eliezer Pinkus, niech mu ziemia lekka będzie? Doprawdy, czy był sens?

Ja, bracie mój, jestem pyłkiem wobec majestatu Stworzenia lub, powiedzmy, niewidoczną mróweczką w wielomiliardowym mrowisku. Czy historia kiedykolwiek zwróci na mnie uwagę, zajmie się moim przypadkiem, mnie, który nie jest niczym więcej aniżeli kroplą w bezbrzeżnym oceanie zdarzeń. Ale i mróweczka jest próżna, chciałaby więc zostawić po sobie dobre wspomnienia, dlatego dzielę się z tobą treścią protokołu śledztwa, osobiście

podpisanego przeze mnie w obecności śledczego. Kopię tego protokołu udało mi się otrzymać dużo później od pewnej sekretarki sądu w Kijowie, za dwie paczuski amerykańskiej gumy do żucia i parę rajstop – skryte marzenie każdej radzieckiej kobiety w tamtych latach. Wybacz mi, jeśli gdzieś tam dostrzeżesz pozostałości mojego młodzińskiego nawyku udawania głupiego, ale ponieważ obywatel śledczy patrzył na mnie jak na głupca, który przyczyni się do jego szybkiego służbowego awansu, dlaczego nie miałbym dostarczyć przyjemności dobremu człowiekowi?

## PROTOKÓŁ

*Ja, niżej podpisany Izaak Jakub Blumenfeld, urodzony 13 stycznia 1900 roku w Kołodźcu koło Drohobycza, województwo Lemberg, inaczej Lwów, z pochodzenia Żyd, niniejszym oświadczam, że nigdy i w żaden sposób nie zdradziłem mojej radzieckiej ojczyzny, tak jak nie zdradzałem którejkolwiek z innych moich ojczyzn, ponieważ, przepraszam, jest ich pięć. Urodziłem się, jak już wskazałem powyżej, w pięknym miasteczku Kołodziec koło Drohobycza i wyrosłem jako wierny poddany Austro-Węgier. Rzeczony państwo – dla Waszej informacji już nie istnieje – uważam za swoją pierwszą ojczyznę i myślę, że to jest słuszne. Później w okolicznościach, które przytoczę w sądzie, gdy przyjdzie czas po temu, w latach mego dalszego pobytu w rodzinnym miasteczku moją ojczyznę została Polska. Wdzięczny jestem tej nowej ojczyźnie, ponieważ w czasie mojego polskiego obywatelstwa ożeniłem się z Sarą, o której też opowiem, gdyż to ona urodziła mi troje dzieci – dwóch chłopców i jedną dziewczynkę. Służyłem Polsce wiernie do dnia, w którym zmieniono mi ojczyznę. Stało się to 17 września 1939 roku dość nagle, kiedy nie opuszczając rodzimego miasteczka Kołodziec, dowiedziałem się, że moją ojczyznę został wielki Związek Radziecki, któremu służyłem uczciwie, płacąc regularnie składki członkowskie związkom zawodowym, brałem udział w pochodach z okazji święta 1 Maja i święta Rewolucji Październikowej, zawsze też 8 marca składałem koleżankom życzenia z okazji Dnia Kobiet. Nastąpiły jednak wydarzenia, w których, jak najbardziej odpowiedzialnie oświadczam, nie brałem żadnego udziału ani nie ponoszę za nie jakiegokolwiek winy, a w wyniku których moją ojczyznę stała się Trzecia Rzesza, co, przyznaję, nie przypadło mi do serca jako Żydowi z nieczystej rasy, co udowodniono naukowo. Fakt ten po raz pierwszy wymusił pewne zmiany tak dotyczące mojego stałego miejsca zamieszkania, jak i moich dokumentów przynależności narodowej. Po pewnym moim – szczerze przyznaję – nielegalnym pobycie we Lwowie pod nazwiskiem Henryka Brzegalskiego mój adres początkowo brzmiał: Obiekt Specjalny A-17 w Lesie Oranienburskim, następnym etapem była komendantura w wymienionym mieście Oranienburg, okręg berliński, i wreszcie zatrzymałem się trwale w obozie Flossenbürg w Górnym Palatynacie w Bawarii pod numerem U-20-05765, gdzie, mimo pewnych życiowych i innych niewygód, za którymi nie płacę, doczekałem końca wojny.*

*W chwili niniejszego przesłuchania mieszkam w Wiedniu przy Margarethenstraße 15. Mieszkam sam, ponieważ Sara i dzieci nigdy nie wróciły z łaźni mineralnych, dokąd osobiście je wysłałem w czerwcu 1941 roku. Zobowiązany jestem także wyjaśnić, że posiadam zezwolenie na stały pobyt na terytorium Republiki Austriackiej, a także pokwitowania zapłaconych rachunków i podatków, zgodnie z prawem kraju, ale byłbym wdzięczny Bogu, jeśli jeszcze raz nadarzy mi się okazja odwiedzić miejsce moich narodzin, Kołodziec koło Drohobycza, obwód lwowski, ZSRR.*

*Oświadczam z największą odpowiedzialnością przed szanownym obywatelem śledczym Radzieckiej Komendy Wojskowej miasta Wiednia, że inicjały mojego imienia Izaak Jakub Blumenfeld (I.J.B.) oraz inicjały komendanta Obiektu Specjalnego A-17 – Immanuela*

*Johannesa Brücknera (I.J.B) są całkiem przypadkowo zbieżne, a z tego powodu nie jestem, proszę o wybaczenie, żadnym przestępcą wojennym.*

*Własnoręcznie napisał i złożył swój podpis:*

*IZAAK J. BLUMENFELD  
Wiedeń, 12 września 1945 r.*

I tak, bratku, ciemne chmury na moim horyzoncie gęstniały, gdyż oprócz dowodów zdrady narodowej, dołączono miażdżące oskarżenie, że jestem przestępcą wojennym, który swoim podpisem wysłał na śmierć trzy osoby. I nawet wykluczony odrzucenie prośby mojego adwokata z urzędu o ekspertyzę grafologiczną, co określono jako stratę czasu, zdołasz rozumieć całą sprzeczność owego kazusu: albo jestem Żydem, albo przestępcą nazistowskim. Ale major Gribow, prokurator wojskowy, był bardzo doświadczonym człowiekiem, który widać pobierał nauki u wielkiego oskarżyciela państwowego Andrieja Januariewicza Wyszyńskiego i zdołał pogodzić te sprzeczności.

Ja nie przyznawałem się do winy, co zapewne było moim najfatalniejszym błędem, szczerze bowiem wyznanie winy zmiękczyłoby serca trójki sędziowskiej, ogarniętej patosem rewolucyjnym, która bez wahania wlepiła mi dziesięć lat obozu poprawczego.

I tak, szmita, wszystko od nowa!

A Ty, Boże Jahwe, władco losów judaistycznych, wznoszący ochronną dłoń nad Twoim wybranym plemieniem, może szepnąłbyś, gdzie są te Twoje okna?

## 9

A teraz, bratku, rozłóż mapę Eurazji i znajdź Ural – granicę między dwoma kontynentami. Potem wyrusz na wschód i przejdź przez rzekę Ob, pierwszą z trzech wielkich rzek syberyjskich. Idź dalej w kierunku północnego wschodu i spróbuj przeciąć drugą wielką rzekę – potężny Jenisej, a potem, jeszcze bardziej na wschód, także Lenę. Wędruj moją drogą dalej, ciągle w kierunku północno-wschodnim, za złotodajną rzekę Indigirkę, aż zatrzymasz się przed skalistymi brzegami żywiołowej Kołomy. Posuwaj się w dół z jej prądem, w kierunku Morza Arktycznego, aż dotrzesz na Nizinę Kołymską, w doliny dzikiego kołymskiego grzbietu górskiego, który, można by rzec, jest prawie końcem radzieckiej geografii. Za górskim grzbietem znajdują się tylko rzeka Czaun i Czukotka przy Cieśninie Beringa, lecz nie porywaj się iść dalej, bo wejdiesz na terytorium Stanów Zjednoczonych. Tak miniesz równoleżnik 80 stopni, a jeśli z zamiłowania do wiedzy podążysz jego drogą zgodnie z ruchem wskazówek zegara, kierując się w drugą stronę, wykonasz polarne okążenie planety. Czyli najpierw przetniesz Nową Ziemię między Morzem Karskim a Morzem Barentsa, następnie dotkniesz Przylądka Północnego – najbardziej wysuniętego na północ punktu skandynawskiego, by z kolei przeciąć środek lodowatej Grenlandii, przy czym idąc śladami legendarnej marszruty Roalda Amundsena, przejdziesz obok osady Fort Jukon, która wciąż miewa złote sny Jacka Londona, i dalej, przez Morze Czukockie, powrócisz do domu, gdzie dokładnie naprzeciw Wyspy Niedźwiedziej łni rodzimy gwiazdozbiór obozów poprawczych. Mówiąc „gwiazdozbiór”, mam na uwadze czerwone pięcioramienne gwiazdy umieszczone nad ściśle strzeżonymi bramami, które zaopatrzono w wieżyczki strażnicze wykonane z nieobrobionych sosnowych pni. A ów niepozorny safandula, który na smaganych przez lodowaty wichur skalach utkwiał wzrok w bezmierną biel Północy, to ja, ZEK 003-476 W lub, prościej mówiąc, więzień Blumenfeld Izaak Jakubowicz, zdrajca ojczyzny radzieckiej i na dodatek nazistowski przestępca wojenny.

Wybacz, że się powtórzę, mówiąc, że nie podejmuję się opisywać bądź oceniać obozowego archipelagu, z jego niewyobrażalną pstrokacizną i różnorodnością, tak drobiazgowo opisanego przez rosyjskiego junaka Sołżenicyna i przez innych, lepszych ode mnie autorów, toteż nie mogę przyrzec, że to, co osobiście tam widziałem i przeżyłem, jest identyczne z tym, co widział i przeżył ktoś inny w innym obozie, oddalonym o pięćdziesiąt, pięćset lub pięć tysięcy rosyjskich wiorst. Albowiem obozy różniły się znacznie od siebie reżimem, składem osobowym i przeznaczeniem. Czasami, na przykład, ci, co wydobywali wolfram i złoto w kopalniach Gór Południowoaustralijskich, mieli większą swobodę i byli lepiej karmieni niż starzy inwalidzi, weterani wojny domowej w jakimś nędznym przytułku dla starców na przedmieściach Kostromy. Z innych znów miejsc przybywali do nas, według nieznanych i nigdy nieodgadnionych przeze mnie schematów przemieszczeń i przegrupowań, więźniowie o rozchwianych zębach i krwawiących dziąsłach z powodu szkorbutu, nie mówiąc już o tych, którym włosy wypadały całymi garściami, natomiast zeki z opuchniętymi ciałami przybywali z kopalń uranu, gdzie tylko nielicznym udawało się przeżyć. I natychmiast jako przykład całkowitego przeciwieństwa wskażę ci próżniaków korzystających w myśl konwencji genewskiej ze specjalnego statusu odznaczonych orderami Krzyża Żelaznego z liśćmi dębu, o których już wspominałem, bom ich przez jakiś czas obsługiwał, a była to, można by rzec, arystokracja obozowa, pracująca w „skrzynkach pocztowych”, czyli tajnych miastach w tajdze, niezaznaczonych na mapie, bez adresu, posiadających jedynie kod pocztowy, z przeznaczeniem na supertajne badania, technologie i produkcje.

Pomylisz się, jeśli sądzisz, że wszyscy byliśmy skazani za działalność polityczną: do tego obozowego koktajlu wlewały się potężne potoki syberyjskich i kaukaskich bandziorów, gruzińskich spekulantów i abchaskich kontrabandyzistów, profesjonalnych stręczycieli i hazardzistów, a także zwyczajnych, niepoprawnych moskiewskich kieszonkowców, zdeklasowanych typów z marginesu społecznego, a w sąsiedztwie prostytutki i bajzelmamy z tajnych domów publicznych i melin gier hazardowych. A razem z nimi, w tym samym koktajlu poeci i filozofowie, biologowie i światowej sławy autorytety reakcyjnych pseudonauk burżuazyjnych – genetyki i cybernetyki – teatralni reżyserzy i gwiazdy filmowe. I znowu popełnisz błąd, jeżeli będziesz szukał wspólnego mianownika i uznasz wszystkich, powiedzmy, za zwyczajne antyradzieckie elementy. Tam, w obozach, niekiedy podczas niekończących się wrogich sporów i sprzeczek, brali się za bary uczestnicy wojny domowej, jedni po stronie białych, inni – czerwonych, których dziesięciolecie lub dwa pozostawiano na wolności, aby potem pod odpowiednim pretekstem ponownie ich zamknąć. Mogłeś też być świadkiem zażartych dysput teoretycznych między trockistami i stalinowcami, mogłeś zobaczyć śpiących na jednej pryczy, ramię przy ramieniu, inżynierów wielkich budowli pierwszych pięcioletek obok zdeklarowanych sabotażystów tych samych budowli, zażartych antykomunistów i kadrowych bolszewików, wysługujących się nazistom kolaborantów, których ominął strzał w głowę, działaczy ruchu oporu na okupowanych ziemiach radzieckich, lub, powiedzmy, uczestników wojny domowej w Hiszpanii, co znaleźli się tutaj z niewiadomego powodu.

– Nie próbuj odgadnąć schematu, ukrytej logiki całej tej kaszy – powiedział, usiadłszy na wypolerowanym przez wiatry i lód skalnym występie, Mark Siemionowicz Lebiediew, mój nowy przyjaciel i sąsiad z pryczy, młody mężczyzna z posrebrzonymi już włosami, którego muzyczne komedie filmowe oglądałem jeszcze w Kołodźcu. – Nie ma schematu, jeśli kasza sama z siebie nie jest schematem, genetycznie założoną podstawą reżimu. Nie tylko w obozach, ale w ogóle. W odróżnieniu od niemieckich w naszych obozach nie ma reguł gry, nie ma ich i na zewnątrz, w społeczeństwie. Naziści już na wstępie ogłosili swój ideowy asortyment i ściśle go przestrzegali do ostatniej sekundy: dokładnie określili, które narody podlegają „ostatecznemu rozwiązaniu”, przeznaczone na nawóz dla rasy aryjskiej, a które mają być wiernymi sojusznikami. Wyraźne i precyzyjne, wcześniej ogłoszone kryteria.



Prawda, nieludzkie i idiotyczne, bezduszne, barbarzyńskie, ale jednak kryteria. My zaś ogłosiliśmy, że budujemy społeczeństwo braterstwa, humanizmu i sprawiedliwości, śpiewając, że nie ma innego kraju, gdzie człowiek oddycha tak swobodnie. Następnie zaś w myśl marksistowskiej tezy o wolności jako uświadomionej konieczności uświadomiliśmy sobie konieczność budowania obozów, ogólnego donosicielstwa i strachu. Powiadam ci, nie ma reguł gry. Ale to także może być regułą, nawet myślę... ratującą naród regułą. Zrozumiałeś?

– Nie – przyznałem szczerze.

– Chaos instytucjonalny, żywiołowy ruch cząstek i naturalny instynkt ocalenia zbawczo odbierają energię superscentralizowanym postulatom i demokratyzują je, jeśli pojmujesz, co chcę powiedzieć. Zresztą ten radziecki żywioł spontanicznej demokratyzacji w ostatecznym rozrachunku rozgromił systematycznych Niemców, którzy od dzieciństwa wiedzą, że na planszy szachów gra się dwoma białymi i dwoma czarnymi konikami. My zaś przeciwko wszelkim regułom wprowadziliśmy trzeciego konika i przez to Niemcy dostali w kość. Czy teraz wyraziłem się jasno?

– Powiedzmy, mów dalej.

– Czego oczekiwał Parteigenosse Hitler, gdy wyruszył na błyskawiczną wojnę przeciwko nam? Że uciśnione narody radzieckie powstaną przeciwko swemu ciemniejszyielowi? Że wyzwoleni z obozów strachu specjaliści wojskowi, technolodzy i konstruktorzy przy pierwszej możliwej okazji przejdą na stronę Niemców? Nic z tego! Że ludność z terytoriów ogłoszonych przez hitlerowców za wyzwolone spod bolszewizmu powita Niemców chlebem i solą? I znowu nic z tego! Posłuchaj, ja tam byłem i zaświadczam: upadek Moskwy miał być nieunikniony, aksjomat matematyczny, szach i mat w trzech ruchach. A balu nie było! Dlaczego? Generał zima? Bzdury dla pierwszych naiwnych! Przecież potem przybyli i generał wiosna, i generał lato. Nie, my po prostu wprowadziliśmy przeciwko różnym feldmarszałkom trzeciego konika, piątego asa i graliśmy w pokera według reguł piłki nożnej. Nasza siła tkwi w kapryśkach chaosu, w samorzutności żywiołowo poruszających się cząstek, w grze bez reguł. Innymi słowami, w zaskoczeniu, które zresztą nierzadko swymi rezultatami zaskakuje nas samych. Na przykład, zaskoczyć przeciwnika oczekującego, że zagrasz kartą internacjonalizmu, a ty wyciągasz z rękawa usmolony przez długie użycie najbardziej tradycyjny, monarchiczny, prawosławny i wielkoruski nacjonalizm. I ku ogólnemu zaskoczeniu działa on perfekcyjnie pomimo szkół partyjnych i ścisłej nauki według *Krótkiego kursu historii WKP(b)*.

– Znaczy według ciebie – mówię – wszystko jest chaosem i przypadkiem. Mój rabin zaś wierzy w tajemniczość drogi i jej końcowy sens. On wierzy, że cel jest z góry określony.

Mark Siemionowicz wzruszył ramionami.

– Rabini są wierzący, to się rozumie samo przez się. Ja nie jestem wierzący.

– I nie wierzysz w końcowe zwycięstwo nowego społeczeństwa „rozumu i sprawiedliwości”?

– Co ma wspólnego z tym wszystkim Związek Radziecki? Czy widziałeś kiedykolwiek moskiewskie metro?

– Nie byłem nigdy w Moskwie – powiedziałem.

– Szkoda, najpiękniejsze metro na świecie. Najgłębsze. W dół zjeżdżasz, do góry cię wyprowadzają ruchome schody. My porwaliśmy się w górę, można by rzec, ku świetlistym szczytom komunizmu. Ale pomyliliśmy schody. To spowodowało, że biegniemy i biegniemy spoceni do góry schodami, które prowadzą w dół. Biegniemy w miejscu i zdyszani śpiewamy dziarskie pieśni. Ale któregoś dnia zmęczymy się śmiertelnie bezsensownością tego biegu, przestaniemy biec, a ruchome schody zaprowadzą nas tam, skąd kiedyś wyruszyliśmy. Zapamiętaj moje słowa: Związek Radziecki nieuchronnie runie. To jest nieuniknione. I to

również stanie się nagle, nielogicznie, niesystematycznie, żeby spowodować nowy chaos, wypełniony nowymi, radosnymi niespodziankami.

Dziwnym człowiekiem był ten Mark Siemionowicz i dziwne były przyczyny, które go doprowadziły do obozu. Gdybym je mógł zawrzeć w jednym słowie, to brzmiałoby: „miłość”. Być może był jedynym wśród tego różnobarwnego plemienia łagierników, który trafił tu z oskarżenia o miłość – miłość do córki wysoko postawionego, prawie na poziomie kremłowskiego zegara, bolszewickiego i państwowego funkcjonariusza. Jego ludzie nieraz uprzedzali reżysera, by zabrał swe brudne ręce od tej czarodziejki przeznaczonej synowi jeszcze wyżej stojącego – powiedzmy, prawie na poziomie rubinowej gwiazdy czerwonej – towarzysza. Imieniem tegoż towarzysza ochrzczono już jedno średniej rangi miasto, jedną wyspę, kanał, dwie zapory wodne, jedną fabrykę traktorów oraz kilka szkół i przedszkoli. A ponieważ zakochany świerszcz filmowy nie podporządkował się, spotykając się nadal ze swą czarodziejką, jak sobie naiwnie myślał, potajemnie, wreszcie tatuś i przyszły teść ukochanej rozgniewawszy się, zrzucili na obywatela Lebidiewa całą złość, mściwość i moralne zepsucie władzy, wysławszy go za nic, dosłownie za nic właśnie tutaj, na 80 równoleżnik.

Z tego powodu przypomina mi się pewien obozowy żart, co może wydawać się dziwne, ale najdowcipniejsze żarty i najpiękniejsze pieśni powstawały w obozach lub w ich ideowej bliskości, dlatego przynajmniej w tym, choć nie tylko w tym sensie, odróżniały się one od obozów nazistowskich.

Jakiś obozowy naczelnik wypytywał trzech nowo przybyłych więźniów:

– Ile lat dostałeś?

– Dziesięć.

– Za co?

– Powiedziałem, że Stalin prowadzi kraj do zguby.

– A ty?

– I ja dostałem dziesięć. Oświadczyłem, że *Krótką historią WKP(b)* jest całkowitą fałsyfikacją.

– A ty?

– Też dziesięć.

– Za co?

– Za nic.

– Nie kłam – rozgniewał się naczelnik. – Za nic dajemy pięć lat!

Żarty nie oddają całej prawdy, czy choćby tej prawdy, z jaką stykamy się w życiu, albowiem reżyser filmowy Mark Siemionowicz Lebidiew, nazywany przez współwięźniów po prostu Siemionycz, nie dostał ani dziesięciu, ani nawet pięciu lat – zwyczajnie pozostawał tutaj bez wyroku, z ograniczeniami w przestrzeni i bez ograniczeń w czasie. Podobne ofiary, których wcale nie było mało, stale zderzały się z wielkim, białym milczeniem Gułagu. Jedyną nadzieją Siemionycza było to, że zdarzy się w końcu jakiś cud. Na przykład gazety – a tutaj, choć z opóźnieniem, przychodził co któryś numer „Prawdy”, przeznaczony dla miejscowych naczelników – niby między innymi doniosą, że fabryka traktorów, ochrzczona imieniem wspomnianego teścia na Kremlu, zostaje przemianowana na któryś zjazd partii lub którąś rocznicę rewolucji październikowej. Kto potrafi odczytać zakodowane informacje, natychmiast zrozumie, że sytuacja wskazanego naczelnika chwieje się, toteż na podstawie prawa chaosu Mark Siemionowicz może wyskoczyć z nienacka w centrum Moskwy jak zając z kapelusza. Ma się rozumieć, że nie miał on już złudzeń, iż owa czarodziejka rzuci mu się na szyję, ponieważ miała już trzyletniego syna i była w ciąży z drugim dzieckiem – jutrzejszym budowniczym świetlanej przyszłości komunistycznej, królestwa równości i sprawiedliwości. Do tego jednak pięknego czasu dziecko pozostanie w rękach mamki, trzech służących i jednej kucharki w podmoskiewskiej osiemnastopokojowej dacy, pięknie położonej obok zapory, wciąż nazywanej imieniem teścia, znanego i lubianego w okolicy z powodu wesołego

usposobienia i rekordowych połowów szczupaka. Przepraszam za długie zdanie, ale i droga do komunizmu nie jest bynajmniej krótka.

## 10

Zostałem aresztowany, jak wiesz, w Wiedniu, na początku września 1945 roku, ale nie wyobrażaj sobie, że radzieckie władze sądowe marzyły o tym, by mnie zobaczyć. Miały dostatecznie dużo innej, znacznie poważniejszej pracy z byłymi policjantami, działaczami i wszelkimi kolaborantami nazistowskich władz okupacyjnych, toteż moją sprawę rozpatrzono naprędce dopiero w kwietniu następnego roku. Na Kołymę odtransportowano mnie w końcu maja z grupą więźniów, którzy początkowo docierali cieniutkimi strumykami, a strumyki łączyły się w potoki na różnych etapowych komendach i węzłach kolejowych, urastając stopniowo do rozmiarów wielkich syberyjskich rzek. Były to nowe posiłki do kopalń ołowiu, do wyrębu drzewa i kamieniołomów posiłki dla mocno przeredzonych szeregów obozowych z jednej strony z powodu masowego zwalniania więźniów włączanych do zastraszająco rzednących jednostek wojskowych na frontach, z drugiej zaś zdziesiątkowanych przez Wielki Głód, który w różnym stopniu dotknął cały kraj, ale szczególnie dotkliwe straty ludzkie spowodował w konstelacji Kołymy. Wówczas, opowiadają, w tajemniczy sposób zaczęły znikać kudłate owczarki syberyjskie strażników, a w głębokich skalnych szczelinach, dziele lodów i nieposkromionego żywiołu morskiego, nawet za moich czasów można było zobaczyć obgryzione kości i ślady ognia. Tutaj łagiernicy z zimną krwią zabijali małe foczki, przy czym strażnicy z reguły przymykali na to oczy, tym bardziej że ludność miejscowa również brała aktywny udział w kolektywnym przedsięwzięciu zmniejszania populacji podbiegunowych fok.

Tak więc trafiłem na 80 równoleżnik w drugiej połowie maja i po raz pierwszy zaznałem uroku białych nocy, kiedy słońce nie zachodzi i jedynie wiszący kawałek żelaza, boleśnie przypominający mi Obiekt Specjalny A-17 i Rzodkiewkę, oddzielał noc od dnia i czas pracy od czasu snu.

Kiedy ostatecznie stało się jasne, że z osobnika, który przeszedł tyfus, wielkiego pożytku w kopalniach nie ma, Jahwe znów rozłożył – któryż to raz! – ochronną prawicę nad moją głową i z tego to powodu proszę Go o przebaczenie za wypowiedziane bez namysłu pogroźki potłuczenia Mu okien, zostałem bowiem włączony do grupy tłumaczy umożliwiających kontakty obozowej straży i niemieckich jeńców wojennych niższej szarży, a zajmujących się wyrębem lasu.

Tutaj właśnie jest miejsce, byś się dowiedział, że w rezultacie pogłębionych badań historycznych bezspornie dowiedziono, że od czasów Nabuchodonozora i Amenhotepa II aż do naszych dni, przez wszystkie lata wojen, niewoli i rewolucji, Żydzi wyraźnie dążyli do zamiany zdrowej pracy fizycznej na pracę tłumacza lub redaktora. Wielotonowe, bazaltowe gazety ścienne z najświeższymi wiadomościami, spisywane przez Żydów-niewolników babilońskimi znakami pisma klinowego lub egipskimi hieroglifami świadczą po dzień dzisiejszy o tej skłonności Żyda do bardziej intelektualnych wariantów pracy niewolniczej. Nie mówiąc już o Żydach tłumaczach, bez których cesarz Wespazjan prawdopodobnie nie poradziłby sobie z ogromną liczbą jeńców podczas wojny judejskiej, którzy to osobnicy nie potrafili przeklinać w innym poza aramejskim języku, rosyjski bowiem nie był jeszcze wprowadzony do użycia. Ale to inna kwestia, nie odchodzić od tematu.

W ten sposób poznałem Marka Lebiediewa, który słabo mówił po niemiecku, ale jednak dostatecznie, by wymigać się od pracy w kopalni cyny. A być może i nad nim, swawolnym świerszczem, ktoś rozłożył niewidzialną, ochronną dłoń, nie wiem.

Siemionycz powiedział, trzymając rękę na moim ramieniu, wpatrzony w roztopione, śródnocne srebro morza:

– Patrz i napełniaj duszę światłem. Ponieważ potem nastanie pora „czarnego” słońca, kiedy tylko z dźwięku żelaza będziesz mógł się dowiedzieć, czy jest to dzień czy noc. Owo żelazo nazywamy tutaj „dzwonem świętego Piotra”. Dlatego, jeśli usłyszysz jego dźwięk po raz ostatni, to stanąłeś już przed dobrym, starszym sierżantem Piotrem, strażnikiem niebiańskiego obozu koncentracyjnego, zwanego wszystko jedno jak – rajem bądź piekłem. Tak oto jest, druhu, na osiemdziesiątym równoleżniku bezkresna biała noc, kiedy słońce nie zachodzi, i bezkresny czarny dzień, kiedy nie wschodzi. Jeśli chcesz, możesz pozmieniać miejsca i wedle Biblii nazwać światło dniem, a ciemność nocą, ale i w tym przypadku będzie to umowne i niczego nie zmieni, gdybyś bowiem miał zegarek, dowiedziałbyś się, że teraz jest na przykład trzecia po północy. W tej jednak chwili twój nos jest spalony przez słońce i wkrótce będzie wyglądał jak łuszcząca się skóra węża, jeśli go nie będziesz smarował tłuszczem z fok. Dam ci go.

– A ty jak poznajesz, która jest godzina? – zapytałem naiwnie.

Poklepał mnie po ramieniu.

– Odwagi, druhu, jak spędzisz tutaj kilka białych nocy, nauczysz się określać czas po niezachodzącym słońcu. Trudniej jest podczas czarnych dni, ale i to sobie przyswoisz. Kiedy nie ma chmur, gwiazdy staną się jak szwajcarska omega z dwudziestoma rubinami, ponieważ i niebo się kręci wokół nas. Galileusz uważa odwrotnie, ale niech pilnuje swoich spraw. Ja mam swoje osobiste obserwacje! Mówię o tym, by dodać ci odwagi, ponieważ zgodnie z wyrokiem przypada ci do odsiadki wszystkiego razem dziesięć dni i dziesięć nocy. Czy gdzie indziej na świecie dają krótsze i bardziej miłosierne wyroki?

Obok nas przeszedł patrol, starszy sierżant zagwizdał ogłuszająco.

– Hej, wracać, bo wkrótce świt!

Ogrzani promieniami jaskrawego, śródnocnego słońca podporządkowaliśmy się poleceniu i wróciliśmy, by przespać się w jednym z dziesiątków ceglanych budynków obozowego miasteczka, nad którym dominował trzypiętrowy budynek komendantury, gdzie mieściły się kancelarie, punkt medyczny, stacja radiowa i wszystko inne potrzebne dla średnio zorganizowanego obozu radzieckiego na 80 równoleżniku na południe od bieguna północnego.

Niech cię nie dziwią podobne śródnocne spacerki, ponieważ drucziane siatki obozu były daleko stąd, wyznaczając z syberyjską szczodrością dość dużą przestrzeń, po której mieliśmy względną swobodę poruszania się. Oczywiście nie wszędzie tak było – istniały obozy ze znacznie cięższym reżimem, niemal katorżniczym – według ciężaru rzeczywistych lub domniemyanych przestępstw, ale mówiłem już, że każdy widzi cząstkę prawdy przez dziurkę od klucza własnych przeżyć. Dlatego wspomnienia i sądy o obozach radzieckich są tak różne, a nawet sprzeczne, co jest poniekąd naturalne dla kraju, w którym bardziej wszechobejmujące od konstytucji stalinowskiej było prawo żywołowego ruchu cząstek tworzących chaos ratujący, a sformułowane w połowie XX wieku przez reżysera filmowego Marka Siemionowicza Lebediewa.

To była bezkresna, oślepiająco srebrna noc, podczas której nic się nie wydarzyło i nie było jakichkolwiek znaków oddzielających jeden odcinek życia obozowego od drugiego – z dźwiękiem „porannego” żelaza i powtarzającym się jednostajnym i długim przemarszem z Niemcami mieszkającymi na końcu obozu w czterech oddzielonych od nas pomieszczeniach, po trzysta osób w każdym.

Kiedy wody z roztopionych śniegów, zamieniwszy tajgę w bezbrzeżne bagno, cofnęły się do warstw wiecznego mrozu i ustąpiły miejsca północnej wiośnie, zostaliśmy przeniesieni razem z pół tysiącem Niemców do tymczasowego letniego biwaku – przestronnej polany z trzydziestoma drewnianymi barakami i kuchnią połową, co po rosyjsku nazywało się

„komandirowką”. Skracala ona znacznie droge do wyrebu drzew w tajdze, gdzie dzien i noc dudniły i dymiły dieslowskie silniki traktorów, ciężarówek, ciągników i elektroagregatów – jeśli pojęcie „dzien i noc” da się zastosować do jednej jedynej, długiej, wielomiesięcznej, promiennej, białej nocy.

Praca wcale nie była ciężka, ale nie do zniesienia były chmary komarów, ogromnych jak latające słonie. Żeby ci opisać, jak wygląda ta stronica z Apokalipsy, powiem, że staliśmy się świadkami panicznej ucieczki wielotysięcznych stad północnych jeleni, prześladowanych przez gęste roje komarów nazywanych tutaj *gnus*. To była ucieczka na północ i wciąż na północ – do mrozu. Te nieszczęsne zwierzęta nie pożywiały się od wielu dni pomimo bujnej, świeżej roślinności ani nie mogły odpocząć, lecz tylko biegły i biegły, dążąc do zatopienia się w najzimniejszej wodzie rzek, zanurzenia się w najgęstszym mule bagien. I jeśli jakaś udręczona, chora samica, z której została tylko skóra i kości, przez ten nieustający bieg pozostawała w tyle, była natychmiast okrążana, oblepiana i duszona w zwartym brzęczeniu komarów. Następnie, dosłownie na naszych oczach, biedne zwierzę zginało przednie nogi, jakby padało na kolana, prosząc o litość, ale litości znikąd nie było, toteż wkrótce, całkowicie wykrwawione zdychało na mokrym mchu. Resztę dokańczyły ogromne, mięsożerne mrówki syberyjskie.

Nasza sytuacja była nieco lepsza, ponieważ niebieskawy dym z silników Diesla zmieszany z dymem ognisk palących się dokoła siał się nad obozem, powodując odczuwalny dyskomfort nie tylko dla nas, lecz chwała Bogu, również dla komarów.

Podobnie jak w obozie, tak i tu pewien rytm w naszym życiu wyznaczały jedynie „dzwony św. Piotra” oraz krótki odpoczynek podczas obiadu z niezmienną kaszą owsianą, bardzo rzadko z jakąś kostką, z której mięso trafiało do kotła kompanii strażniczej.

Na podstawie dokumentów owych mundurowych nadzorców uważano za ludzi wolnych, przy czym była to również jedna z wielkich syberyjskich omyłek, północna fatamorgana. Albowiem nadzorca z jakiegokolwiek więzienia w Moskwie czy Rio de Janeiro po skończonej pracy staje się człowiekiem wolnym, może więc spacerować po mieście, oglądać witryny sklepowe i ewentualnie kupić sobie lody. Tutaj, na 80 równoleżniku pojęcia „z tej” i „z tamtej” strony drucianej siatki były tak samo umowne i złudne jak pojęcia „dzien” i „noc”. Cóż bowiem mogło być z tamtej strony – w wolnym świecie, poza „strefą” – jeśli nie tysiące kilometrów tundry, dzikie, skaliste grzbiety górskie oraz bezkresne bagna, tajga i znów górskie grzbiety i znów bagna? Cóż zatem odróżniało więźnia od jego nadzorca oprócz prawa tego ostatniego do odwiedzin w pobliskim, całkowicie zalkoholizowanym osiedlu Jakutów, Czuczów, Nieńców lub też podobnie rewolucyjnych Eskimosów, by upić się mętnym samogonem – po kryjomu robioną wódką z wszelkiego rodzaju odpadków, zgniłych ziemniaków i, jak to się mówi, dla podniesienia mocy, z dodatkiem wstępniaków z „Prawdy”? I jeśli tam w niskich domach zbudowanych z sosnowych bali, wśród śmierdzącego dymu machorki – tytoniu gorszej jakości – znalazła się jakaś również odurzona strażniczka z sąsiedniego obozu żeńskiego, to można było w dającej się przewidzieć przyszłości oczekiwać przyjścia na świat nowego radzieckiego człowieczka. Miał on rosnać i umacniać się politycznie jak wielu podobnych człowieczków obok rodziców alkoholików, na wolnym, bagnistym terytorium między dwoma obozami, latem pokrytym borówkami i trudnym do przebycia zimą, kiedy nawet nawykłe do wszystkiego krótkonogie jelenie północne, a przygarnięte przez hodowców na zimę do zagród, przytulają się jeden do drugiego, by ogrzać się własnym oddechem.

Ale oto nad skrzącym się srebrnym majestatem białych nocy polarnych zapadał mrok, a krótkie letnie cienie teraz się wydłużały. Skoro tylko zaczęły padać śniegi, powróciliśmy do głównego obozu i niepostrzeżenie nastąpił okres „czarnego” słońca, kiedy gęsty mrok na długo ogarnia syberyjską Północ.

Był 24 grudnia, tej nocy świat katolicki i protestancki miał powitać Boże Narodzenie. Ponieważ prawosławna Rosja obchodzi to święto w nocy z 6 na 7 stycznia, nie można było liczyć na litość ze strony zwierzchnictwa, tym bardziej że rosyjskie Boże Narodzenie nie było oficjalnym świętem, dlatego ku ogólnej radości i jako palec boży powitano wiadomość, że rtęć termometru przy wejściu do komendantury spadła do minus 43 stopni.

To oznaczało, że nazajutrz nie będziemy pracować i faktycznie święto niemieckich jeńców, więźniów z krajów nadbałtyckich i zachodniej Ukrainy ogłosiła sama natura. Dlatego że zgodnie z regulaminem można było pracować do minus 40 stopni, nie mogło być ani stopień mniej.

– Tak już u nas jest – wyjaśnił mi Siemionycz, który nadal opiekował się mną, wprowadzając w tajniki obozowego bytowania. – Nie tylko tutaj, lecz w całym kraju radzieckim życie przebiega normalnie w skali między minus 40 i plus 40.

– A gdzie mają plus 40 stopni? Na pustyni Kara-kum?

Siemionycz zdziwiony popatrzył na mnie.

– O jakiej pustyni ty śnisz? Mam na myśli radziecki standard picia wódki!

Czyż mogłem wiedzieć, że to była nasza ostatnia rozmowa? Bo z chwilą, gdy dźwięk żelaza rozbrzmiał, dla Siemionycza to rzeczywiście był dzwon świętego Piotra. Lekarz, pewien delikatny i smutny Ormianin, Robert Bojadżjan, również więzień obozu, stwierdził u niego rozległy zawał serca. To był koniec zakochanego i naiwnego człowieka kina, który próbował skoczyć wyżej kremlowskiego muru.

– Co teraz? – zmieszany zapytałem lekarza.

– Zostaw to nam, ty jesteś tu nowy.

Ciało Siemionycza włożono do jego własnego, pozbawionego słomianej zawartości materaca ze zgrzebnego płótna na worki. Wyniesione na zewnątrz przy minus 43 stopniach ciało szybko zeszywniało, a my, sześciu łagierników, pilnowani przez jednego żołnierza, ponieśliśmy je na plecach poza druciane ogrodzenie, gdzie znajdował się obozowy cmentarz. Godzinami mrok dokoła rozrywały płomienie ognia, który miał rozmiękczyć twardą jak granit ziemię, godzinami ogrzewaliśmy się w milczeniu obok leżącego na śniegu worka z Człowiekiem, Który Robił Filmy. Wreszcie zdołaliśmy wykopać płytki dół, gdzie złożyliśmy skostniałe ciało. Zasypaliśmy je i nakryliśmy kupką kamieni, z obawy przed drapieżnikami. Zdjęliśmy czapki, a lodowate powietrze sparzyło nam uszy niczym wrzątkiem.

– Żegnaj, Siemionycz. Obyś tam był szczęśliwszy!

To była cała mowa pogrzebowa doktora Roberta Bojadżjana wygłoszone z mocnym, obcym akcentem.

Żołnierz nachylił się do mojego ucha.

– Czy zmarły nie był przypadkiem Markiem Lebiediewem, reżyserem filmowym?

– Tak, to był on.

– Widziałem jego filmy. Dobre, wesołe filmy.

– Tak, dobre i wesołe.

Chłopak zdjął wojskową czapkę z czerwoną pięcioramienną gwiazdą i przeżegnał się. Za taki gest wyrzucano z Komsomołu, a w wojskach wewnętrznych wręcz karano.

Gdy już wracaliśmy do obozu, sosnowe, żywiczne pochodnie oświetlały gdzieniegdzie groby przykryte kamieniami – niektóre z prymitywnie zbitymi krzyżami, inne z sierpem i młotem namalowanym czerwoną farbą – tą samą, którą zaznaczano pnie ściętych drzew. Pojawiały się i znikły, pochłonięte przez gęsty mrok gwiazdy Dawida, a zniknął nawet islamski półksiężyc. „Gdy związek nasz bratni ogarnie ludzki ród...”

Zanim weszliśmy w oświetloną bramę obozu, zgasił pochodnie w głębokim śniegu. Powietrze nasycone lodowymi kryształkami tworzyło wokół elektrycznych lamp gęstą poświatę barwy tęczy, a przed niemieckimi, ceglanyymi budynkami jaśniała choinka z kilkoma świeczkami – miejscowa ludność robiła je z tłuszczu wielorybów.

Było Boże Narodzenie 1946 roku.

## 11

Wreszcie zobaczyłem zorzę polarną! Oczarowany patrzyłem szeroko otwartymi oczami na ten cud natury, ślizgające się po niebie, splatające się i rozchodzące wstęgi, raz otwierające się jak wielobarwny pawi ogon, raz pełzające nisko nad widnokreśm jak różnobarwny wąż, zatem nie wiem, czy ciche, harmonijne dźwięki subtelnej harfy były rzeczywistością czy drgnieniami samej duszy.

Siedziałem na gładkiej, czarnej skale, wypolerowane powierzchnie mętnie odbijały zorzę, a nisko w dole przycichło zamarznięte morze.

Powiedziałem „drgnienia duszy”? Dość poetycko, dziękuję. To był raczej płacz, gdyż samotność ścisnęła mnie za gardło, dusiła lodowatymi palcami. Wszyscy odchodzili z mojego życia, jeden po drugim, a ja, głupiec, trzymałem się pazurami i zębami tego gównianego, bezsensownego i trywialnego życia, wczepiony weń jak kleszcz. Gdzie był teraz mój dobry rabin Szmul Bendawid? Prawdopodobnie on wyjaśniłby mi sens tajemniczego przesłania, ukryty wyższy cel natury, która dała nam życie, ale zapomniała przekazać sposób jego użytkowania.

Usiadłszy na skale, mimowolnie się rozplakałem, łzy toczyły się tylko kilka milimetrów po policzkach, po czym zamarzały warstwami, jedna na drugiej.

I wówczas stał się cud: w zorzy polarnej, sama będąc zorzą, zjawiała się Sara. Przymknąłem oczy, potem znowu spojrzałem – tak, to była ona, utkwiała we mnie szeroko otwarte, szarozielone oczy, które odbijały splatające się wstęgi światła! Przyszła boso po zamarzniętym morzu, schyliła się, pocałowała mnie w czoło i szepnęła:

– Mój biedny, mój miły Icek. Zimno ci?

– Tak – powiedziałem – bardzo.

Rozplotła warkocz, przykryła mnie włosami i w tej samej chwili oblało mnie błogie ciepło. Sara przysiadła, wzięła moją głowę na kolana, zakołysała jak dziecko w takt niebiańskiej muzyki. Głaskała mnie i coraz słodsza, cieplejsza rozkosz popłynęła w moich żyłach. Zasypiałem szczęśliwy w ciepłych objęciach Sary, gdy nagle brutalnie potrząsnęła mną i przemówiła męskim głosem:

– Hej, hej, obudź się!

Z trudem otworzyłem oczy, trzy osoby pochylały się nade mną, kierując na moją twarz okrągłe oko kolejarskiej lampy naftowej, a doktor Robert Bojadżjan nacierał mi uszy śniegiem.

Potem leżałem na zniszczonym łóżku w gabinecie lekarskim, a doktor powiedział:

– Miałeś szczęście, towarzyszu! Niewiele brakowało, a zostałbyś bez uszu i nosa. Czy wiesz, ile jest na dworze? Minus 52 stopnie. Aleś sobie znalazł porę na spacer!

– Śniło mi się, że jest ciepło... – powiedziałem z poczuciem winy.

– Oczywiście, ono cię uratowało. Żołnierze wyszli sikać i jeden z nich, podczas gdy sikał na ciebie, wyczuł, że na dole leży człowiek. Przepraszam, jeśli coś nie jest w porządku!

Ormianin się roześmiał, wiedząc, że w tej chwili obsikuje mój najpiękniejszy sen.

I właśnie teraz, podczas picia herbaty z aluminiowego kubka, który mi podał doktor, niechaj ci powiem kilka słów o tym cichym i prawie niewidocznym człowieku ze smutną twarzą kłowna nawet wówczas, gdy się śmiał.

Robert urodził się w Paryżu, właśnie tak, nie w Kołodźcu, lecz w Paryżu, czy wyobrażacie to sobie? Jego rodzice byli zamożnymi ludźmi, uciekinierami przed rzezią w Turcji, gdzie byli właścicielami sklepu z biżuterią czy czymś podobnym. Ale starzy i tak nie przyzwyczaili

się do życia we Francji, zapragnęli więc powrócić i umrzeć w swojej Armenii, w samym Erywaniu. I podczas gdy młody Robert, niezależnie od niemieckiej okupacji, kończył medycynę na Sorbonie, bardzo daleko od Sekwany, nad Wołgą, toczyła się straszliwa bitwa stalingradzka. Na fali ogólnego zachwytu bohaterstwem ludzi radzieckich starszy Bojadżjan sprzedał wszystko i tajnymi drogami, z pomocą partnerów od diamentowego biznesu, przez Szwecję udał się z rodziną do Erywanu u podnóża świętego dla Ormian Araratu, co pokryty wiecznym śniegiem po tureckiej stronie. Tam, w Erwanu, wymarzonej miejscie, zbudowanym z różowego tufu, starszy Bojadżjan poświęcił wszystkie swoje majątki, by kupić czołg, któremu nadał imię „Ararat”, a jego syn Robert zatrudnił się w miejskim szpitalu. Czołg „Ararat” po ciężkich bojach dotarł na Alexanderplatz w Berlinie, a syn Robert do obozu na Kołymę, naprzeciw Wyspy Niedźwiedziej, za przesadne słowa o wolności i demokracji.

Tyle – zwykłe przypadki nie potrzebują skomplikowanych wyjaśnień.

Mark Lebediew, nasz zmarły Siemionycz, uczył mnie, bym nie szukał sensu w tym, co bezsensowne, ani też logiki w żywiołowym ruchu cząstek, dlatego zaoszczędzę ci tego, co i dla mnie pozostało enigmatyczne, a mianowicie: dlaczego przy takiej liczbie obozów rozrzuconych po całym naszym wielkim kraju tysiące Niemców i niemałą grupę innych zabrano i skierowano na południe. „Południe” chyba nic ci nie powie, dopóki nie poznasz zawrotnej marszruty, która trwała prawie miesiąc i rozpoczęła się na zardzewiałym przybrzeżnym statku towarowym „Gwiazda Północy”, przepelnionym do granic możliwości więźniami i strażnikami. Ta „gwiazda” wiozła nas obok cypla zwanego Dikson do wnętrza kraju ujściem Jeniseju, a stamtąd holownikiem ciągnącym trzy statki tak samo wypełnione ludźmi, by po dwunastu dniach, płynąc pod prąd, dotrzeć do Krasnojarska, gdzie przerzucono nas do pociągu, żeby przez Bamauł dojechać do Akmolińska w Kazachskiej Republice Radzieckiej. Jeśli coś jest niejasne, mów.

Niemcy nie upadali na duchu i śpiewali, albowiem wśród nich rozeszła się pogłoska, że zostaną odesłani do ojczyzny, my zaś nie śpiewaliśmy, ponieważ już się dowiedzieliśmy, że w rejonie Karagandy znajdują się potężne kopalnie boksytu. Dla twojej informacji: boksyt oznacza aluminium, które ze swej strony znaczy nie tylko samolotowy, lecz także inny, jeszcze bardziej „gwiazdny” przemysł. Żebyś miał zatem całkowitą jasność, gdzie się znajdowaliśmy, podpowiem, że wiele lat później usłyszysz geograficzne nazwy: Semipałatyńsk i Bajkonur – pierwsza z tych miejscowości jeszcze za moich czasów stała się poligonem jądrowym, a druga miała dać początek erze lotów kosmicznych.

I dokładnie tutaj, w czasie tego etapowego zamętu, pośród krzyków i chaosu, dosłownie zderzyliśmy się – domyślasz się już – z moim dobrym rabinem, z moim drogim Szmulem Bendawidem! Znów płakaliśmy, całowaliśmy się, nie mogąc uwierzyć, że my, dwa zagubione w przestrzeni pyłki, spotkaliśmy się jeszcze, że nasze ścieżki przecinają się po raz drugi – raz w bawarskim Górnym Palatynacie w dalekich Niemczech, a teraz w jakimś tam punkcie bezkresnej Azji, na końcu świata, w Kazachstanie!

Siedzieliśmy na spalonej ziemi stepowej i nie mogliśmy się na siebie napatrzeć.

– Za co tu jesteś? – zapytałem.

– Za mój związek z Esterą Katz.

– Dopiero teraz przypomnieli sobie o tym?

Uśmiechnął się ze smutkiem.

– Boskie młyny wolno mielą. Ale dajmy temu spokój, opowiedz mi, jak jest na północy?

– Nie ma sensu. Na północy jest jak na południu. Być może tak samo jak na wschodzie, nie wiem, w chińskim obozie jeszcze nie byłem.

Rebe milczał czas jakiś, zapalił radzieckiego papierosa marki Biełomorkanał, z tych w kartonowej rurce podobnej do munsztuka, i z tytoniowym wierzchołkiem.

– Nauczyłeś się palić?



- Nie – odpowiedziałem.
  - A czego się nauczyłeś?
  - Nie szukać sensu w tym, co bezsensowne.
  - Znaczący niczego się nie nauczyłeś, ponieważ wszystko ma sens. Wszystko prowadzi dokądś, tylko nie zawsze dane jest nam wiedzieć dokąd.
  - Ja też i nie chcę wiedzieć. Postawiłem na wszystko kropkę.
  - Z takiej kropki zaczął się wielki wybuch, początek wszechświata. Ludzkość po każdej przebytej drodze stawia kropkę, ale ona nigdy nie oznaczała końca.
  - Szmita?
  - Tak, wszystko od nowa. Ale pozwalałam sobie podać w wątpliwość słowa mojego ulubionego Eklezjasty: tym razem, co będzie, nie było. A to, co było, nie będzie. Wszystko od nowa, jaki to zresztą ma sens?
  - Zatem pytam cię, rebe: Jest w tym jakiś sens?
  - Oczywiście. Sensem jest droga do kropki. Następne zdanie napiszą inni, ci, którzy po nas nadejdą. Oby wyznawali naszą wiarę, nie mają jednak prawa powtarzać naszych błędów.
- Popatrzyłem na niego, ale nie odpowiedziałem, przypominając sobie Siemionycza: „Rabini są wierzący, to się rozumie samo przez się!”
- Rankiem wycelowaliśmy się, gdy jego bezładna szara kolumna, prowadzona przez straż konną, ruszała zakurzoną drogą stepową. Rebe wydał mi się zgarbiony i smutny, płakałem.
- Kolumna oddaliła się w tumanach kurzu, ale rebe ani razu się nie odwrócił – zapewne i on płakał, ale nie chciał, bym się o tym dowiedział. Coś mi podpowiadało, że już nigdy więcej się nie zobaczymy. To było tylko przecucie, wówczas nie mogłem wiedzieć, że stąd zaczynała się jego droga na budowę Kanału Białomorsko-Bałtyckiego, nazwanego imieniem nieśmiertelnego wodza narodów, Józefa Wissarionowicza Stalina.
- Ten sam nieśmiertelny wódz zmarł jak wiadomo 5 marca 1953 roku, ale nie była to wymarzona przez rebeego kropka, wcale nie – był to jedynie przecinek, gdy bowiem powszechna żałoba po niepowetowanej stracie się skończyła i ludzie odetchnęli, na jakimś zebraniu w Berdyczowie gorący zwolennik nowego początku oświadczył:
- Już na pewno możemy powiedzieć, towarzysze, że w nadchodzących latach będziemy żyć lepiej!
  - A my? – zapytał głupi Mendel.

# KOŃCOWA APOKALIPSA, CZYLI

## OBJAWIENIE

Wszystko to, mój bratku, było tak dawno, jakby się wcale nie wydarzyło. A może i naprawdę się nie wydarzyło, czy to człowiek wie, co w życiu jest snem, a co rzeczywistością, skoro samo życie jest przelotnym widmem, mirażem na pustyni i pogonią za wiatrem?

Znowu mieszkam w Wiedniu, moim odwiecznym, pięknym marzeniu, jestem mniej więcej człowiekiem starym i, niech dodam, stosunkowo zamożnym, jeśli ma to jakiegokolwiek znaczenie. Czy można zaspokoić duszę tym, coś zdobył, jeśli tęsknisz za tym, co straciłeś?

Wczoraj pod wieczór spacerowałem po miejskim parku, posiedziałem koło jeziora, przy złożonym pomniku Johanna Straussa – owego wesołka ze skrzypcami – rzucałem kaczkom kawałki bułki. Potem powlokłem się do starego przyjaciela, Świętego Stefana, z jego wspaniałą dzwonnica nazywaną Stefl. Dokładnie naprzeciwko, na rogu Graben i Kärntner jakaś dziewczyna w nieprzyzwoicie krótkiej spódniczce zaproponowała mi:

– Wujaszku, czy chcesz, byśmy się zabawili?

– Nie – odpowiedziałem zakłopotany. – Przepraszam, dziękuję.

Machnęła ręką i skierowała się do innego wujka.

Samotność.

Co rozumiał ów towarzysz z Berdyczowa przez owo „lepsze życie”? Co on sobie w samej rzeczy wyobrażał, jeżeli napisane jest, że nie żyje się samym chlebem?

Szedłem na piechotę w kierunku Margarethenstraße, przemierzyłem luksusowe przejście podziemne, gdzie gromadzili się narkomani. Co za nędza, Panie Boże, nieszczęśni chłopcy i dziewczęta! W domu telewizja pokazywała kolejną bzdurę przeznaczoną dla innego rodzaju narkomanów, tych telewizyjnych. Może to nie jest bzdura, ale ja tego nie rozumiem – jestem jak stary Bojadżjan, który czuł się samotny nawet w Paryżu, by w końcu zafundować sobie czołg.

Niech mi wybaczy siostra Angela z pól bawełnianych nad Missisipi, ale warto się zastanowić nad wyjściem z niewoli egipskiej, które wybrał sobie Stefan Zweig. Też miałem podobne „wyjście” w nocnej szafce: trzy fiołki dormidonu, po dwadzieścia tabletek w każdej. „Będzie pan spał jak dziecko po kąpielu” – tak powiedział doktor. Trzy razy dwadzieścia jest sześćdziesiąt. Sześćdziesięcioro dzieci po kąpielu.

Być może przed tym należało się zabawić z dziewczyną? Nie, dziękuję.

Kładę się do łóżka, co za problem – szklanka wody mineralnej, trzydzieści tabletek. Jeszcze jedna – jeszcze trzydzieści – to już całe przedszkole dzieci po kąpielu.

Zamykam oczy, znów jestem młody i znowu znajduję się w rodzinnym Kołodźcu koło Drohobycza. Gram na skrzypcach, i na nowo ożył mój świat, rozszalały w wesołym chasydzkim korowodzie. Oto oni – moja matka Rebeka i mój ojciec Jakub, ubrany w czerwony mundur huzara z lejbgwardii Jego Wysokości, oto wuj Chaimle i stary listonosz Awramczyk. Oto jest całe drogie towarzystwo z kawiarni Dawida Lejbowicza, które rozwija kłębek nierozwiązanych problemów biednego Rothschilda. Oto i pan Wojtek, który wręcza bukiet żółtych kwiatów Rzodkiewce, kwiaty żółte jak żółte gwiazdy. Czy widzisz – Estera

Katz tańczy z Lową Weismanem, nasz ksiądz szczęśliwy klaszcze w takt rytmów żydowskich, a oto jest tam i mój Zuckerl, który tupie ciężkimi butami przed roześmianą siostrą Angelą, moim czarnym aniołem! Doc Joe pali skrycie, trzymając papierosa w garści, bo to jest zabronione, a drobny Włoch w drucianych okularach pokazuje palcem i krzyczy: „To on!”. Polski pan oftalmolog objął obiema rękami Frau Kubitzek, a kręci nią wokół siebie jak szalony. Trójka moich dzieci, Jasza, Szura i Zuzanna, z kałasznikowami na ramionach skrzyżowała ręce, przyklękając w takt muzyki, drogi świerszcz filmowy Siemionycz nakręca to wszystko, zapewne dla telewizji, a doktor Robert Bojadżjan rysuje sierpy i młoty na pobielonych ścianach. Zasmucony żołnierz patrzy nań, zdejmując czapkę i żegna się – z tego powodu wyrzucają z Komsomołu, a w wojskach wewnętrznych karzą. Wyżej na scenie z obłupionymi złoceniami, gdzie kiedyś grał mistrz Mozart, dumnie wyprostowany dyryguje tym wszystkim sam przewodniczący Klubu Ateistów, rebe Szmul Bendawid!

A gdzie Sara, zapytasz, gdzie jest moja Sara? Oto i jest, moja Sara z szarozielonymi oczyma – jak odbłaski z wód jeziora Genezaret. To jest ona, mówię ci, mimo że jest taka młoda! Oczywiście, że ona! Cichutko odkładam skrzypce na drewnianą podłogę i obejmuję dziewczynę o szarozielonych oczach, oboje stajemy się nagle lżejsi i podfruwamy do góry. Oto lecimy nad naszym krajem, a kraj ten jawi się w barwach należących do pewnego chłopca, Mojszy Szagałowa, a jeśli wolisz, Chagalla. To on namalował nas, jak zakochani lecimy z Sarą nad naszym *sztetlem* – miasteczkiem, tam w dole cerkiew prawosławna, oto są białonogie Ukrainki, oto ciężarna kobyła ze źrebakiem w łonie, a my z Sarą lecimy ku przyszłości, i oby ona była dobra dla wszystkich, amen.

Otwieram oczy, na nocnej szafce leżą nieotwarte trzy fiołki dormidonu, nawet ich nie dotknąłem. Wybacz, Stefanie Zweigu, stary chytrusie, który uczyłeś innych, jak mają żyć, a sam uciekleś! Skoro życie dane jest nam, by żyć, będziemy żyć, nie ma co.

*Lajla tow* lub, po waszemu, dobranoc!